

GRAHAM MASTERTON

# DŽINN

PRZEŁOŻYŁ: MIROSŁAW KOŚCIUK

TYTUŁ ORYGINAŁU: THE DJINN

SCAN-DAL

Dżinny (arabskie jinniy — demon, duch):

jeden z rodzajów dobroczynnych lub złowrogich

duchów islamu, zamieszkujących Ziemię.

Dżinny potrafią przybierać różne postacie

i są obdarzone niezwykłą potęgą.

PROLOG

„Za panowania króla Hamy jego nadworni czarnoksiężnicy, pośród przedmiotów swej tajemnej sztuki, posiadali specjalne dzbany. Naczynia te, znane jako Dzbany Dżinnów, zawierały przypuszczalnie emanacje nie znane zwykłym śmiertelnikom. Zgodnie z legendą najpotężniejszy, najbardziej przerażający dżinn należał do Ali Baby. Przetrzymano go we wspinałym dzbanie, ozdobionym wizerunkiem rumaków Niepojętego Nazwaha i błękitnych kwiatów opium”.

„W tym roku zmarł w swoim domu na Cape Cod kolekcjoner zabytków Środkowego Wschodu. Była to dziwna i nagła śmierć. Żona zmarłego opowiadała o dręczącej go obsesji, związanej z jakimś starożytnym wyrobem garncarskim, dzbanem, który przechowywał pod zamknięciem w specjalnym pokoju. Prowadzące doń drzwi były zabezpieczone woskowymi pieczęciami pełnymi dziwnych symboli. Według jej słów, był to interesujący stary okaz przyozdobiony dziko wyglądającymi końmi i dziwnymi, drobnymi, błękitnymi kwiatami”.

„Czasami mówi się, jakoby podróżujących drogą do Bagdadu mamili w nocy niezwykle głosy. Głosy te miały brzmieć na różnorakie sposoby — już to jak wiatr, już to jak kusząca mowa kobiet, niekiedy zaś jak zwierzęta, jakich ludzkie oczy nigdy nie oglądały. Mądrzy ludzie tłumaczyli, iż głosy owe należą do džinnów oraz że słysząc je, podróżny powinien przyspieszyć kroku, jeśli pragnie pozostać przy zdrowych zmysłach i ocalić życie”.

„Księga Czarów”

Abdul Hazw'halla

„Wielu twierdziło, iż gdy dni N'zwa'a dobiegały kresu, zgromadzili się oni w świątyniach, gdzie dokonując rytualnych obrzędów i śpiewając, złożyli w zwojach, sarkofagach oraz dzbanach wszystkie swe przerażające tajemnice, które pozwalały im sprawować władzę przez tak wiele stuleci. Mówiono także, że ten, kto odkryje sekret Niepojętego Nazwaha, może stać się najpotężniejszym człowiekiem w całym znanym świecie, a także poza jego granicami. Musi być jednak przygotowany na zapłacenie godziwej ceny. Gdyż tak jak kurtyzana żąda zapłaty za swe cielesne usługi, tak i magiczne widmo Niepojętego Nazwaha zażąda nagrody, która dla wielu będzie zbyt wysoka”.

„Legendy Perskich Czarnoksiężników”

Tom IV, Rozdział III

Archeolodzy prowadzący wykopaliska w obrębie świątyni Naswa w Iranie, doszli do przekonania, że starannie dobrana kolekcja bezcennych zabytków już wcześniej padała łupem złodziei.

Przypuszcza się, że świątynia była ośrodkiem barbarzyńskiego kultu czcicieli džinnów, którzy, zgodnie z legendą, panowali niepodzielnie w tym rejonie przez niemal trzysta lat. Ich obrządek obejmował między innymi przyzywanie demonów i ofiary z ludzi. Jak zauważył ostatnio profesor W.F. Collins z Brytyjskiego Towarzystwa Archeologicznego „było to, ogólnie rzecz biorąc, raczej nieprzyjemne towarzystwo”.

Co jednak najbardziej martwi piętnastoosobowy zespół badaczy, to fakt, że wiele spośród najcenniejszych dzbanów i zwoi zostało skradzionych — możliwe, iż nawet jeszcze w latach trzydziestych. Owe kradzieże w znacznym stopniu wpłynęły na spadek zainteresowania wykopaliskami. Profesor Collins obawia się, że niektóre przedmioty mogły ulec zniszczeniu lub zostały wywiezione do innych krajów.

„Wiadomo, iż rzeczywiście znajdowało się tam wiele zabytkowych przedmiotów” — powiedział wczoraj w Isfahanie nasz uczoney. „Świątynia została niemal kompletnie pogrzebana pod zwalami błota w wyniku osunięcia się ziemi, które miało miejsce w jakieś czterdzieści lub pięćdziesiąt lat po opuszczeniu jej przez N'zwa'a, czcicieli džinnów. Do dzisiaj zachowały się utrwalone w zeschniętym mule odciski licznych artefaktów. Na ich podstawie szacujemy, że brakuje nam kompletu zwojów, zestawu rytualnych noży i mieczy oraz dwóch naczyń: małej kadzielnicy i wielkiego dzbana o ozdobnych ścianach.

Szczególnie zastanawia archeologów fakt, iż złodzieje pozostawili nietkniętych wiele bardzo cennych znalezisk. Należy tutaj wymienić przede wszystkim zmumifikowane przez wysychające błoto zwłoki kobiety. Były one zakonserwowane tak doskonale, że do naszych czasów zachowały się nawet włosy i skóra. Jak dotąd profesor Collins wykazuje dużą powściągliwość wobec tego znaleziska. Powstrzymuje się od wszelkich komentarzy do czasu uzyskania wyników datowania węglem C-14 oraz badań fizjologicznych.

„Sunday Times”, Londyn

12 października 1968

Kensington Londyn

maj 1969

Drogi Inspektorze Kashan!

Obiecałem panu przesłać rezultaty badań zwłok odkrytych w Naswa najszybciej, jak tylko to będzie możliwe. Oto więc i one. Zapewne z ulgą powita pan fakt, że nie mamy tutaj do czynienia ze współczesną zbrodnią, choć niektóre aspekty śmierci tej kobiety wymagały niezwykle i raczej przerażającego dochodzenia.

Wiek ciała odpowiada momentowi opuszczenia świątyni i szacowany jest na dwa i pół tysiąca lat. Są to zmumifikowane zwłoki młodej kobiety, liczącej sobie dziewiętnaście lub dwadzieścia lat. Nie była ona zbyt ładna, jeśli cokolwiek można wnioskować z zachowanej skóry, natomiast włosy i biżuteria wskazują na jej przynależność do wysokiego rodu.

Najbardziej zdumiewający jest sposób, w jaki pozbawiono ją życia. Opisu podobnej śmierci nie udało nam się znaleźć w żadnym źródle historycznym. Otóż dziewczyna ta zmarła na skutek wprowadzenia w intymne części jej ciała przedmiotu o ogromnych rozmiarach, który wtłoczył organy wewnętrzne do klatki piersiowej i prawdopodobnie doprowadził do natychmiastowego zgonu. Trudno nam nawet przypuszczać, cóż to mógł być za obiekt. Wprowadzono go z siłą wystarczającą do rozdzielenia pasa miednicowego na dwie połowy i sprasowania zawartości jamy brzusznej do jednej czwartej normalnej objętości.

Być może, przeglądając własne źródła historyczne, zdoła pan odnaleźć opis podobnego przypadku. Co do mnie i moich kolegów, to w tym momencie poddajemy się, pozostawiając śmierć tej nieszczęsnej kobiety jako nie rozwiązana zagadkę.

Łączę wyrazy szacunku

L. Pope

„Słusznie powiedziane jest, iż prawdę często znajduje się w butelkach; lecz jeszcze słuszniejsze jest powiedzenie, że ze starych butelek pochodzą stare prawdy”.

„Dialekty Perskie” str. 833

1

Był to piekielnie gorący dzień w połowie sierpnia. Zebraliśmy się wszyscy na cmentarzu Restful Lawns, wciśnięci w ciężkie, czarne garnitury i sztywne kołnierzyki, wyglądając jak stado przesadnie opancerzonych homarów. Na filmach pogrzeby nieodmiennie odbywają się w strugach deszczu, w asyście czarnych parasoli oraz mieszających się z wodą łez. Jeśli jednak w tym towarzystwie były jakieś łzy — czego zresztą nie zauważyłem — to musiały się mieszać z zupełnie niesentymentalnym potem.

Najwygodniej było zapewne nieboszczykowi. Leżał w kosztownej trumnie z polerowanego jasnego dębu, z ładnymi uchwytnymi w kształcie muszli. Wieko niknęło pod naręczami lili, róż i orchidei. Przypominało to bardziej posępną wystawę kwiatów niż pogrzeb, my zaś, pomimo naszych ponurych twarzy, byliśmy w stanie myśleć tylko o tym, by pochować naszego śp. przyjaciela jak najszybciej i napić się zimnego piwa.

Stojąc nad otwartym grobem duchowny odmówił krótką modlitwę. W jej trakcie wdowa podnosiła do oczu niewielką, koronkową chusteczkę. Później trumna została opuszczona w głąb spieczonej ziemi, a my rzuciliśmy na wieko po garści piachu. Starłem się, by moja bryłka nie uderzyła zbyt mocno. Nie chciałem zakłócać spokoju zmarłego. Tam, gdzie się teraz znajdował, było mu zapewne dobrze.

Opuszczaliśmy cmentarz, idąc poprzez lśniący biały las nieruchomych aniołów i marmurowych nagrobków. Gorące powietrze było dziwnie nieruchome; pomyślałem sobie, że zaraz wszyscy się udusimy. Czekają już na nas czarne limuzyny z zapewniającymi dyskrecję purpurowymi draperiami w oknach. Weszliśmy do środka i usiedliśmy naprzeciwko siebie, starając się nie uśmiechać.

Ze stateczną prędkością przejechaliśmy Army Highway w kierunku Cape Cod. Po jedenastej przybyliśmy do Winter Sails, białego, drewnianego domu zmarłego, zbudowanego chaotycznie na pustym południowym wybrzeżu. Limuzyny wtoczyły się na zachwaszczony, żwirowy podjazd. Wszyscy wysiedli i stojąc w łagodnym wietrze od morza, czekali, aż wdowa zaprosi przybyłych do środka.

Byłem zaskoczony opłakanym stanem, w jakim znajdował się obecnie Winter Sails. Ten utrzymany w stylu kolonialnym dom został wzniesiony około roku 1800. Wokół niego biegła elegancka, wsparta na kolumnach weranda. Gdzieś na początku dwudziestego wieku ówczesni właściciele dobudowali gotycką wieżyczkę, górującą ponad trawiastą plażą i zwieńczyli ją blaszaną chorągiewką, zbliżoną kształtem do tureckiej szabli. Chorągiewka skrzypiała ponuro, ilekroć wiatr zmieniał kierunek, a działo się tak bardzo często. Dom osłonięty był od wiodącej do Hyannisport drogi rzędem pokręconych drzew, pochylonych zgodnie w stronę lądu niczym stadko wystraszonych staruszek. Ta niegdyś elegancka, zaciszna posiadłość, dzisiaj zdradzała wyraźne oznaki zniszczenia. W oczy rzucała się zniszczona farba, pourywane rynny. W dachu brakowało dachówek, zielsko pieniało się na zaniedbanych trawnikach i ścieżkach. Na rozległym

zachodnim zieleńcu znajdował się zegar słoneczny, który zawsze mnie intrygował, ilekroć jako chłopiec przyjeżdżałem do Winter Sails. Teraz ledwie mogłem go dostrzec pośród falujących łąnów wysokiej trawy.

Z ostatniej limuzyny wysiadła Marjorie Greaves. Miała na sobie czarną sukienkę i kapelusz z czarnym woalem. Była to niska, przywiedła kobieta po pięćdziesiątce, o wydatnym, podobnym do dzioba nosie oraz ciemnych, blisko osadzonych oczach. Zawsze kojarzyła mi się z krewetką, i na odwrót. Dlatego też starałem się jadać krewetki jak najrzadziej. To nieładnie konsumować własną babcię, choćby nawet pośrednio.

— Witaj, Harry — powiedziała omdlewającym głosem, zaciskając obleczone w czarne rękawiczki palce na moich dłoniach i przypatrując mi się tymi małymi, czarnymi oczkami. Jeżeli płakała, to nie było tego widać.

Skinąłem głową i uśmiechnąłem się.

— To była piękna uroczystość — stwierdziłem. — Bardzo piękna.

Odwzajemniła uśmiech i zapatrzyła się w dal, jakby myślami błędziła gdzie indziej.

— Tak — odrzekła. — Sądzę, że tak właśnie było. Staliśmy tak przez chwilę, trzymając się za ręce niczym szykująca się do tańca para. Ktoś zrobił nam zdjęcie, a wtedy Marjorie uśmiechnęła się jeszcze raz i odeszła porozmawiać z pozostałymi gośćmi. Naliczyłem około trzydziestu osób, a ponieważ nikogo nie znałem zbyt dobrze, czekałem na dokonanie prezentacji. Zauważyłem kilka starszych pań, na których zawsze można zrobić dobry interes. Było też paru dostatnio odzianych mężczyzn, a także szczególnie apetycznie wyglądająca młoda dama w szytej na zamówienie czarnej sukni i takim samym, przypominającym turban kapeluszu. Jej zdumiewająco czerwone wargi oraz szeroko otwarte zielone oczy wzbudziły we mnie przekonanie, że warto ją poznać bliżej. Oczywiście, w celach towarzyskich.

Marjorie Greaves zaprosiła nas do środka. Wnętrze nosiło widoczne znamiona upadku, tak samo jak i elewacja. Na tapetach ciemniały plamy wilgoci, a w wytartych dywanach przebijała miejscami szara osnowa. Z kwadratowego holu, wyłożonego czarno-białą terakotą, przeszliśmy do największego pokoju — długiego salonu z wysokimi, wychodzącymi na morze oknami. Pamiętałem, że kiedyś pokój ten pełen był kwiatów i kosztownych starych mebli. Teraz jednak nie było w nim niczego oprócz dwóch pokrytych perkalem kanap, których wygląd dobitnie świadczył, iż od dawna należy się im emerytura, oraz kilku małych wyplatanych krzesel. Nawet olejne obrazy opuściły swe miejsce na ścianach, pozostawiając na jasnozielonej tapecie ciemne, prostokątne ślady.

Pomagająca Marjorie roztargniona młoda kobieta w okularach miała mocno wystające zęby i demonstrowała niewzruszone przywiązanie do długiej, wełnianej kamizelki w kolorze dzieciennego różu.

Na przyjęcie Marjorie przygotowała małe biszkopty z wisienką na wierzchu i babeczki z tuńczykiem, do których podała trzy butelki sherry.

— Taki sam po śmierci, jak za życia — wymamrotał jeden z dostatnio wyglądających mężczyzn. — Przeklęty sknera.

— George! — odezwała się z wyrzutem jego żona.

— No cóż — powiedział George, który natychmiast wzbudził we mnie niechęć. — Ten facet był tak skąpy, że w Dniu Dziękczynienia faszerował indyka gazetami.

W rogu pokoju inna para omawiała scenicznym szeptem stan domu.

— Musiał być splukany do ostatniego grosza — zawyrokowała duża, rudowłosa kobieta. — Nigdy nie widziałam tak zaniedbanego wnętrza.

— Zawsze myślałem, że był milionerem — prychnął jej mąż, łysy facet z pokaźnym brzuszkiem. — Sprawiał wrażenie, jakby mógł palić pieniędzmi w piecu. Ale z pewnością nie robił tego tutaj.

Marjorie wdała się w rozmowę z wysokim, ponurym mężczyzną, który twierdził, że nie znosi sherry i stał popijając z filiżanki wodę.

Choć niewątpliwie przykry, pogrzeb ten był dla mnie czymś w rodzaju wakacji. Na co dzień pracuję w Nowym Jorku, w nie najzdrowszym otoczeniu Dziesiątej Alei, toteż gdy otrzymałem obramowane czarno zaproszenie na pogrzeb dziadka, ucieszyła mnie myśl o wyjeździe z przepoconego miasta. Zazwyczaj brakuje mi pieniędzy lub powodów do zafundowania sobie przerwy, a tutaj powód był rzeczywiście istotny.

Nie mogę powiedzieć, żebym nie lubił Maxa Greavesa. Tak naprawdę, to nic do niego nie czułem, nie widziałem ani jego, ani Marjorie od wielu lat. W czasach, kiedy rodzice zabierali mnie do Winter Sails jeszcze jako dziecko, Max był zawsze wesoły oraz rozmowny. Jednak w miarę upływu lat stawał się coraz bardziej posępny i trudno było znaleźć z nim wspólny język. W końcu dałem sobie spokój. Wysyłałem kartki na Boże Narodzenie i drobne prezenty urodzinowe, ale cały czas trzymałem się z daleka od Hyannis. Nie ma nic zabawnego w podtrzymywanej na siłę konwersacji z gderliwym starszym człowiekiem.

Odpoczynek był mi potrzebny z jeszcze jednego powodu. Otóż właśnie zerwałem długą i niejednokrotnie bolesną znajomość z pochodzącą z bardzo dobrej rodziny blondynką, Alison McAllister. Kiedyś kochaliśmy się, ostatnio jednak cały czas dochodziło do kłótni. Pewnego dnia wstąpiłem do P.J. na piwo i spostrzegłem ją, jak tuli się do jakiegoś typa. I to był nasz koniec.

Za wakacjami przemawiał także fakt, iż przechodziłem właśnie kryzys zwątpienia w sens mojej pracy. Trudno wyjaśnić, czym się zajmuję, zwłaszcza, że nie wyglądam stosownie do mojej profesji. Chodzi mi o to, że gdy spotkacie dostojnego, lecz łysiejącego trzydziestolatka z Cleveland w stanie Ohio, obdarzonego dużym nosem i tendencją do zezowania na odległe obiekty, nie dojdziecie automatycznie do wniosku, iż macie przed sobą jasnovidza.

Wcześniej pracowałem w reklamie, zrezygnowałem jednak, gdy przejęto moją agencję i gdy straciłem dwa ulubione programy. Imałem się różnych zajęć, jak choćby oprowadzanie po Manhattanie niemieckich turystów Und hier ist das Woolworth Building czy nawet wyprowadzanie psów. Na koniec odnalazłem się w przepowiadaniu przyszłości tym często spotykanym starszym paniom, co to mają mnóstwo forsy, lecz nie starcza im stylu na zakupy na Piątej Alei. Przyozdobiłem swój pokój tak, aby przypominał siedzibę czarnoksiężnika (purpurowe kotary i oprawne w skórę książki), po czym dałem ogłoszenie do „New York Post”. Interes rozwijał się umiarkowanie, choć miałem smykałkę do przepowiadania podniecającej, a zarazem zagadkowej przyszłości. Z jeszcze większym talentem przekonywałem staruszki, że są komuś naprawdę potrzebne. Zarabiałem dosyć, by opłacić czynsz i jeździć nowym wozem Mercury Cougar, nie stać mnie jednak było na prawdziwe wakacje.

Kłopot polegał na tym, że zaczynałem odczuwać rozczarowanie światem duchów. Czasami naprawdę czujesz, że jest jeszcze coś, że coś czai się po tajemniczej tamtej stronie, kiedy indziej jednak zaczynasz myśleć, że wszystko to oszustwo, a wtedy robi ci się gorzko, jak po butelce ciemnego piwa. Od miesięcy ślęczałem nad kartami do Tarota, wpatrywałem się w liście herbaty i miałem wrażenie, że mój wielki talent okultystyczny opuścił mnie na zawsze. Między innymi dlatego przybyłem na pogrzeb Maxa. Może w

otoczeniu świeżo oderwanych od ciała dusz odnajdę inspirację do dalszej pracy? Odnajdę, a może i nie odnajdę. Cokolwiek się stanie, zawsze będzie to jakaś odmiana.

Trasę wokół pokoju zaplanowałem sobie tak, aby znaleźć się w pobliżu młodej damy o czerwonych ustach. Z bliska wydawała się nieco starsza, a zarazem bardziej atrakcyjna. Była niska, miała jednak piersi więcej niż obfite i lisi wyraz oczu, który zawsze kojarzy mi się z Sophią Loren.

Z właściwą sobie gracją wręczyłem jej wizytówkę. Podniosła przydymiony woal na czarny turban i przeczytała na głos.

— „Harry Erskine. Życie pozagrobowe to moja specjalność”. Wielkie nieba, co to oznaczał

— No cóż... oznacza to, że przepowiadam ludzki los. Zwłaszcza starszym paniom. Jako jasnowidz.

— Jasnowidz? A więc patrzy pan w kryształowe kule lub coś w tym rodzaju?

— No, może niekoniecznie kryształowe kule, choć jeśli to panią interesuje, potrafię się nimi posługiwać. Przede wszystkim używam kart do Tarota i liści herbaty. Całkiem dobrze radzę sobie również z tablicą Ouija. Tak zarabiam na życie. Dziewczyna popatrzyła na mnie w dziwny sposób.

— Nigdy dotychczas nie spotkałam jasnowidza. Czy pan naprawdę odczytuje przyszłość?

— Tak sądzę. W pewnych granicach. Uważam, że idzie mi to coraz lepiej, w miarę nabywania praktyki. To tak, jak ze wszystkim innym. Nie można prowadzić samochodu bez doświadczenia. To samo dotyczy przepowiadania przyszłości. Wie pani, okultyzm to materia delikatna i nie można tłuc się w podkutych butach po świecie duchów.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

— Myślę, że nie. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

— Tak czy inaczej, proszę to ode mnie przyjąć. Pociągnęła łyk sherry.

— Czy dobrze znał pan Maxa Greavesa? — zapytała.

— Całkiem nieźle. Był moim dziadkiem. Przyjaźnił się blisko z moim ojcem w jego studenckich czasach, czy jakoś tak. Zawsze mówiliśmy na niego „wujek”. To był bardzo interesujący gość.

— Wygląda na to, że nikt szczególnie nie ubolewa z powodu jego śmierci.

Wzruszyłem ramionami.

— Wie pani... na starość nieco zdziwaczał. Gdy byłem mały, dziadek wydawał się naprawdę miły, uprzejmy i hojny. Takim właśnie go pamiętam. Na dziesiąte urodziny dostałem od niego świetną kolejkę. Nigdy też nie zapominał o przysłaniu mi życzeń z okazji Bożego Narodzenia. Dopiero później zamienił się w odludka, łatwo wpadał w złość. Nie widziałem go od wielu lat. Sądzę, że była to wielka osobowość i tak jak i inne wielkie osobowości, sprawiał kłopot otoczeniu.

— Czym się zajmował? — zadała kolejne pytanie. — To znaczy, z czego żył?

— Miał coś wspólnego z ropą. Jakaś niezależna rafineria, nie przypominam sobie dokładnie. Ale większą część swej młodości spędził w Arabii; był związany z tamtejszą ropą. Oczywiście, działało się to jeszcze, zanim nastąpiły dni arabskiej polityki naftowej. Każdy biały był wtedy wielką szyszką. Miał w domu mnóstwo

arabskich rupieci, choć teraz wygląda na to, że wszystko zostało sprzedane. Lubiłem się bawić wielbłądzimi siodłami dziadka. Wie pani, samotny zwiadowca i inne takie rzeczy. Dziewczyna uniosła brew.

— A kto grał w tonto?

— Nigdy nie miałem tonta. Chyba zawsze byłem kimś w rodzaju samotnego zwiadowcy.

— Nie ożenił się pan?

— Żartuje pani? Może pani wyobrazić sobie, jak zarabiam na utrzymanie żony i pięciorga dzieci czytaniem z liści herbaty?

Jedyną jej odpowiedzią był uśmiech. Dopilem moje sherry. Według mnie było to amontillado zamurwane przez Edgara Allana Poe'a w ścianie piwnicy.

— Proszę posłuchać — powiedziałem do dziewczyny — znam na przylądku znakomitą restaurację, gdzie podają homary. Co pani myśli o lunchu? Oczywiście, o ile nie objadła się pani ciastkami.

— Dobrze — skinęła głową. — Może uda się panu odczytać moją przyszłość z połamanych szczypiec homara.

— Czytałbym raczej z pani dłoni lub nawet podeszew stóp. A tak przy okazji, jak się pani nazywa?

— Anna — usłyszałem w odpowiedzi.

— Anna jak?

— Po prostu Anna. Parsknąłem z niezadowoleniem.

— To bardzo tajemnicze.

— Nie chciałam, by zabrzmiało to tajemniczo. Tak właśnie jest i to wszystko.

— W porządku, po prostu Anno — powiedziałem po chwili. — Pozwól, że złożę kondolencje mojej babce, a potem pojedziemy coś zjeść. W tym czasie nie daj się sprowadzić na manowce obcym mężczyznom.

— Myślę, że już to nastąpiło — odrzekła z uśmiechem. Zostawiłem ją samą i przepychając się wśród rozszczebiotanych gości ruszyłem ku Marjorie Greaves oraz jej markotnemu rozmówcy. Omawiali właśnie słabą jakość współczesnego sprzętu kuchennego. Wydawało mi się, że każdy powinien być wdzięczny za wybawienie z takiej konwersacji.

— Marjorie — zagadnąłem, ujmując ją za ramię. — Czy możemy chwilę porozmawiać.

— Oczywiście — odparła. — Zechce mi pan wybaczyć, panie Gorst.

Pan Gorst z grobową miną wzniosł w górę filiżankę z wodą.

— Ależ naturalnie, pani Greaves, ależ naturalnie.

Marjorie sprawiała wrażenie roztargnionej. Nie była zboląta czy szczególnie smutna, zdradzała raczej objawy niepokoju i zamyślenia.



— Czy wszystko w porządku? — zapytałem. — Chyba nie masz kłopotów finansowych? Chodzi mi o dom...

Szybko potrząsnęła głową.

— Pieniądze nie mają tu nic do rzeczy. Mam ich dosyć. Nie ma potrzeby, aby się o nie martwić.

— Marjorie — zacząłem z powagą w głosie. — Dom chyli się ku upadkowi.

— Wiem — odparła, nie patrząc przy tym na mnie. — Ale to nie ma żadnego znaczenia.

— Nie ma znaczenia? Przecież to stary dom. Jeśli nie będziesz o niego dbać, zawali ci się na głowę. Trzeba tylko zrobić mały remont dachu i umocować rynny.

— I tak się zawali — powiedziała cicho.

— Zawali się? — zmarszczyłem brwi. — Nie rozumiem.

— Zburzę go, a potem sprzedam ziemię pod zabudowę. Powiedzieli mi, że będzie można postawić pięć domów na jednym akrze.

— No cóż... zmieszałem się. — Decyzja należy do ciebie. Może nawet ma to sens. Zawsze jednak myślałem, że kochasz Winter Sails. To piękny, stary dom, Marjorie. Szkoda byłoby go stracić.

Potrząsnęła głową.

— On musi być zniszczony.

— Jak to „musi”?

— Nie chcę o tym rozmawiać. To osobista decyzja, Harry i zapewniam cię, że tak będzie najlepiej. A teraz powinnam porozmawiać z Robertem, zanim stąd odjedzie.

Przytrzymałem jej rękę. Pod cienką tkaniną pogrzebowej sukni wyczułem zimną skórę. Zawsze się niepokoję, gdy dotknąwszy innych ludzi odkrywam, że temperatura ich ciała radykalnie odbiega od mojej. Jak na przykład lodowate stopy w łóżku lub świeża opalenizna.

— Marjorie — przypomniałem. — Jestem twoim wnukiem.

Wreszcie popatrzyła na mnie tymi swoimi uważnymi, czarnymi oczami krewetki.

— Harry, naprawdę nie mogę ci tego wytłumaczyć. Zagryzłem wargi.

— Myślę, że powinnaś — doradziłem jej. — Rozejrzyj się dookoła, Marjorie. Gdzie się podziały meble? Co się stało z obrazami?

— To były portrety — wyjaśniła Marjorie. — Nie wolno nam mieć portretów.

— Nie wolno mieć portretów? Co masz na myśli? Nieoczekiwanie Marjorie Greaves zaczęła drżeć. Nie był to spazm głębokiego żalu ani reakcja na nerwowe wyczerpanie. Był to histeryczny, paraliżujący strach. Tak trzęsie się koń, gdy zobaczy w słomie węża.

— Lepiej wyjdźmy na zewnątrz — powiedziałem i poprowadziłem ją najszybciej jak tylko mogłem pomiędzy zgromadzonymi gośćmi. Z drugiego końca pokoju Anna rzuciła mi pytające spojrzenie.

Podniosłem w górę otwartą dłoń, pokazując, że nie będzie mnie tylko pięć minut. Wzruszyła ramionami i skinęła głową. Przynajmniej moja apetycznie zapowiadająca się randka była pewna. Co prawda opuszczone przeze mnie miejsce zajął nieszczęśnik z filiżanką wody, ale raczej nie miał wielkich szans.

Na dworze, w pełni słonecznego blasku przeszliśmy w milczeniu pomiędzy zarośniętymi trawnikami i usiedliśmy na zardzewiałej ławce z kutego żelaza. Widziałem błyszczące morze w kolorze atramentu z rozrzuconymi na nim plamkami wydętych żagli, rozpadający się stary dom z gotycką wieżyczką i opadające w dół, zaniedbane ogrody. Słysząc było jedynie fale przyboju oraz skrzypienie blaszanej chorągiewki. Marjorie poprawiła siwiejące włosy, wyciągnęła chusteczkę i dyskretnie wytarła nos.

— Nigdy cię taką nie widziałem. Wyglądasz na bardzo wystraszoną.

Złożyła ręce na podołku i w milczeniu zapatrzyła się w morze.

— Nie rozumiem, dlaczego chcesz tak postąpić z domem — dodałem po chwili. — Czy Max nie chciał, żebyś go zatrzymała? Czy nie zostawił ci na to środków?

Marjorie nie odpowiedziała. Siedziała nieruchomo, jakby pozowała do portretu, a jej czarne pantofle tkwiły obok siebie w trawie niczym para posłusznych szczeniąt labradora.

— Sam już nie wiem — mruknąłem z rezygnacją. Wyciągnąłem z kieszonki czarnej kamizelki papierosy. Okazało się, że wszystkie były powyginane w kształt litery S. Wyprostowałem jednego, przypaliłem moim wiernym Zip—po i wydmuchnąłem dym na trawnik.

Podobna do szabli chorągiewka zaskrzypiała przeciągle. „Wziiipp, wziiipp”.

— Pod koniec Max nie był już sobą — powiedziała po kilku minutach Marjorie.

Skinąłem głową.

— To dlatego nic nie robił przy domu?

— O, nie — odparła. — Dobrze wiedział, co robi.

— Chcesz powiedzieć, że Max także zamierzał go zniszczyć?

— Tak. Był na to zdecydowany.

— Ale dlaczego? Jaki jest sens w rujnowaniu historycznego domu? Przecież Max go kochał.

Marjorie westchnęła nerwowo. Wyglądała na bardzo niespokojną, siedzenie w miejscu przychodziło jej z wyraźnym wysiłkiem.

— Nigdy nie wyjaśnił mi wszystkiego. Mówił, że dla mego bezpieczeństwa przekaże mi tylko to, co niezbędne.

Parsknąłem śmiechem. W tym, co mówiła Marjorie, nie było nic śmiesznego, pomyślałem jednak, że powinienem dodać jej otuchy, okazując swą beztroskę i jowialność.

— Wygląda mi to na jeden z niewinnych żartów Maxa — zawyrokowałem. — Doprawdy, nie powinnaś się tym przejmować. Sądzę, że najlepiej zrobi ci krótki wypoczynek. Opieka nad chorym człowiekiem wymaga dużego wysiłku.

Przyjrzała mi się oziębłe. Uśmiech zniknął z moich warg niczym spuszczone z balona powietrze.

— To nie był żart — zaprzeczyła. — A on nie był chory.

— Przecież sama mówiłaś, że nie był sobą.

— Co nie oznaczało, że był chory.

— Więc cóż to znaczyło? Mówisz dziś zagadkami.

Marjorie zajmowała się przez chwilę paznokciem, z którego niszczył się lakier. Gdy przemówiła, jej głos był suchy i rozważny, a ja odniosłem niepokojące wrażenie, że zbiera wszystkie siły, by powiedzieć mi prawdę.

— To miało coś wspólnego z dzbanem. Pamiętasz ten dzban?

Przytaknąłem.

— No pewnie. Chodzi ci o ten, który przywiózł kiedyś z Arabii, taki z niebieskimi kwiatkami i koźmi? Jasne, że pamiętam. W dzieciństwie był jedną z moich ulubionych rzeczy.

— No, więc — zaczęła Marjorie ostrożnie — było coś, o czym nikt z nas nie wiedział. To znaczy, Max wiedział, ale powiedział mi dopiero pod koniec. Ten dzban... — był jakiś dziwny.

— Jak to dziwny? Masz na myśli rzadki okaz?

— Nie, nie — zaprotestowała. Miał dziwne własności. Czasami śpiewał. To znaczy, wydawał odgłosy przypominające śpiew. Nigdy tego nie słyszałam, ale Max twierdził, że słyszał. Działo się to najczęściej w nocy. Kiedyś wszedł do swego gabinetu o drugiej lub trzeciej nad ranem i dzban śpiewał.

Ściągnąłem brwi.

— Śpiewał? Co śpiewał? Marjorie potrząsnęła głową.

— To nie była jakaś wyraźna melodia lub coś w tym rodzaju. W każdym razie z dzbana wydobywał się dźwięk, tak przynajmniej utrzymywał Max. Potem jeszcze parę razy zachodził w nocy na górę i słyszał ten śpiew.

— Sądzę, że było to jakieś zjawisko naturalne. Wiesz, mógł to być nawet wiatr prześlizgujący się ponad otworem dzbana.

— Nie — powiedziała twardo Marjorie. — Max wspominał, że zastanawiał się nad tym i przeniósł dzban do attyki. Śpiewał w dalszym ciągu. Poza tym, jak pamiętasz, szyjka dzbana była zapieczętowana woskiem, więc nie mogła być źródłem hałasu.

Zastanawiałem się przez chwilę paląc papierosa.

— Może coś znajdowało się w środku, na przykład jakieś przyprawy, i wydzielany przez nie gaz wydobywał się spod pieczęci?

— Dlaczego zatem działo się to tylko w nocy? — zapytała Marjorie. — Dlaczego nie śpiewał przez cały czas?

— Ponieważ w nocy powietrze jest chłodniejsze — wyjaśnił Albert Einstein Drugi. — Ciśnienie wewnątrz dzbanka stawało się wówczas względnie większe i gazy miały dostateczną energię, by przycisnąć się na zewnątrz.

Marjorie wzruszyła ramionami.

— Nie wiem, Harry. Wiem tylko tyle, że Max robił się coraz dziwniejszy. Był nerwowy, zmartwiony, często uskarżał się na ból głowy i dolegliwości żołądkowe. Mnóstwo czasu spędzał w gabinecie. Tłumaczył mi, że pisze wspomnienia, nigdy jednak nie znalazłam żadnych notatek, a on sam również niczego mi nie pokazywał. Często go o to pytałam, ale on odpowiadał, że zanim zabierze się za pisanie, musi przeprowadzić wiele badań. Bardzo się o niego martwiłam. Próbowałam nakłonić go do odwiedzenia lekarza, on jednak powtarzał, że choroba minie.

Obserwowałem tańczący w oddali pośród pian dwumasztowy jacht. Z góry dobiegał warkot samolotu, krążącego ponad lotniskiem w Hyannis.

— A co się stało z obrazami? — zadałem kolejne pytanie. — Dlaczego pozdejmował je wszystkie?

— Nie wiem. Powiedział, że musi. Powiedział, iż byłoby wielkim błędem pozostawić w domu jakikolwiek portret lub fotografię. Powynosił również wszystkie książki, na wypadek gdyby znajdowały się w nich jakieś ilustracje. Podobny los spotkał naszą tapicerkę.

Odrzuciłem niedopałek papierosa.

— Brzmi to rzeczywiście dziwnie. Po co to robił?

— Max mówił, że na tych meblach były wizerunki ludzi, więc nie mogliśmy pozostawić ich w domu. Nie mogliśmy mieć jakichkolwiek portretów. Przeglądał nawet artykuły spożywcze, aby sprawdzić, czy na którymś opakowaniu nie ma przypadkiem obrazu ludzkiej twarzy, a gdy na takie natrafił, zrywał nalepkę i natychmiast ją palił.

— Marjorie — stwierdziłem. — To naprawdę wygląda tak, jak gdyby Max był... no cóż.

— Wiem — odparła po prostu. — Dlatego właśnie nie chciałam nikomu mówić, co się dzieje. I tak nikt go nie lubił przez ostatnie lata. Ciężko było z nim wytrzymać. Ciągle się irytował i zrzędził, łatwo tracił panowanie nad sobą. Znosiłam to przez sześć lub siedem lat, Harry, i nie mogę zaprzeczyć, że niemal się cieszę z jego odejścia.

— Hmm — powiedziałem. — Rozumiem. Marjorie potrząsnęła głową.

— A ja nie. Cały czas zajmował się tym przeklętym dzbanem. Wyrażał się o nim jak o honorowym gościu, któremu nie wolno przeszkadzać. Zawsze mu powtarzałam, aby się go pozbył, on jednak mówił, że nie może. Kiedy zagroziłam, że go zniszczę, Max omal nie oszalał ze złości. Na koniec zamknął go w wieżycze.

Odwrociłem głowę i przyjrzałem się gotyckiej wieżycze, wznoszącej się nad zwróconą ku oceanowi częścią domu. Jej okna były ciemne i puste, ponad spiczastym dachem zaś monotonicznie poskrzypywała blaszana chorągiewka.

— Chcesz powiedzieć, że on nadal tam jest?

Marjorie potakująco skinęła głową. — Max zapieczętował drzwi. Kiedyś chodziłam tam szyć. Wiesz, jaki piękny roztacza się stamtąd widok. On jednak obstawał, aby zamknąć dzban w środku, a gdy to już się stało, nie pozwalał mi się zbliżyć. Wiem, że brzmi to absurdalnie i czasami sama myślałam, że kompletnie zwariował, ale w innych sprawach zachowywał się zupełnie normalnie. Z jakichś powodów dzban go martwił i to tak bardzo, że postanowił go zamknąć.

Podrapałem się po głowie.

— Chciałbym go zobaczyć.

Marjorie natychmiast chwyciła mnie za rękę. Zrobiła się bardzo blada, aż niemal zacząłem żałować, że poruszyłem ten temat.

— Och, nie. Nie wolno ci tego robić. Proszę cię, Harry. Max powiedział wyraźnie, żeby nie dotykać dzbana. Mieliśmy spalić dom i nie zbliżać się do niego.

— Spalić dom? Ależ, Marjorie, cała sprawa z minuty na minutę staje się coraz bardziej zwariowana! Według mnie najlepiej będzie, jeśli przyjrzymy się staremu dzbanowi Maxa i stwierdzimy, czym się tak przejmował. Może w środku są zarażone stare ubrania lub coś w tym rodzaju, a Max obawiał się, że wszyscy zapadniemy na jakąś arabską zarazę. Na litość boską, chyba nie boisz się dzbana?

— Max się bał. Parsknąłem.

— Wiem, Marjorie, ale ja się nie boję. Poza tym, nie sądzę, aby w zgodzie z mądrością Wschodu było podpalenie własnego dobytku z powodu jakiegoś starożytnego garnka, pełnego zapewne konserwowanych fig.

W tym momencie nadeszła przez nie strzyżony trawnik Anna. Jej woal trzepotał w podmuchach łagodnej bryzy.

— Kto to? — spytała Marjorie. — Czy to twoja przyjaciółka?

— Świeżo poznana przyjaciółka — odparłem. — Poznaliśmy się przed chwilą.

Marjorie szykowała się do następnego pytania, lecz gdy Anna zatrzymała się o kilka stóp przed nami, zmieniła zamiar.

— Nie chciałabym was popęczać — powiedziała Anna — ale jest już po pierwszej, a ja jestem okropnie głodna.

— To już tak późno? — zdziwiła się Marjorie. — Nie miałam pojęcia.

— Obiecałem zabrać Annę na lunch do Plymouth — wyjaśniłem. — Chcę, żeby spróbowała pieczonych ogonów z homara.

— Tak, są bardzo smaczne — zgodziła się Marjorie. — Dawno nie byłam w Plymouth.

— Proszę jechać z nami — zaproponowała Anna. — Jestem pewna, że Harry zechce potraktować babcię nie gorzej niż zupełnie obcą osobę, czyli mnie.

Popatrzyłem na nią. Wyglądała niezwykle atrakcyjnie, ale w tym momencie gotów byłem jej przyłożyć. Nic tak nie mogło zaszkodzić moim uwodzicielskim talentom jak niespokojna obecność Marjorie Greaves,

opowiadającej o dzbanach, portretach i etykietach na żywność. Moje marzenia o przyjemnym, pełnym ciepła lunchu w Plymouth, poprzedzonym krótką przejażdżką na plażę i baraszkowaniem na piasku; zaczęły się szybko rozwiewać. Patrząc w tę piękną, obramowaną ciemnymi włosami twarz o rysich oczach i czerwonych wargach, przywołałem na usta swój najkwaśniejszy uśmiech. Uśmiech, który prowokująco przesłała mi w odpowiedzi, był jak się zdaje jeszcze kwaśniejszy.

Gdy wróciliśmy do domu, większość pogrzebowych gości zbierała się już do wyjścia, musieliśmy więc poczekać, aż Marjorie ich pożegna i przyjmie kondolencje. Słońce zrobiło się chyba jeszcze gorętsze, zacząłem powoli topnieć pod moim czarnym garniturem. Zanim byliśmy gotowi do wyjazdu, stałem się lżejszy o dobre pięć funtów.

Plymouth była jedną z tych zacisznych, eleganckich restauracji, jakie znaleźć można w niewielkim, dobrze utrzymanym Cape Cod. Po drugiej stronie ulicy znajdował się pamiętający czasy kolonialne kościół ze złotym zegarem, otoczony schludną zielenią, która wyglądała tak, jakby przystrzyżono ją nożyczkami do paznokci. Pod rozłożystym kasztanem przycupnęła restauracja Plymouth i właśnie w jej wnętrzu zasiedliśmy przy stole z ciemnego dębu, spoglądając na świat poprzez osiemnastowieczne okna. Natychmiast staliśmy się ośrodkiem zainteresowania gadatliwej starszej pani w wiejskim fartuchu, której wyjątkowo łatwo udało się zasypać nasze kolana krakersami.

Anna i ja zamówiliśmy ogony homara. Zaraz potem wyszedłem na ulicę, by kupić do nich butelkę chablis. Natychmiast uderzył mnie skwar popołudnia. Pod najbliższym drzewem leżał czarno-biały pies z wywieszonym jęzorem, nieco dalej rozwalił się na siedzeniu swego wozu miejscowy policjant. Miał zamknięte oczy i zsuniętą na czoło czapkę.

Gdy wróciłem do stolika, przekonałem się, że Anna i Marjorie rozmawiają o dziwnym dzbanie Maxa. Marjorie opowiadała właśnie, jak to dzban został zamknięty w wieżyczce, a Anna słuchała jej z najwyższą uwagą.

— O Boże — jęknąłem. — Znowu do tego wracamy? Szczerze mówiąc, Marjorie, byłoby dla ciebie lepiej, gdybyś wyrzuciła ten przeklęty garnek i zapomniała o całej sprawie.

Anna wyglądała na obrażoną.

— Według mnie to jest interesujące — powiedziała. — Może to jakiś czarodziejski dzban?

Odkorkowałem butelkę wina i napełniłem kieliszki.

— Jasne, a oto czarodziejski afrodyzjak. Anna skosztowała wina.

— Nie wydaje mi się. Ile to kosztowało? Siedemdziesiąt pięć centów za butelkę?

Spojrzałem na nalepkę.

— Musisz wiedzieć, że jest to oryginalne, stuścioprocentowe francuskie chablis z Milwaukee, stan Wisconsin. Wypij dwadzieścia butelek, a docenisz jego wartość.

Przybył nasz posiłek. Ogony homara były jak zwykle soczyste, tłuste, a sałata chrupiąca i świeża. Marjorie walczyła z sałatką z wiejskiego sera. Szło jej to opornie, ale pomyślałem sobie, że ostatecznie nie co dzień grzebie się własnego męża, niezależnie od tego, czy był to podły łajdak, czy też nie. Przez chwilę jedliśmy w milczeniu.

— Wiecie co? — odezwała się Anna. — Sądzę, że powinniśmy zbadać ten dzban.

— Tak właśnie mówiłem — wpadłem jej w słowo. — Jestem przekonany, że mamy tu do czynienia ze zjawiskiem naturalnym. Niemal na wszystko, co pachnie okultyzmem, można znaleźć racjonalne wyjaśnienie.

— Nie zgadzam się z tobą — zaprotestowała Anna. — Według mnie to rzecz magiczna. Przede wszystkim jednak powinniśmy to sobie obejrzeć.

Marjorie nie wyglądała na szczególnie zachwyconą tym pomysłem.

— Max mówił, żeby go nie dotykać — przypomniała mi. — Nie staram się ciebie oszukać, Harry. Martwił się tym dzbanem bardziej, niż cokolwiek innym w całym swoim życiu.

— Tego właśnie nie rozumiem — powiedziałem. — Max był zawsze taki praktyczny. Dlaczego tak bardzo się tym przejmował?

— Może z powodu czarnej magii — podsunęła Anna. — Arabowie byli w swoim czasie wielkimi czarownikami.

Dolałem wina. Marjorie nawet nie tknęła swego kieliszka. Gdybym znalazł się w jej sytuacji, zdążyłbym już do tej pory spić się w trupa. Ona jednak zawsze była spokojną, rozsądną kobietą. Siedziała pochylona nad napoczętą sałatką i bardzo przypominała mi łagodnego skorupiaka, który znalazłszy się na lunchu w rybnej restauracji usiłuje dyskretnie coś zjeść, zanim współbiednicy spostrzegą go i pochłoną wraz z porcją.

— Całkiem serio uważam, że należy obejrzeć ten dzban — stwierdziłem. — W żadnym wypadku nie wolno ci podpalać domu. To wbrew przepisom przeciwpożarowym.

— Max bardzo nalegał — odrzekła z niepokojem w głosie.

— Wiem, że Max nalegał, ale Max jest... no cóż, Maxa już nie ma wśród nas. Bardzo trudno nalegać na cokolwiek z Restful Lawns.

— Myślę, że Harry ma rację, pani Greaves — poparła mnie Anna. — Nie może pani pozwolić, aby cała ta sytuacja tak panią przytłaczała. Może pani mąż miał rację i z dzbanem wiąże się coś dziwnego. Powinna pani wiedzieć, co to takiego.

— Nie wiem. Po prostu nie wiem, co robić.

— Proszę zostawić to nam — uspokoiła ją Anna. — Wieczorem wejdziemy z Harrym na wieżę i zbadamy ten dzban. Jeśli pani chce, zabierzemy go stamtąd i sprzedamy w pani imieniu, prawda, Harry?

— Co? A tak, tak. Uważam, że nie ma sensu przejmować się paskudnym, starym garnkiem. Moim zdaniem Max to wszystko sobie wymyślił. Może był przepracowany.

— Był na emeryturze — rzuciła krótko Marjorie.

— No właśnie — nie dawałem za wygraną. — Wielu aktywnych mężczyzn znalazłszy się na emeryturze, czują się niechcianymi i bezużytecznymi. Może stworzył tę historię z dzbanem, aby zająć się czymś ważnym. Cierpiał z powodu stresu, to wszystko.

Marjorie była bardzo blada. Otarła usta Inianą serwetką, po czym starannie złożyła ją na stole.

— Sądzę, że powinnam wam o czymś powiedzieć — odezwała się po chwili.

— Jasne. Wszystko, co zechcesz. Postaramy się zrozumieć.

— Nie wiem, czy to akurat zrozumiecie. Jak na razie, nikomu się nie udało. Tylko z powodu doktora Jandsa zachowałam wszystko w tajemnicy.

Ściągnąłem brwi.

— Co zachowałaś w tajemnicy, Marjorie? Czy coś jest nie w porządku?

Marjorie spuściła wzrok. Ze współczuciem wyciągnąłem ku niej rękę poprzez stół. Nie poruszyła się.

— Chodzi o sposób, w jaki umarł Max — powiedziała po prostu. — To nie było zbyt piękne.

Rzuciłem szybkie spojrzenie na Annę, nasze oczy spotkały się. Zamierzałem właśnie coś powiedzieć, lecz Anna uciszyła mnie przykładając palec do ust.

— To było w ostatni czwartek — podjęła Marjorie. — Obudziłam się w środku nocy i stwierdziłam, że Maxa nie ma w łóżku. Nie było w tym nic niezwykłego, zwłaszcza w ostatnich latach. Często chodził nocą po domu. Leżałam przez chwilę, nasłuchując. Chciałam sprawdzić, dokąd poszedł. Potem poczułam pragnienie, więc wstałam i przeszłam do łazienki, żeby napić się wody.

Głos Marjorie stał się tak cichy, że z trudem docierały do mnie jej słowa. Spuściła nisko głowę i niemal nie poruszając wargami, ciągnęła swą opowieść.

— Napełniałam akurat szklankę, gdy usłyszałam ludzi rozmawiających w kuchni na dole. Tak mi się przynajmniej zdawało. Ciekawiło mnie, kto to był. Jeden głos należał do Maxa, ale nie mam pojęcia, kim była druga osoba. Teraz myślę, że była to tylko gra mojej wyobraźni. Napiłam się i wracałam do łóżka, kiedy usłyszałam okropny krzyk. Nie potrafię powiedzieć, jak bardzo był przerażający. Zostałam zupełnie sparaliżowana przez strach. Nie mogłam się ruszyć. Ciągłe słyszałam krzyk. Trwało to trzy, cztery minuty, a może nawet dłużej. W końcu zeszałam na dół. Nie wiem, skąd wzięłam na to odwagę, ale zeszałam. Ten głos przypominał mi Maxa, więc ogarnął mnie lęk, że coś mu się stało. Przerwała na chwilę.

— Napij się — zaproponowałem. — Lepiej się poczujesz. Potrząsnęła głową.

— Nie wolno mi pić. Boję się upić.

— Daj spokój, Marjorie. Mały łyczek nie zrobi ci krzywdy.

Ponownie potrząsnęła głową.

— Przecież wiesz, że to zakazane. Oni na to nie pozwalają.

— Kto nie pozwala? — zapytała Anna. — Co pani ma na myśli?

Dotknąłem ramienia Marjorie.

— Nie martw się. Powiedz nam, co zaszło, gdy znalazłaś się na dole.



Jej głos stał się niemal zupełnie niesłyszalny. Szeptala swą historię, a ja utkwilem wzrok w pasemku siwych włosów na jej głowie.

— Zeszłam do hallu, ale go tam nie było. W salonie także. Tymczasem zrobiło się cicho, zupełnie cicho, a mnie ogarnęło przerażenie. Wtedy spostrzegłam zapalone w kuchni światło. Sączyło się wąską smugą spod drzwi. Bardzo wolno otworzyłam drzwi i... — przerwała, trwając w bezruchu pełną minutę.

— Marjorie — zacząłem łagodnie. — Nie musisz... Znowu zaczęła mówić tym swoim ściszym szeptem.

— Z początku pomyślałam, że nic mu się nie stało. Nie wiem, dlaczego tak pomyślałam. Był odwrócony do mnie plecami i pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłam, był tył jego głowy. Zaraz potem uświadomiłam sobie, co zrobił.

Umilkła znowu.

— Co? — zapytała Anna. — Co on zrobił? Marjorie popatrzyła na nas. Po raz pierwszy tego dnia w oczach miała łzy, choć jej głos był niemal pozbawiony emocji. Nie wiem dlaczego, ale ta łagodność głosu sprawiała, że słowa tym bardziej przyprawiały o mdłości.

— Nie bardzo wiem, jak on to zrobił — powiedziała. — Wyciągnął z szuflady nóż do mięsa i odciął sobie twarz. Nos, policzki, nawet wargi. I zrobił to zupełnie sam.

Anna siedziała zszokowana, z otwartymi ustami.

— Przepraszam — rzuciła, opuszczając stół najszybciej, jak tylko mogła. Co do mnie, to siedziałem trzymając Marjorie za rękę i walcząc ze wszystkich sił, by utrzymać na miejscu buszujące w moim żołądku homary.

2

Gdy wróciliśmy do Winter Sails, większość gości już odjechała. Pozostała jedynie starsza dama, pochłonięta rozmową z ubraną w dziecięcy róż towarzyszką Marjorie o wystających zębach oraz jakiś nafcjarz z rumianym obliczem, który siedział ściskając głowę między kolanami (przyszedł z własną piersiówką). Oprócz tych dwojga dom był zupełnie pusty. Po gościach zostały tylko ślady opon, puste kieliszki i brudne pielniczki.

— Chyba napiję się herbaty — oznajmiła Marjorie, wprowadzając nas do salonu. — Zechcecie mi w tym towarzyszyć?

Pokręciłem głową.

— Nie pijam herbaty. Żle działa na wyściółkę żołądka. Wiecie, w Chinach zmuszali eunuchów do picia setek filiżanek herbaty dziennie, a potem rozcinali im brzuchy i robili z żołądków piłki.

Anna mocno trąciła mnie łokciem w żebra. — Przepraszam — powiedziałem. — To nie było w najlepszym guście.

— Nie przejmuj się, Harry — westchnęła Marjorie — im szybciej wrócę do normalności, tym lepiej. Przez wiele lat żyłam z Maxem z dala od świata. Byliśmy tacy odosobnieni. Zawsze nalegałam, by pozwolił mi robić zakupy osobiście, gdyż przynajmniej w ten sposób mogłam wydostać się z domu i spotkać normalnych ludzi. Panno Johnson, zechce pani podać nam herbatę.

Różowa dama uniosła głowę.

— W tej chwili, pani Greaves — odparła cicho.

— Jak długo tutaj jest? — zapytałam, gdy wyszła z pokoju. — Nie przypominam jej sobie.

— Trafiła tu z agencji — wyjaśniła Marjorie. — Jest bardzo cicha i bardzo dziwna, ale nie wiem, co bym bez niej zrobiła.

— Ona mi kogoś przypomina — wtrąciła Anna w zamyśleniu. — Nie mogę sobie jednak przypomnieć, kogo.

— Jest bardzo skromna. Czasami zastanawiam się, czy jest szczęśliwa.

Siedzieliśmy na niewygodnych kanapach. Rumiany nafcierz mamrotał coś do siebie o Jezusie Chrystusie, a staruszka, która rozmawiała wcześniej z panną Johnson, bez końca grzebała w swojej torebce. Wyglądało więc na to, że na razie nie musimy się nimi zajmować.

— Ten dzban — zacząłem, zapalając papierosa. — Czy pamiętasz, gdzie go Max znalazł?

Marjorie potrząsnęła głową.

— Nie zabierał mnie na każdą wyprawę. Sądzę, że kupił go w Persji od jakiegoś handlarza. Zazwyczaj wszystko pakował w skrzynie i wysyłał do Stanów Zjednoczonych, a ja musiałam odbierać nadchodzące z Arabii tajemnicze pakunki. Gdy działo się to podczas jego nieobecności, składałam je tylko w jednym miejscu. Nigdy niczego nie otwierałam. Prawdę mówiąc, arabskie antyki nigdy mnie szczególnie nie fascynowały.

— Czy pani świętej pamięci mąż prowadził dzienniki podróży? Chodzi mi o to, czy według pani mogłoby się w nich znajdować coś, co pozwoliłoby stwierdzić, czym był ten dzban i gdzie został znaleziony?

— Doprawdy trudno mi powiedzieć. W bibliotece na górze miał setki notatników. Może uda wam się coś tam znaleźć.

— A pani ich nie oglądała?

— Nie. Za życia nigdy mi na to nie pozwalał. A teraz gdy umarł... no cóż, nie chcę ich widzieć. Będę bardzo szczęśliwa, kiedy wszystko się skończy i zostanie zapomniane.

Marjorie piła herbatę, a my zmieniliśmy temat rozmowy. Wierna panna Johnson poskąpiła herbaty tak samo, jak przedtem sherry. Z dzbanka popłynęła ciecz w kolorze brudnego szkła, która jednak zdawała się ożywiać Marjorie. Toteż gdy skończyła herbatę i zjadła ocalały kawałek placka, poczuła się na siłach, by zaprowadzić nas na górę, do gabinetu Maxa.

W gorące, letnie dni pokoje na piętrze w starych, drewnianych domach zawsze wydają woń pleśni. Winter Sails nie był wyjątkiem, nawet pomimo otwartych świetlików, przez które wpadała do środka morska bryza. Marjorie poprowadziła nas pustym, wąskim korytarzem biegnącym przez całą długość domu.

Jako chłopiec uganiałem się po nim tam i z powrotem, udając podchodzący do lądowania B-47. Wreszcie otworzyła drzwi, prowadzące do leżącego od strony lądu pokoju i zaprosiła nas do środka.

Zapachniało zakurzonymi, starymi papierami, staroświeckimi taśmami maszyn do pisania i zwietrzałym dymem tytoniowym. Pamiętałem, że Max Greaves palił okazałą fajkę z pianki morskiej, przyozdobioną twarzą nachmurzonego Araba. Wokół pokoju ciągnęły się półki z poupychanymi na chybił trafił książkami oraz różnymi papierami. Błat biurka nikał pod poślizgniętymi dokumentami, oprawnymi w skórę tomami, ołówkami, mapami, arabskimi słownikami i Bóg wie czym jeszcze. Kosz na śmieci wypełniały po brzegi skrawki porwanego papieru, po podłodze zaś walały się sterty arabskich gazet i czasopism. Podniosłem pierwsze z brzegu. Wycięto z niego wszystkie fotografie, które potem zapewne zniszczono.

— Max nigdy nie miał zamiłowania do porządku — rzuciła od drzwi Marjorie. Pozostała na zewnątrz, najwidoczniej nie zamierzając w ogóle wchodzić do gabinetu.

— Porządek? — spytałem. — Wygląda to tak, jakby zafundował sobie prywatne tornado.

— Zaglądajcie, gdzie chcecie. Mnie to nie interesuje. Teraz, gdy Max odszedł... no cóż...

Anna otoczyła Marjorie ramieniem i przytuliła ją pocieszająco.

— Niech się pani nie martwi, Marjorie. Zupełnie nie będziemy pani przeszkadzać.

Przeglądałem papiery na biurku. Były tam wycinki prasowe, odręczne notatki, stare listy przewozowe i zapchane kalką teczki. Zupełnie nie wiedziałem, od czego zacząć.

Przed odejściem Marjorie wręczyła mi klucz. Pamiętałem go jeszcze z dzieciństwa, gdy wisiał na haku obok drzwi do wieżyczki.

— To od wieżyczki, na wypadek gdyby był wam potrzebny — powiedziała Marjorie. — Obawiam się, że Max dodatkowo opieczętował drzwi, możecie więc mieć kłopoty z wejściem do środka. Oczywiście, jeżeli w dalszym ciągu zamierzacie to zrobić.

— Woląaby pani, żebyśmy zrezygnowali? — zapytała Anna.

— Po tym, co spotkało Maxa, myślę, że najlepiej będzie zniszczyć to wszystko — stwierdziła kategorycznie Marjorie. — Mnie nic już nie ciekawi.

— W porządku — zgodziła się Anna. — Postaramy się być ostrożni.

Marjorie stała jeszcze przez chwilę w milczeniu. Potem skinęła nam głową i odeszła w głąb korytarza ciężkim krokiem kogoś, kto pogodził się z losem, jakkolwiek by on był. Nie dodało mi to entuzjazmu do grzebania w papierach Maxa, choć z drugiej strony czułem, że winni jej jesteśmy wyjaśnienie tego, co mu się przytrafiło. Pewnego dnia, gdy szok minie, zechce poznać prawdę.

Anna zaczęła przeczesać półki pod ścianami wąskiego gabinetu. Odniosłem dziwne wrażenie, że ta dziewczyna wie, czego szuka. Przerzucała różne papiery szybko, pewnie. Przerwałem oględziny biurka i zacząłem ją obserwować. Im dłużej patrzyłem, tym silniejsze stawało się moje przeświadczenie. Byłem pewien, że interesuje ją coś konkretnego.

Kiedy znalazła segregator pełen starych materiałów o perskich słojach i dzbanach, usiadłem na skraju biurka, zakładając rękę.

Anna podniosła wzrok. Przyciskała do piersi gruby plik papierów, znad których pośłała mi nerwowy uśmiech.

— O co chodzi? — zapytała. — Wyglądasz na zaniepokojonego.

Skinąłem głową.

— Istotnie. Niepokoi mnie to, kim jesteś i co tutaj robisz. Nagle dotarło do mnie, że wiesz, o co ci chodzi, podczas gdy ani Marjorie, ani ja nie mamy pojęcia, kim jesteś naprawdę. Nie licząc oczywiście „po prostu Anna”.

Popatrzyła na mnie z powagą.

— A uwierzyłbyś, gdybym ci powiedziała? Albo inaczej: nie powiedziałam ci, bobyś mi nie uwierzył. Jesteś bardzo cynicznym człowiekiem.

— Nie sądzę, aby mój cynizm dał się porównać z twoim, moja droga — parsknąłem. — Właśnie oszukałaś pogrążoną w rozpacz wdowę i to w dniu pogrzebu jej męża. Jeśli potrafisz wymyślić coś bardziej cynicznego, to powinnaś wystąpić z pomysłem na konkurs. Nagroda murowana.

— No dobrze — ustąpiła. — Jeżeli naprawdę chcesz wiedzieć, to ci powiem.

— Mam nadzieję.

— Nazywam się Anna Modena. Jestem, jak to się nazywa, konsultantem w dziedzinie eksportu zabytków.

Wytrząsnąłem z pomiętej paczki papierosa i zapaliłem go.

— Brzmi to równie prawdziwie jak „jasnowidz”. Czym się właściwie zajmuje taki konsultant do spraw eksportu zabytków.

Anna otworzyła segregator i położyła go na biurku. Wertowała zleżące, stare papiery, co jakiś czas pokazując mi spisy arabskich przedmiotów, które Max przywiózł ze Środkowego Wschodu.

— Max Greaves wywiózł z Persji, Arabii Saudyjskiej oraz Egiptu niektóre spośród najcenniejszych i najciekawszych wyrobów ceramicznych, statuetek, przedmiotów z miedzi i mosiądzu oraz starych naczyń. Większość z nich zgromadził w latach trzydziestych lub czterdziestych, kiedy ceny na takie rzeczy były jeszcze stosunkowo niskie.

W tamtych czasach wielu czarnorynkowych handlarzy można było namówić do wydobycia ich z muzeów, starożytnych grobowców, nawet z prywatnych domów arabskich kolekcjonerów. Niemal wszystkie przywiezione przez Maxa Greavesa do Stanów Zjednoczonych zabytki, tak samo jak większość wszystkich zabytków wywożonych przez kolekcjonerów do Europy i Ameryki, z formalnego punktu widzenia zostały skradzione. Spokojnie wypuściłem dym z papierosa.

— Jedź dalej.

— Teraz sprawy przybrały inny obrót — podjęła. — Równowaga sił finansowych działa bardziej na korzyść Arabów niż Europejczyków czy Amerykanów. W związku z tym wiele krajów arabskich podejmuje starania w celu odzyskania swych bezcennych pamiątek i umieszczenia ich w muzeach lub historycznych

miejscach, z których pochodzą. Moja praca polega na odnajdywaniu takich przedmiotów i pomocy w zwróceniu ich Arabii.

— Rozumiem — powiedziałem łagodnie. — Zatem, wiedziałas o tym dzbanie od dawna.

Skinęła głową.

— Jest bardzo stary i bardzo cenny. Wzmianka o nim znajduje się w „Księdze Czarów” Abdula Hazw’halli, napisanej prawdopodobnie w piątym wieku przed naszą erą. Wiąże się z nim również legenda o Hassanie i Sabie. Muzeum w Kairze ma jego rysunek i chociaż jest to zaledwie kopia oryginalnego szkicu, jej wiek szacuje się na ponad tysiąc lat.

— Powiedziałaś, że wspomina o nim „Księga Czarów” — zacząłem spokojnie. — Czy to oznacza, że może on posiadać właściwości magiczne? Sama przecież wspominałaś coś o czarnej magii.

Anna westchnęła.

— Nie wiem. Wzmianka jest tak krótka, że na jej podstawie nie można niczego powiedzieć. Analizując jednak cały tekst...

— Magiczny?

Otworzyła swój czarny portfel i wydobyla z niego złożony fotostat, który następnie wręczyła mi bez słowa.

Rozłożyłem papier. Był na nim fragment arabskiego tekstu. Nie znam arabskiego, więc nawet nie udawałem, że czytam. Z wyglądu przypominało to maszerujące rzędami robaczki. Na szczęście pod spodem dołączono wystukane na maszynie tłumaczenie.

— Przeczytaj to — poleciła Anna. — Jest nieco kwiecisty, ale interesujący.

Zaciągnąłem się dymem i przeczytałem na głos: „U schyłku panowania króla Hamy dworscy czarnoksiężnicy wzorem dawnych lat mieli niezwykle dzbany, znane jako Dzbany Dżinnów i posiadali umiejętność władania nimi, wydobywając z ich wnętrza emanacje nieznanne ludziom śmiertelnym. Nikt nie wiedział, skąd owe dzbany przybyły, nikt też nie zdołał zgłębić sekretów nadwornych czarnoksiężników, choć krążyły słuchy, jakoby rządili tajemnymi mocami za pomocą pewnych pieśni i zaklęć. Największym spośród wszystkich magów był Ali Baba, zaś jego Dzban Dżinnów miał zawierać najpotężniejsze emanacje. Nigdy nie widziano go otwartym, a sam Ali Baba mówił, że nie można patrzeć na to, co kryje się w jego wnętrzu. Dzban Ali Baby ozdobiły konie Niepojętego Nazwaha i kwiaty opium”. Przerwałem czytanie i podniosłem fotostat.

— Czy to żart? — zapytałem zimno. Anna wzruszyła ramionami.

— A jak myślisz? Postukałem palcem w papier.

— Ali Baba? A co z czterdziestoma rozbójnikami? Może zostawiłaś ich w domu?

Odebrała mi fotostat.

— To nie jest w porządku. Jestem zatrudniona przez irańskie ministerstwo kultury i wykonuję legalny zawód. Zwracam skradzioną własność, a nie włamuję się do domów. Poza tym, gdybyś wiedział nieco więcej o mistyce, jasnowidztwie, czy jak ty to sobie nazywasz, orientowałbyś się, że Ali Babę wymieniają

niemal wszystkie stare magiczne księgi Persów. Był jednym z najstynniejszych czarnoksiężników na całym Środkowym Wschodzie.

— Więc myślisz, że rzeczywiście tak było? Próbujesz mi wmówić, że to prawda?

Zamknęła z trzaskiem portfel.

— Nie zadawałabym sobie trudu przybycia tutaj, gdyby tak nie było — odparła. — O ile się orientuję, Max Greaves wszedł w jakiś sposób w posiadanie oryginalnego Dzbana Dżinnów i wywiózł go do Ameryki. Jak widać z opisu, jest to ten sam dzban.

— Podobny dzban. Na ilu dzbanach mogą być konie i kwiatki?

— Przypuszczam, że na tysiącach. Ale konie Niepojętego Nazwaha były wyjątkowe. Jeśli widziałeś ten dzban w dzieciństwie, to powinieneś pamiętać, że nie miały oczu.

Zduśłem papierosa i wypuściłem ostatni kłęb dymu.

— W porządku, były bez oczu. Ale i tak można znaleźć masę dzbanów z obrazkami bezokich koni. Skąd wiesz, czy ten jest akurat prawdziwy?

— Nie wiem — Anna spuściła głowę. W każdym razie nie z całą pewnością. Dlatego właśnie muszę go zobaczyć. Muszę jednak przyznać, że jestem zmartwiona.

— Czym? Sądzisz, że Marjorie obrazi się za to, co zrobiłaś i wywali cię z domu? Musisz przyznać, że na to zasłużyłaś.

— Nie, tym się nie przejmuję. Wiem, że ona mnie zrozumie, gdy z nią porozmawiam. Bardziej martwi mnie to, co się stanie, jeżeli to jest prawdziwy dzban.

— Anno — zacząłem. — Usiłujesz mi wmówić, że ten dzban to coś wyjątkowego, a ściślej, że jest to przedmiot magiczny. Czy tak?

— Tak, dokładnie to chcę powiedzieć.

— Ale jak możesz... ?

— Czy wiesz, co oznacza słowo dżinn? — zapytała żarliwie. — Czy masz pojęcie, czym są dżinny?

Potrząsnąłem głową. Wielu ludzi ma ten cudowny dar wzbudzania we mnie poczucia ignorancji.

— Pamiętasz Alladyna i jego Cudowną Lampę? Przypominasz sobie wszystkie te opowieści o schwytych w butelkę dżinnach? Dżinny były demonami Arabii, potężnymi duchami żywiołów. Mieszkały w skałach, wodzie, niebiosach, we wszystkim co wiązało się z życiem starożytnych. Niektóre były kapryśne, inne nie, lecz w owych czasach nie miało to większego znaczenia. Starszyzna arabskich czarnoksiężników poznała sposoby kierowania dżinnami i karania ich za pomocą zaklęć oraz czarodziejskich zagadek. Najgorszą rzeczą, jaka mogła spotkać dżinna, było zamknięcie w jakiejś ograniczonej przestrzeni, na przykład w lampie, dzbanie czy butelce. Stąd właśnie wywodzą się tak liczne historie o ludziach uwalniających dżinny z butelek, za co duchy okazują swą nieskończoną wdzięczność i obiecują zostać niewolnikami swych wybawców. Niestety, to ostatnie jest czystą fantazją.

— Jak wszystko, co mi dotychczas opowiedziałaś. Anna odwróciła się.

— Nie mogę cię zmusić, żebyś mi uwierzył. Mogę ci tylko powiedzieć, o co w tych historiach chodzi. A także to, iż spotkałam wielu Irańczyków, którzy wierzą w istnienie džinnów. Z faktu, że coś działo się dawno temu, nie wynika wcale, że było tylko wytworem czyjejś fantazji.

— W porządku. Przypuśćmy, że to nie fantazja. Jakich powodów do zmartwień dostarcza ci nasz dzban? Nie liczę oczywiście tego, co przytrafiło się Maxowi, ale nie widzę tu żadnego związku.

— Nie wiem. Tego właśnie chciałabym się dowiedzieć, zanim spróbujemy tam wejść albo otworzyć naczynie. Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

— Ale skąd ktokolwiek może wiedzieć, co robiły džinny, nawet jeśli kiedyś istniały? „Księga Czarów” mówi, że nadworni czarnoksiężnicy mieli dzbany „wzorem dawnych lat”, a słowa te zostały zapisane pięćset lat przed naszą erą. Chodzi mi o to, że nie znajdziemy nikogo, kto pamiętałby złe, stare czasy džinnów.

— Mamy baśnie i temu podobne. Jest też parę arabskich ksiąg okultystycznych.

— I co one mówią?

— Niewiele. Twierdzą jednak, że uwolnione ze swego więzienia džinny stają się złe i mściwe, niemal wymykają się spod kontroli. Dżinn Ali Baby był prawdopodobnie najpotężniejszy i, według mnie, można go porównać do bomby wodorowej tamtych czasów.

— Tylko tyle? — zapytałem.

— Nie. Jest jeszcze coś. Coś ważnego.

— To zaczyna być przekonujące.

Wzruszyła ramionami, jakby nie obchodziło ją, czy wierzę w jej słowa. Dżinny robią wszystko, aby nakłonić ludzi do wypuszczenia ich z zamknięcia: butelek, lamp czy innych naczyń. Często po śmierci czarnoksiężników ich dzbany wpadały w ręce ludzi nie mających pojęcia, co to takiego, a wówczas džinny wywierały na nowych właścicieli silny wpływ, zmuszając ich do otwarcia naczynia. Oczywiście, kiedy tylko korek został usunięty...

Jeszcze raz otworzyła portfel. Szperała w nim przez chwilę, po czym wręczyła mi wycinek z londyńskiego „Daily Telegraph”, noszący datę 26 kwietnia 1951. Tytuł głosił:

#### TRĄBA POWIETRZNA WYMIERZA

#### SPRAWIEDLIWOŚĆ RABUSIOM GROBOWCÓW.

„Trzech perskich rabusiów grobowców, uciekając ze starożytnymi wyrobami szklanymi i garncarskimi o wartości przekraczającej pięćset tysięcy dolarów, poniosło śmierć w wyniku potwornej trąby powietrznej, która pochłonęła ich jeepa. Naoczni świadkowie zeznali, że z niezrozumiałych powodów rabusie obrali wyjątkowo trudną górską drogę, przez co na wybojach uległo stłuczeniu kilka spośród skradzionych dzbanów i półmisek. W chwilę później nadciągnęła trąba powietrzna i porwała ich do góry, unosząc na

wysokość ponad trzydziestu stóp. Wiatr zniknął równie nagle, jak się pojawił, pozostawiając na piasku swe ofiary, które wkrótce zmarły w szpitalu na skutek odniesionych obrażeń”.

Zwróciłem jej wycinek.

— No pewnie, że ciekawe — przyznałem. — Ale niczego nie dowodzi.

— Nic niczego nie dowodzi, panie Erskine — westchnęła. — To czysta teoria i nie zamierzam udawać, że jest inaczej. Ale chciałabym, żebyś przynajmniej spróbował mieć otwarty umysł.

— W porządku. Trzech bandytów zostało pochwyconych przez trąbę powietrzną. Mój umysł jest otwarty.

— Nie oczekuje od ciebie, że przyjmiesz to wszystko za świętą prawdę, zwłaszcza przy tak powierzchownym przedstawieniu — powiedziała Anna. — Sugeruję tylko nieco ostrożności na wypadek, gdyby z jakiś powodów dzban jej wymagał. Wiem, że historie o dżinnach są bardzo stare i mogą niezupełnie pokrywać się z prawdą, że mit dżinnów mógł być ekstrapolacją strachu przed czymś nieznanym, jakąś chorobą lub eksplozją, nie wiem. Co do mnie, osobiście wierzę w magiczne oddziaływania. A ty, jeśli nawet nie wierzysz, powinieneś zachować ostrożność. Ludzie nie przekazują sobie ostrzeżeń przez dwa tysiące lat bez jakiegoś istotnego powodu. Poza tym, żyjący na Saharze Arabowie mają swoje określenie dla trąby powietrznej.

— Zechciej mnie oświecić.

— Nazywają ją dżinn. Wierzą, że takie trąby to nic innego, jak tańczące na wietrze złe duchy.

Pokiwałem głową.

— No dobrze. Cała historia wydaje się nieco naciągana, ale jeśli ma to wpłynąć na poprawę twego samopoczucia, zgadzam się zachować ostrożność. Ostatnia rzecz, jakiej bym pragnął, to dać się złapać jakiejś potwornej trąbie powietrznej.

Anna przyciągnęła sobie stare, rzeźbione krzesło i usiadła na nim, umieszczając segregator na swych kształtnych kolanach.

— Skoro w końcu doszliśmy do porozumienia — oświadczyła — przejrzyjmy resztę papierów. Może dowiemy się czegoś więcej o dzbanie.

— Dobrze. Przerzucę te dzienniki na biurku. Czy orientujesz się, kiedy mniej więcej ten dzban dotarł do Stanów? Pomogłoby mi to zacząć od właściwego rocznika.

Wodziła palcem wzdłuż gęsto zapisanych linijek wykazu egipskiej ceramiki.

— Myślę, że około roku 1948 lub 1949. Był tutaj w czasach twego dzieciństwa, nieprawdaż? Postaraj się przypomnieć sobie, kiedy ujrzałeś go po raz pierwszy.

Podniosłem stosik czarnych, błyszczących dzienników, związanych gumką.

— Mam dopiero trzydzieści trzy lata — rzuciłem w jej kierunku. — Nie oczekuj po mnie wspomnień Elizabeth Jane Portman.



Dzienniki sięgały roku 1954. Przejrzałem je pobieżnie, w większości były to jednak rutynowe, niezbyt ciekawe notatki: „Zabrałem psy na spacer... jadłem lunch z Binneyem... paskudna dzisiaj pogoda... spacerowałem po plaży... do herbaty były bułki”. Nic takiego, z czego zbudowane są wielkie biografie.

Dźwignąłem stertę arabskich dokumentów i przenieśliem je na drugą stronę biurka, licząc, że może znajdę pod nimi jeszcze jakieś dzienniki. Dzienników wprawdzie nie znalazłem, za to spod papierów wyłoniła się stara, wykonana z pianki morskiej fajka Maxa Greavesa. Miała mocno pogryziony cybuch i poplamioną tytoniem główkę. Podniosłem ją i obróciłem, a wówczas doznałem szoku, który podziałał na mnie jak uderzenie mokrym ręcznikiem. Wyrzeźbiona z przodu główki wykrzywiona twarz Araba, która tak bardzo podobała mi się, gdy byłem chłopcem, została gładko odłupana. Tam, gdzie kiedyś była twarz, teraz ciągnęła się gładka płaszczyzna. Przez dłuższą chwilę wpatrywałem się w fajkę.

— Anno! — zawołałem.

— Tak? — odpowiedziała, nie odrywając się od rachunków frachtowych z Port Saidu.

— Anno, popatrz na to. — Wyciągnąłem ku niej fajkę.

— O co ci chodzi?

— Tutaj była kiedyś twarz. Wyrzeźbiona twarz Araba. Ktoś ją odłupał.

Anna popatrzyła uważniej.

— Może to Max Greaves. Wygląda na to, że miał jakąś obsesję na punkcie portretów.

— Anno — zacząłem cierpliwie — on kochał tę fajkę. Nigdy by czegoś takiego nie zrobił. A jednak nie wygląda to na uszkodzenie przypadkowe. Ktoś musiał ją uszkodzić celowo.

Anna przestała czytać.

— Zastanawiam się...

— Nad czym się zastanawiasz?

— Zastanawiam się, czy w tej historii z portretami i zdjęciami nie kryje się coś więcej. Czy nie ma to jakiegoś związku z dzbanem.

Odłożyłem fajkę na miejsce.

— To nie ma sensu. Bardziej prawdopodobna wydaje mi się fobia. Podobne lęki dręczyły hiszpańskiego malarza, Goyę. Obawiał się, że jego obrazy mogą ożyć. Może Max doznał zachwiania równowagi psychicznej i przeżywał podobne niepokoje; nie chciał, by jego portrety zbudziły się do życia.

Anna wzruszyła ramionami.

— Marjorie przysięgała, że nie był stuknięty. Ale przecież, z drugiej strony, popełnił samobójstwo.

Powróciłem do grzebania pośród zalegających biurko papierów.

— Mówiąc ściślej, odciął sobie twarz. Tak, jak tej fajce. To samo zrobił ze zdjęciami w gazetach. I pozdejmował obrazy ze ścian. Z jakichś powodów Max Greaves nie chciał mieć w domu ani jednej twarzy. Nawet własnej.

— Postaraj się odnaleźć późniejsze zapiski — poradziła Anna. — Może one coś nam wyjaśnią.

Przełożyłem kilka zszywek gazet. Pod nimi rzeczywiście natknąłem się na nową porcję notatników, związanych elastyczną taśmą. Oddałem się lekturze, szukając czegokolwiek, co pomogłoby nam zrozumieć zachowanie Maxa lub poznać pochodzenie jego arabskiego dzbana. Anna, będąc lepiej przygotowana, skoncentrowała się na urzędowych pozwoleniach eksportowych i kwitach przewozowych.

Na pierwszy rzut oka dzienniki wydawały się zapełnione krótkimi wpisami ilustrującymi szarą codzienność: „Poszliśmy z J. na lunch do Provincetown; cichy, b. mglisty dzień”. Kiedy jednak dotarłem do połowy roku 1959, natknąłem się na niezwykle długi, gęsto zapisany ustęp. Notatka zajmowała dwie strony, niektóre linijki były przekreślone i przepisane ponownie. Patrząc na nią odniosłem wrażenie, że jest to wypowiedź człowieka, który postanowił przelać na papier swe skrywane dotąd lęki i nadzieje. Miejscami otwarta i szcera, w innych fragmentach stawała się niepewna i mało istotna. Można by pomyśleć, że pisało ją dwóch różnych ludzi. Zacząłem cicho czytać:

„Zastanawiałem się nad tym nie po raz pierwszy. Czasami nachodzi mnie ochota, aby dać wszystkiemu spokój. Uważam, że dla kolekcjonera takiego jak ja, stanowi to coś w rodzaju wyzwania; jednak obcowanie z podobnymi rzeczami wymaga dużej wiedzy. Stary P. miał rację, twierdząc, że to samoistnie wpada w rezonans. Potem dźwięk stał się jeszcze wyraźniejszy. Przyznaję, iż kusi mnie, aby zajrzeć do środka nie zważając na ich zakazy i ostrzeżenia. Zupełnie nie rozumiem, jak coś takiego jest zdolne do jakiegokolwiek oddziaływania po tylu latach. Przytąpuję się na tym, że myślę o nim coraz częściej i poważnie rozważam, czy nie powinienem złamać pieczęci i sprawdzić, co jest wewnątrz. Z wielu względów sytuacja jest denerwująca. Ilekroć na to patrzę, ogarnia mnie coś na kształt gorączki. Nie wiem, jak mam wyjaśnić to Marge. Dla niej to po prostu dekoracja i nic więcej. Czy powinienem jej powiedzieć? Mimo wszystko sprawa wygląda śmiesznie i może to tylko zapowiedź nadchodzącej starości”.

Podąłem dziennik Annie, a ta, skończywszy czytać, powiedziała:

— A więc to dzban. Wiedział, co to jest, i martwił się z tego powodu. Martwił się już w roku 1959, a więc wiedział od momentu kupna.

— Skąd wiesz?

Wskazała dziennik długim, pomalowanym na czerwono paznokciem.

— „Stary P.” oznacza zapewne starego Persa. A popatrz tutaj: „nie zważając na ich zakazy i ostrzeżenia”, kimkolwiek by byli „oni”, chodzi tu oczywiście o ludzi, od których go kupił.

— No cóż — stwierdziłem z ociąganiem. — W tym miejscu zmuszony jestem przyznać ci rację.

— Jeszcze coś pasuje do naszej łamigłówni — dodała, ponownie wyciągając złożony fotostat. — Ten akapit o tym, jak to „Ali Baba mówił, że nie można patrzeć na to, co kryje się w jego wnętrzu”. Pokrywa się to z treścią ostrzeżeń otrzymanych przez Maxa Greavesa.

Odłożyłem dziennik na biurko. Na zewnątrz zmrok kładł się bladą poświatą na trawniki Winter Sails i zacierał widok na morze. Za pół godziny zrobi się zupełnie ciemno, a mnie nie uśmiechała się wizja sprawdzania Dzbana Dzinnów w nocy. Nie żebym się wystraszył, czy coś w tym rodzaju, ale wolę spotykać duchy na moich warunkach: w świetle dnia i w trampkach na nogach.

— Myślę, że powinniśmy rzucić okiem na dzban — powiedziałem. — Zapewne moglibyśmy dowiedzieć się jeszcze czegoś tutaj, ale wydaje mi się, że Max Greaves wiedział niewiele więcej od nas.

Anna nie wyglądała na zachwyconą. Pojąłem, że ona rzeczywiście wierzy we wszystkie te historie o arabskich czarnoksiężnikach, ale nie miałem jakoś ochoty do żartów na ten temat. Są takie momenty, gdy śmiech zdradza twoje zdenerwowanie znacznie skuteczniej niż szczękające zęby.

— Są chętni na dzban dzinna? — rzuciłem żartobliwie. Wziąłem klucz do gotyckiej wieżyczki i okręciłem go na palcu.

Anna skinęła głową.

— W porządku. Myślę, że to jedyna rzecz, jaką możemy zrobić. Lepiej idź pierwszy. Ja nie znam drogi.

Otworzyłem drzwi gabinetu.

— Byłem pewien, że poszukasz pretekstu, by skryć się za moimi plecami. Można by pomyśleć, że się boisz.

Spuściła głowę.

— Jeśli chcesz znać prawdę — oznajmiła — to tak właśnie jest.

Zapaliłem światło w korytarzu.

— To tylko dzban — zacząłem ją przekonywać. — Odrażający kawał porcelany. Nikt mnie nie przekona, że coś zamknięte w tej porcelanie przed dwoma tysiącami lat, może komukolwiek zrobić krzywdę. Max Greaves był najprawdopodobniej chory i miewał halucynacje. Przypomnij sobie historię klątwy grobowca faraona. Przypuszczano wówczas, że ludzie ci musieli umrzeć, ponieważ ośmielili się otworzyć komorę grobową króla Tut. W końcu cała sprawa okazała się czczą gadaniną. Wierzę w duchową łączność pomiędzy żywymi ludźmi, ale nie próbuj mi wmówić, że garnek Ali Baby może zmusić człowieka do popełnienia samobójstwa. Przemyśl to sobie. Przecież to nie ma najmniejszego sensu.

Anna nie odpowiedziała. Cały czas trzymała się blisko mnie, gdy idąc długim, pozbawionym dywanu korytarzem, zbliżaliśmy się do zwróconego ku morzu skrzydła domu. Niektóre żarówki musiały być przepalone, gdyż posuwając się do przodu natrafialiśmy od czasu do czasu na ponure plamy mroku. Po obu stronach rysowały się na ścianach kwadraty i prostokąty nieco mniej spłowiałej farby, wskazując miejsca, w których przedtem wisały obrazy. Usuwano je najwyraźniej w pośpiechu, gdyż pogieęte zardzewiałe haki nadal tkwiły w ścianie, a stary, kruchy gips wokół nich nosił ślady spękań. Korytarz był wilgotny i duszny. Poluzowałem czarny, pogrzebowy krawat i rozpiąłem kołnierzyk koszuli.

— Nigdy nie byłem w tak przerażającym domu — odezwała się Anna zdenerwowanym głosem. — Czy są tu jakieś duchy?

Przestraszona schwyła mnie za ramię, gdyż z góry dobiegł naszych uszu chroboczący odgłos.

— Żadnych duchów — rozwiąłem jej objawy. — Najwyżej parę szczurów.

Przy końcu korytarz rozdwajał się, przyjmując kształt litery T. Jedno ramię wiodło ku zwróconej w stronę lądu części domu i kończyło się oknem wychodzącym na główny podjazd oraz trawniki. Drugie natomiast, nie dłuższe niż piętnaście stóp, prowadziło wprost do gotyckiej wieżyczki. Na ścianie znajdował

się wyłącznik, kiedy jednak pstryknąłem nim kilkakrotnie, stało się oczywiste, że ta żarówka również była przepalona.

— Czy to tu? — wyszeptała Anna. — To tamte drzwi? Przystanąłem.

— Nie musisz szeptać — powiedziałem pełnym głosem. — Ali Baba jest bezpiecznie schowany w twoich książkach z bajkami.

A jednak ostatnie parę kroków zrobiłem bardzo ostrożnie. Gdy byłem już na miejscu, zatrzymałem się w milczeniu i postukując kluczem w dłoń, z niepokojem zacząłem oglądać powzięte przez Maxa środki bezpieczeństwa.

Przez całą szerokość drzwi biegła ciężka żelazna sztaba, zamocowana w ościeżnicy solidnymi, stalowymi bolcami. Wszystkie szczeliny i pęknięcia na całym obwodzie drzwi zostały wypełnione brązowym woskiem, a oprócz tego co kilka cali widać było okazałą pieczęć z wystającymi spod niej brązowymi tasiemkami. Przyjrawszy się bliżej pieczęciom, doszedłem do wniosku, że wykonano je według starych, arabskich wzorów. Były na nich arabskie napisy i rysunki latającego konia bez głowy. Arabskie litery wydrapano nawet na żelaznej sztabie.

— Co o tym myślisz? — zapytałem Anny. — Żeby tam wejść, będziemy musieli posłużyć się łomem.

Podeszła do mnie i popatrzyła na pieczęcie. Bezdźwięcznie poruszała ustami, próbując odczytać treść napisów.

— To bardzo stary język — stwierdziła w końcu. — Jest tu coś o powstrzymywaniu wiatrów lub może duchów. Te dwa słowa są do siebie bardzo podobne.

— Myślisz, że chodzi tu o czary? Że ten pokój został zamknięty przy użyciu magicznych zaklęć?

— Och, nie ma co do tego wątpliwości — odparła Anna, przebiegając palcami wzdłuż kutej sztaby. — Widziałam coś takiego już wcześniej, w górskiej krainie Hassana i Saby. Kiedy umierał człowiek opanowany przez złe duchy, pieczętowano jego grobowiec w bardzo podobny sposób. Najwyraźniej Max Greaves usiłował czarami zaniknąć dżinna w tej wieżycy. Podejrzewam, że jej okna są także zapieczętowane.

— To śmieszne — powiedziałem. — Biedna, stara Marjorie doprowadza się do stanu hysterii tylko dlatego, że jej niezrównoważony mąż postanowił odegrać rolę starożytnego arabskiego czarnoksiężnika z dzbanem. Zejdę zaraz na dół po lampę i łom. Postaramy się to otworzyć, choćbyśmy mieli zginąć.

— Harry — rzuciła niespokojnie Anna. — Nie powinniśmy tego robić, a przynajmniej nie wcześniej niż rankiem.

— Nie bądź taka przesądna. Posłuchaj, ja sam wierzę w wiele spraw związanych z okultyzmem. Niektóre z nich widziałem na własne oczy. Ale nie wierzę w ten dzban. Wszystko, co masz zrobić, to poczekać na mnie. Za dwie minuty będę z powrotem. A jeśli będą ci dokuczać jacyś tajemniczy Arabowie, to po prostu mnie zawołaj.

Anna nie wyglądała na zachwyconą wizją samotnego oczekiwania w najbardziej przerażającym domu, w jakim kiedykolwiek była, lecz zabieranie jej ze sobą nie wpłynęłoby budująco ani na morale jej, ani na moje. Sama musiała się przekonać, że w Winter Sails nie ma upiorów, duchów czy długonogich bestii i im prędzej to nastąpi, tym szybciej zdołamy się rozprawić z dzbanem. Ponownie przeszedłem długim

korytarzem, minąłem otwarte drzwi gabinetu Maxa Greavesa i po wąskich, drewnianych schodach zszedłem do przyćmionego hallu w czarno-białą kratę.

To dziwne, ale na dole nie paliły się żadne światła, choć błękitna mgiełka wieczoru wypełniała już wszystkie pomieszczenia. Może Marjorie siedziała gdzieś w ciemnościach, wyplakując cicho powstrzymywane przez cały dzień łzy?

— Marjorie? — zawołałem, wchodząc do salonu i szukając włącznika. Tutaj również nie mogłem zapalić światła. Najwidoczniej wysiadł bezpiecznik i Marjorie poszła go wymienić.

Wy tężyłem wzrok, usiłując ją dojrzeć. Wydało mi się, że na jednej ze zniszczonych kanap ktoś siedzi, choć równie dobrze mógł to być rzucony przez kogoś niedbale płaszcz. W chwili później płaszcz, czy też może człowiek, zniknął. Musiało to być złudzenie wywołane przez gęstniejący z każdą sekundą mrok.

Posuwając się po omacku ruszyłem w stronę drzwi jadalni. Były na wpół otwarte, a gdy przez nie wyjrzałem, dostrzegłem słabą poświatę pełzającego po stole wieczornego światła oraz lśnienie stojących na kredensie karafek i szklanek. Tutaj również odniosłem wrażenie, że w odległym końcu stołu siedzi jakaś zakapturzona postać ze spuszczoną głową, ale z powodu panujących ciemności nie mogłem być tego całkiem pewien.

— Marjorie? — zawołałem jeszcze raz. — Czy to ty, Marjorie? To ja, Harry.

Otworzyłem szerzej drzwi i pokój okazał się pusty. Nie opuszczało mnie jednak dziwne przeświadczenie, że ktoś wyszedł stąd przed chwilą przez drugie drzwi, drzwi, które prowadziły do kuchni. Było to takie samo uczucie jak wówczas, gdy jesteś zmęczony i wydaje ci się, że spostrzegłeś coś kątem oka. Skraj długiej szaty, niknącej bezszelestnie w oddali, a może tylko drgający trójkąt księżycowego blasku.

Nasłuchiwałem. Oprócz skrzypienia starych drewnianych belek i stłumionego zgrzytu chorągiewki na dachu, w domu panowała nienaturalna wręcz cisza. Zastanawiałem się, czy Marjorie i panna Johnson nie wybrały się na przejażdżkę, by uciec od pogrzebowej atmosfery Winter Sails. Nie miało to jednak sensu, przecież przed wyjazdem przyszłyby nas o tym uprzedzić.

Miałem właśnie wejść do kuchni, gdy wydało mi się, że słyszę jakieś szcęknięcie. Brzmiało to tak, jakby ktoś brzęknął kluczami lub przekładał sztućce w kuchennej szufladzie. Przeniknął mnie chłód. Przed oczami stanęła mi upiorna wizja Maxa Greavesa, z nieprzytomnym krzykiem tnącego swą twarz nożem do mięsa. Stłumiłem ją ostatkiem sił i gwałtownie otworzyłem drzwi do kuchni.

Kuchnia była pusta. Na starym, sosnowym stole panował porządek, szafki były starannie pozamykane. Z kranu w stałym rytmie skapywała do zlewu woda. Zagryzając w zakłopotaniu wargi podeszedłem i zakręciłem go. Moje nerwy były tak napięte, że gdy ujrzałem swoje oblicze w kuchennym oknie, omal nie dostałem ataku serca.

A potem, gdzieś z oddali i bardzo niewyraźnie, usłyszałem to. Dziwną, monotonną, ponurą muzykę. Pod jej wpływem włosy stanęły mi dęba, a w ustach poczułem nagłą suchość. Nie potrafię określić, czy był to śpiew, czy też dźwięk jakiegoś instrumentu strunowego. Wydawało mi się, że cały dom ożył chrobotem widmowych gryzoni. Uniosłem głowę i ze wszystkich sił skoncentrowałem się na ledwie słyszalnej muzyce, lecz im intensywniej słuchałem, tym cichsze były jej tony. Wkrótce zanikła zupełnie.

W parę sekund później z góry zawołała mnie Anna.

Coś musiało się wydarzyć. Idąc pośpiesznie długim, drewnianym korytarzem, odczuwałem dziwną, subtelną zmianę atmosfery. Tak, jakby za chwile miała się rozpętać burza z piorunami albo jakbym nagłe wszedł do dusznej palmiarni. Anna czekała na mnie w odległym końcu korytarza, dokładnie tam, gdzie ją zostawiłem. Plecami przywarła do ściany, a uniesione na wysokość piersi ręce wyciągała przed siebie w obronnym geście.

— Anna? — zawołałem. Spojrzała w moim kierunku.

— Harry! — wyszeptala z bezmierną ulgą i przemknęła korytarzem prosto w me rozwarte ramiona. Objąłem ją serdecznie i uspokajająco pogładziłem po włosach.

Po upływie kilku sekund podniosła ku mnie bladą, wystraszoną twarz. Zgubiła gdzieś swój wyszukany, mały kapelusz i jej kręcone, czarne włosy rozsypały się w dzikim nieładzie.

— Słyszałaś to? — zapytałem. Pokiwała głową.

— Zaczynałam już myśleć, że tracę rozum. Zadawałam sobie pytanie: a co będzie, jeśli Harry tego nie słyszy? Może wpadam w obłąd, tak jak Max Greaves?

— Już dobrze, ten dźwięk był realny. Słyszałem go na dole w kuchni. Czy wiesz, skąd się wydobywał?

Wzruszyła ramionami. Nadal drżała nerwowo, tak samo jak Marjorie, gdy opowiadała nam o przerażającej śmierci Maxa.

— Był bardzo słaby. Z trudem go słyszałam. Miał jednak w sobie coś przerażającego. Sprawiał, iż wydawało mi się, że korytarz pełen jest biegnących insektów, szczurów albo karaluchów. Niczego nie widziałam, więc starałam się nie wpaść w panikę, ale miałam przemożne wrażenie, że wszędzie wokół pełno jest pełzającego robactwa.

— Anno — powiedziałem cicho. — Czy był tu jeszcze ktoś? Czy kogoś widziałaś?

Pokręciła przecząco głową.

— Nikogo. Na górę nie ma innej drogi, prawda? Ująłem jej podbródek i lekko uniosłem do góry, by spojrzeć w jej twarz.

— Musi być jakieś wyjaśnienie. Wiesz o tym tak samo dobrze jak i ja.

— Ale jakie? Jeśli to nie dzban, to kto potrafi grać taką muzykę i po co miałby to robić?

Odetchnąłem głęboko.

— Nie wiem. Ale z pewnością dzieje się tutaj coś dziwnego. Może, nie jestem pewien, może ktoś usiłuje nas wystraszyć. Kiedy zszedłem na dół i zacząłem szukać Marjorie, to mógłbym przysiąc, że był tam ktoś jeszcze.

— Ktoś jeszcze? — zapytała poruszona. — Ale kto?

— Skąd mam wiedzieć? Nie jestem nawet pewien, czy to nie była gra świateł. Wyglądał na mnicha w długiej szacie. Wydaje mi się, że najpierw widziałem go w salonie, później w jadalni i tam mi zniknął.

Anna delikatnie odsunęła się ode mnie. Pokonała już największy strach, a mój uścisk był nieco zbyt zażyły, by mogło go usprawiedliwić zwykłe zdenerwowanie.

— Może to była Marjorie — podsunęła. — A może ona też to widziała?

— Nie wiem. Nigdzie jej nie znalazłem. Myślałem, że poszła naprawić światło. Kiedy zszedłem na dół, nie było tam prądu. Byłem przekonany, że wymienia bezpieczniki. Właśnie wtedy spostrzegłem tę osobę, czy cokolwiek to było.

— Jak wyglądał jej ubiór? — zapytała Anna.

— Trudno mi powiedzieć. Długa szata z kapturem, to wszystko. Tak przynajmniej mi się wydaje.

— Dżellaba?

— Przepraszani?

— Arabski strój. Dżellaba. A może to była jakaś inna odmiana togi?

— Pytanie mnie o to nic ci nie da, Anno. Dla mnie toga to toga, choćbyś ją nazywała na dziesiątki sposobów. Poza tym, wszystko to mogło mi się przywidzieć. Wiesz, jakie są te stare, nawiedzone domy. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli o tym zapomnimy. Wszystko, czego chcę, to otworzyć wieżyczkę i pozbyć się tego cholernego dzbana.

— Uważam, że powinniśmy zachować ostrożność, Harry. Może tylko ktoś głupio żartuje, chcąc nas nastraszyć, ale jeśli tak nie jest?

Popatrzyłem poprzez ponury korytarz na zapieczętowane drzwi. Drugie wstążki zwisające z brązowych, woskowych pieczęci poruszały się lekko pod wpływem powolnego przepływu powietrza. Nie wiedzieć dlaczego, patrząc na te drzwi, doznałem uczucia nieprzyjemnej pustki, tak jakby otwierały się one w bezdenną przepaść. Chciałem je otworzyć, lecz równocześnie zdawałem sobie sprawę, że pragnienie ich przekroczenia może być rezultatem nieodpartego działania mego własnego instynktu samozniszczenia.

Wyciągnąłem z kieszeni koszuli papierosa i zapaliłem go.

— Nie wiem, Anno. Sugerowałem, że ktoś mógł próbować nas przestraszyć, ponieważ nie mam pojęcia, co innego mogłoby to być.

— To mógł być dzinn — odparła z prostotą.

— Jest tylko jeden sposób, aby się o tym przekonać. Z tyłu domu stoi szopa z narzędziami i różnymi rupieciami. Czy chcesz iść ze mną? Zamierzam poszukać łomu.

— Jeśli uważasz, że zostanę sama w tym paskudnym miejscu...

W milczeniu wróciliśmy korytarzem do schodów, zeszliśmy na dół i poprzez salon oraz kuchnię wydostaliśmy się bocznymi drzwiami na zewnątrz. Wiał łagodny, ciepły wiatr od lądu, na niebie kremowo— błękitne obłoki przesłaniały gwiazdy. Gdy szliśmy podjazdem w kierunku szopy, pod naszymi nogami chrzęścił żwir. Otworzyłem drzwi, próbując dojrzeć cokolwiek w panujących wewnątrz ciemnościach. Na

szczęście pamiętałem, gdzie Max przechowywał najczęściej latarkę — wieszal ją po prawej stronie drzwi. Anna nie odstępowała mnie na krok. Od czasu do czasu rzucała szybkie spojrzenie na dom i wtedy wyraźnie drżała.

— Zimno ci? — zapytałem.

— Nie. Jestem tylko staromodnie przestraszona. Odnalazłem latarkę, włączyłem ją i zacząłem przebierać pośród ogrodniczych narzędzi w poszukiwaniu łomu lub czegoś, co mogłoby go zastąpić. Ostatecznie zdecydowałem się na kilof. Ruszyliśmy wraz z Anną ku domowi. Po drodze wymachiwałem latarką, pogwizdując przy tym parę taktów z „Hej ho, hej ho, do pracy by się szło”, w nadziei, że może mnie to nieco rozweseli.

Do domu weszliśmy tymi samymi drzwiami, którymi go opuściliśmy, minęliśmy kuchnię i wkroczyliśmy do salonu. Byliśmy na środku pokoju, gdy zabłyśły światła, a we frontowych drzwiach stanęły Marjorie oraz panna Johnson, ubrane w czarne płaszcze i żałobne kapelusze.

— Marjorie! — krzyknąłem. — Szukałem cię wszędzie. Z jakiegoś powodu nie wyglądała na zainteresowaną czy ucieszoną moim widokiem. Odwróciła się do panny Johnson i powiedziała: „Zamknij drzwi”. Następnie, jakby nieco mechanicznie, wkroczyła do salonu.

— Byliśmy na spacerze — oznajmiła zwięźle.

— Czy dobrze się pani czuje? — zapytała Anna. — Wygląda pani na nieco zmęczoną.

Marjorie przyłożyła do czoła obleczoną w czarną rękawiczkę dłoń.

— Tak — przyznała. — Jestem zmęczona.

Panna Johnson weszła do pokoju i z zakłopotaniem stanęła obok Marjorie, niczym brzydka córka, świadoma faktu, że matka przyćmiewa ją swoją urodą.

— Pani Greaves — wyszeptała po chwili. — Przygotuję pani mleko.

— Dziękuję. Napijesz się ze mną mleka, Harry? Spojrzałem ze zmarszczonym czołem na Annę. Wyglądało na to, że z Marjorie jest coś nie w porządku, że gnębi ją coś więcej niż żal po stracie męża i wyczerpanie. Stała sztywna, nieruchoma, a jej ciemne oczy zdawały się spoglądać w punkt oddalony od tego miejsca o dziesiątki mil, a może — kto wie? — lat.

— Ja... tego... chyba daruję sobie to mleko, dzięki — odparłem w zmieszaniu. — Należę do zwolenników Jacka Danielsa. — Zdobyłem się na króciutki chichot, który w tym obszernym, ponurym salonie wypadł jednak mało przekonująco.

Marjorie zdawała się mnie nie słyszeć. Podeszła do starej kanapy i usiadła w tym samym miejscu, w którym wcześniej zamajaczyła mi postać w kapturze. Kaszlnąłem i ścisnąłem mocniej kilof.

— No tak, czas zabrać się do pracy — powiedziałem. — To nie potrwa długo.

Marjorie spojrzała z żywym zainteresowaniem.

— Dokąd się z tym wybierasz? — zapytała lodowatym tonem.

Ściągnąłem brwi.



— No... na górę.

— Żeby otworzyć wieżyczkę?

— Tak jest. Wiesz, z tymi pieczęciami, to wcale mnie nie nabierałaś. Wszystko, co trzeba zrobić, to...

— Odłóż to na miejsce.

Zamrugałem oczami. Takiej Marjorie nie widziałem nigdy przedtem. Była opanowana, zimna oraz rozkazująca. Może znalazły wreszcie do niej dostęp rozpacz i szok po nagłej śmierci Maxa.

— Marjorie — powiedziałem cierpliwie. — Jeżeli mamy otworzyć wieżyczkę i usunąć stamtąd dzban, musimy wyłamać drzwi. Nie ma innego sposobu. Są tam żelazne sztaby, woskowe pieczęcie i Bóg wie, co jeszcze.

Nie będziemy otwierać wieżyczki ani wyrzucać dzbana — stwierdziła Marjorie. — Dzban musi pozostać tam, gdzie znajdował się dotychczas.

— Marjorie, co ty mówisz? Ten dzban całymi latami zatruwał życie twoje i Maxa, a ja naprawdę wierzę, że...

— To, w co wierzysz, nie ma żadnego znaczenia — przerwała mi Marjorie. — Doceniam twoje zaangażowanie, Harry, i pani, panno Modena, ale teraz jestem zmęczona. Chciałabym, żebyście sobie już poszli.

— Ależ Marjorie...

Tym razem przerwała mi panna Johnson.

— To był naprawdę trudny dzień dla pani Greaves, proszę pana. Myślę, że pani ma rację.

— Nic mnie nie obchodzi, co sobie pani myśli — odparłem. — Z dzbanem wiąże się coś niezwykłego i trzeba to zbadać. Nieważne, czy jest to zjawisko naturalne, czy też nadprzyrodzone. Z całą pewnością jest natomiast niezdrowe. Wystarczająco złe było już samo zdjęcie obrazów, nie mówiąc o przygotowaniu dla tej cholernej skorupy specjalnego pokoju.

Panna Johnson wyglądała tak, jakby za chwilę miała uciec.

— Proszę pana — powtórzyła — nie musi pan...

— Nie muszę słuchać podobnych bzdur, oto czego nie muszę. Marjorie, jestem zdenerwowany. Anna i ja spędzamy całe popołudnie grzebiąc się w papierach Maxa, a teraz ty nas wyrzucasz. Wiem, że dzisiaj był jego pogrzeb, i że przeżyłaś ogromny stres, ale sama przecież mówiłaś, że im szybciej będziemy to mieli za sobą, tym lepiej. To nie zajmie nam nawet pięciu minut...

— Zmieniłam zdanie — oznajmiła spokojnie Marjorie. — Dzban pozostanie dokładnie na swoim miejscu.

Anna pokręciła głową.

— Przykro mi, pani Greaves, ale to niemożliwe.

— Musi tak być. Życzył sobie tego mój mąż.

— Pani Greaves — nie dawała za wygraną Anna. — Ten dzban nie był nawet własnością pani męża. Przedmiot ten prawnie należy się rządowi Iranu. To bezcenny zabytek, stanowiący część dziedzictwa kulturowego tego kraju. Musi być zwrócony prawowitym właścicielom.

Marjorie podniosła głowę i spojrzała na Annę tymi swoimi oczami krewetki.

— Póki ja żyję — powiedziała — nikt nie ruszy dzbana z miejsca. To moje ostatnie słowo.

Anna westchnęła.

— W takim razie będę zapewne musiała wystąpić przeciwko pani do sądu z pozwem o odzyskanie dzbana, jak i szeregu innych przemyconych do Stanów antyków, które nadal znajdują się w tym domu.

— Może pani robić, co jej się tylko podoba — po wtórzyła Marjorie. — Nikomu nie pozwolę tknąć dzbana.

Zapanowało długie, kłopotliwe milczenie. Przerwałem je, mówiąc:

— Chodź, Anno. Myślę, że lepiej będzie zostawić go dzisiaj na miejscu. Podwieźć cię?

Skinęła głową.

— Wezmę tylko kapelusz.

Podszedłem do Marjorie. Dołożyłem wszelkich starań, aby mój głos zabrzmiał ciepło i pocieszająco.

— Posłuchaj — zacząłem. — Może wpadłbym jutro w porze lunchu na twoją wspaniałą sałatkę z tuńczyka? Przy okazji omówimy sobie wszystko jeszcze raz.

Marjorie odwróciła głowę.

— Już późno — odrzekła cicho. — Lepiej zabierz swą młodą damę i jedźcie.

— Marjorie...

— Odejdź, Harry, zanim wywołasz nowe kłopoty. Znieruchomiłem, niczym rażony gromem.

— Co to ma znaczyć? — zapytałem ostro. — Jak to, wywołam kłopoty?

— Właśnie tak — spokojnie odparła Marjorie. — Usiłując dowiedzieć się czegoś więcej o dzbanie, zaniepokoiłście go. Wie, że tu jesteście, i życzy sobie, abyście natychmiast stąd odeszli. Z każdą chwilą waszego pobytu w tym domu, jego niepokój wzrasta. Będzie lepiej dla nas wszystkich, jeśli odejdziecie.

Przez chwilę miałem zamiar się kłócić, lecz nadeszła Anna i ujęła mnie za ramię. Wypuściłem powietrze z płuc, dając za wygraną. Może jutro cała sprawa pędnie wyglądać lepiej. Gdy byliśmy już na zewnątrz, oparłem o werandę kilof, z którym nie rozstawałem się w trakcie rozmowy.

Marjorie oraz brzydka panna Johnson stanęły w drzwiach i w milczeniu obserwowały nasz odjazd. Nikt się do nas nie uśmiechnął, nie pomachał ręką.

Zawróciłem na podjeździe i ruszyłem przed siebie żwirową alejką. Anna obróciła się na swoim fotelu, aby po raz ostatni spojrzeć na Winter Sails.

— Przyjrzyj mu się dobrze, skoro masz okazję — powiedziałem z goryczą w głosie. — Pewnie jutro zechce go spalić. Od lat nie byłem taki wściekły.

Anna zdawała się mnie nie słuchać.

— Czy ona miała dwie osoby do towarzystwa? — zainteresowała się z nagłym ożywieniem.

— Co?

— No, twoja babka. Czy miała dwie damy do towarzystwa? Pannę Johnson i kogoś jeszcze?

Wzruszyłem ramionami.

— Nic mi o tym nie wiadomo.

— Tak? Więc któż to może być? Popatrz w lusterko. Rzuciłem szybkie spojrzenie we wsteczne lusterko. Nie mogłem przyglądać się dłużej, ponieważ droga była kręta nie oświetlona, zdołałem jednak dojrzeć sylwetki Marjorie, panny Johnson i...

Nacisnąłem hamulec. Przez chwilę Cougar ślizgał się, (odskakując na żwirowej nawierzchni. Jeszcze raz poparzyłem w stronę domu, a potem z otwartymi ustami pojrzałem na Annę.

— Nie wiem — powiedziałem ochryple. — Widziałem go tylko przez mgnienie oka. To chyba ten człowiek w todze.

— Myślisz, że powinniśmy wrócić? — spytała zdenerwowana Anna. — Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdyby coś im się stało.

Zastanawiałem się przez chwilę, bębniąc palcami po kierownicy. Główne wejście do Winter Sails było teraz zamknięte, wszystkie światła pogaszone. W oddali fale przyboju połyskiwały w ciemnościach fosforyzującym białym blaskiem.

— O, do diabła — rzuciłem wreszcie. — Mam dosyć jak na jeden dzień. Prawdopodobnie mają gościa który nie chciał się ze mną spotkać. Nie wiem kto to, ale jestem zbyt głodny na to, by wrócić i go poznać. Rozejrzyjmy za kolacją, a potem, z pełnymi żołądkami, pomyślimy, co robić dalej.

Zwolniłem hamulec i pomknęliśmy w noc. Marjorie martwiła i niepokoiła mnie zarazem. Są jednak momenty gdy uczucia rodzinne ustępują irytacji, zmęczeniu oraz pragnieniu podrywania urodziwych dziewczyn.

Siedząc nad stekiem z sałatką w rozświetlonej blaskiem świec restauracji Cape Mode Motel, rozmawiałem z Anną o dzinnach, arabskich czarach i tajemniczym zachowaniu Marjorie. Po drodze zajechaliśmy na lotnisko w Hyannis po walizkę Anny, dzięki czemu mogła ubrać się w coś stosowniejszego niż strój pogrzebowy. Miała teraz na sobie prostą, białą suknię wieczorową, długą i lśniąca, która odślaniała jej opalone ramiona i dekolt. W restauracji było mnóstwo kalifornijskiego burgunda oraz gorących bułeczek. Była też muzyka, śmiech, pluszowy wystrój sali i realność. Po przeżyciach dzisiejszego dnia oboje z Anną bardzo tej realności potrzebowaliśmy.

— Spójrz na to w ten sposób — zaproponowałem, przeżuując solidny kęs steku. — Tylko dlatego, że Max Greaves miał w domu Dzban Dżinnów, nie możemy powiedzieć, że dzban ponosi odpowiedzialność za

jego zachowanie. Jeśli chcesz znać moje zdanie, to uważam, że było na odwrót. Max postradał zmysły i chciał, aby wszyscy myśleli, iż to sprawa dzbana.

Anna wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Usiłuję zachować otwarty umysł. Musisz przyznać, że zadał sobie masę trudu, by zapieczętować drzwi zgodnie z oryginalnym, starożytnym rytuałem.

— Oczywiście, że tak. Ekscentrycy zawsze tak robią. Mają słabość do detali. Co jakiś czas wydawało mi się, że jest pewnie, że jest perskim czarnoksiężnikiem z piątego stulecia przed naszą erą.

— Chciałabym się dowiedzieć czegoś więcej o tych twarzach — powiedziała Anna.

— O jakich twarzach?

— Portrety, fajka, wszystkie te magazyny z powycinanymi ilustracjami. być No i jego własna twarz. Przecież musi być jakaś przyczyna.

— Zawsze możemy spytać doktora Janssa

— Czy to lekarz tej rodziny?

Skinąłem głową.

— Opiekował się Maxem i Marjorie przez wiele lat. Myślę, że gdybym z nim odpowiednio porozmawiał, mógłby mi powiedzieć, co się wtedy stało. Kiedyś przebywając w Winter Sails zapadłem na odrę i chyba się z nim wówczas zaprzyjaźniłem. Jest bardzo zasadniczy, ale jeśli mu powiem, że martwię się o Marjorie...

Anna posypała swoją porcję czarnym pieprzem.

— No cóż, warto spróbować. Jeżeli to zrobisz, ja porozmawiam z profesorem Qualtem z New Bedford.

— Qualt? Kto to taki?

— Musiałeś słyszeć o Gordonie Qualcie. To największy amerykański autorytet w dziedzinie starożytnego folkloru i kultury środkowego Wschodu.

— Dlaczego, do diabła, miałem o nim słyszeć? Anna uśmiechnęła się.

— Nie bądź taki urażony. Pisano o nim niedawno w gazetach, kiedy podniosła się wrzawa wokół przemytu marmurowych zabytków z Iraku. Jest zwolennikiem pozostawienia wszystkich skarbów kultury w miejscach, w których zostały stworzone.

Nabiłem na widelec kawałek marynaty.

— Całkowicie się z nim zgadzam. Nie mogę patrzeć, jak ludzie tracą swoje marmury.

— Jesteś niemożliwy — parsknęła śmiechem Anna. — Cieszę się, że poznałam twoje prawdziwe oblicze, zanim poprosiłam cię o odczytanie mojej przyszłości. Gotowa byłam w taką wróżbę uwierzyć.

— Chciałaś prosić, abym odczytał twe przeznaczenie?

Zwróciła ku mnie duże, lisie oczy. Iskrzyły się w łagodnym blasku świec, a mnie ogarnęło przeświadczenie, że w tej chwili myśli o tym, by odegrać przede mną przedstawienie.

Nie pytajcie mnie, jak ja to robię. Był to po prostu przebłysk intuicji, jaki od czasu do czasu zdarza się nam, jasnowidzom.

— W takim razie — podjąłem — nie wolno ci dopuścić, by moja podejrzliwa natura zbyła cię na później. Musisz jednak wiedzieć, że przepowiadam bardzo podły los.

— Czy przepowiesz mój?

— Jasne. Co tylko zechcesz. Wrózenie z dłoni, Tarot, liście herbaty, a może kryształowa kula? Umiem czytać nawet z guza na głowie.

Roześmiała się.

— W czym jesteś najlepszy?

— Pokażę ci, gdy przepowiem twoją przyszłość. Skończyliśmy stek. Na deser zamówiłem kawę po irlandzku. Orkiestra zagrała przesłodzoną wersję „Samby Pa Ti”. Przy sąsiednim stoliku siedział wąsаты mężczyzna w krzykliwym krawacie i co chwila wybuchał nieopanowanym śmiechem. Obok nas przeszła chwiejnym krokiem starsza kobieta w purpurowych spodniach narciarskich i srebrnych pantoflach. Miała pomalowane na zielono, siwiejące włosy, uczesane w kształt ula. Jej mąż, ubrany w żółto-czerwoną kratę przypominał gościa z drukowanych w „Sunday Times” dowcipów.

— Jakim człowiekiem jest Qualt? — zapytałem Anny. — Czy znasz go osobiście? Myślisz, że nam pomoże?

— Jest bardzo wrażliwy i mądry. Kochałem się w nim podczas studiów na uniwersytecie. Sądzę, że Qualt jest jedną z przyczyn, dla których robię obecnie to, co robię. Zawsze interesowałam się starożytnością, ale dopiero on ukierunkował mnie na sprawę zwrócenia zabytków Środkowego Wschodu ich prawowitym właścicielom.

Zapaliłem papierosa.

— Nad czym pracuje w tej chwili? Zamierza zwrócić Manhattan Indianom?

— Manhattan został kupiony, podczas gdy większość skarbów Środkowego Wschodu po prostu skradziono.

Zakaszlałem.

— Dla mnie nie robi różnicy, gdzie takie antyki się znajdują. Dopóki ludzie mogą je oglądać, nie widzę żadnego problemu.

— Jest to kwestia dziedzictwa narodowego. — Pociągnęła łyk kawy. — Jakbyś się czuł, gdyby jakiś Irlandczyk zabrał Statuę Wolności i ustawił ją u wejścia do Zatoki Perskiej?

— Śmiertelnie bym się obraził. Przeżyłem w tym mieście prawie całe życie, ale nie miałem jeszcze okazji jej odwiedzić. Jeżeli nie mogę znaleźć czasu na wycieczkę na Liberty Island, to skąd u diabła miałbym go mieć na dotarcie do Zatoki Perskiej?

— Tak więc — powiedziała Anna — masz ogólny obraz tego, co usiłuje zrobić profesor Qualt. Wierzy, że dla każdego kraju niezwykle ważna jest świadomość dziedzictwa kulturowego i posiadanie skarbów

przeszłości we własnych granicach. Mówi, że w ten sposób tworzy się historyczną kontynuację narodu. Pociągnąłem nosem.

— Co do mnie to w tej chwili najbardziej interesuje mnie kontynuacja kawy po irlandzku. Jesteś gotowa na jeszcze jedną?

— Będę pijana.

— Oczywiście, że tak. Przecież po to się ją pije.

Po skończonym posiłku rozsiedliśmy się w hallu i zamówiliśmy jeszcze po kieliszku. Pomiedzy nami działało pewne przyciąganie, oboje byliśmy jednak zupełnie pewni, że tej nocy nie pójdziemy razem do łóżka. Zbyt wiele spraw trzeba było przemyśleć, a poza tym należeliśmy do ludzi, którzy najpierw muszą się nieco lepiej poznać. Krążyliśmy wokół siebie niczym dwa zaciekawione koty, niezupełnie jeszcze gotowe, by zacząć pocierać się nosami. Czułem, że Anna jest osobą, która raz pobudzona, wymagać będzie wielkiej troski i czułości. Nie byłem pewien, czy w tym momencie stać mnie na taki związek. Niedawno zakończyłem długie, męczące pożycie z Alison i jak na razie, czerpałem radość z chorobliwego wręcz spokoju oraz samotności, które niesie ze sobą ostateczne zerwanie.

— Czy przepowiesz mi teraz przyszłość? — zapytała Anna.

— No pewnie. Przepowiadanie przyszłości, tłumaczenie snów; po to tutaj jestem. Zacznijmy od testu z winem.

— Test z winem?

— To stary sposób Izraelitów. Spójrz. Wezmę ten spodek i naleje do niego trochę wody. Teraz chcę, żebyś zanurzyła palce w swoim kieliszku wina. Pozwól, by skapujące z nich krople wpadały do wody. Widzisz? Powstaje mętny kształt. Coś w rodzaju trójwymiarowej plamy Rorschacha. A teraz zastanów się, co ci to przypomina.

Anna pochyliła się do przodu i skupiła się na kłębiące w spodku mgiełce czerwonego wina. Rozpływało się, tworząc symetryczny wzór, który zamarł w chwilowym bezruchu, by następnie nieodwracalnie zmieszać się z wodą.

— Wiesz — powiedziała — mogłabym przysiąc, że...

— Że co?

— Zabrzmi to śmiesznie, ale wyglądało to jak dzban. Sięgnąłem po kolejnego papierosa.

— Myślę, że masz w głowie same dzbany. Zostawmy wino w spokoju. Użyję kart do Tarota. Wywodzą się ze starożytnego Egiptu, więc jeśli w twoim życiu są jakieś zabytkowe garnki ze Środkowego Wschodu, one na pewno to pokażą.

Wyciągnąłem z kieszeni płaszcz wytartą talię, przetasowałem ją i zabrałem się do losu Anny. Nie było tam nic nadzwyczajnego. Małżeństwo w połowie drogi ku odległej, przyszłości. Ani śladu po wielkim bogactwie czy sławie. Jakaś żałoba. Klótnie z powodu jakiegoś kontaktu. A jednak, kiedy miałem odwrócić ostatnią kartę — kartę odpowiedzialną za najbliższą przyszłość dziewczyny — zawahałem się.

— Co się stało.

Zmarszczyłem czoło.

— Ja... chyba coś pokręciłem.

— Co pokręciłeś?

— No... więc... źle potasowałem karty.

Anna spojrzała na mnie poważnie.

— Harry, co się stało? Dlaczego się zatrzymałeś? Nie dotykając nawet następnej karty, powiedziałem:

— Wydaje mi się, że wiem, jaka to karta. Mówiąc dokładniej, jestem tego pewien.

Uśmiechnęła się niepewnie.

— Chyba zawsze tak jest? Jesteś przecież jasnowidzem.

Spuściłem oczy.

— W pewnym stopniu. Mam taki skromny dar.

— No więc...

— No więc nic. Nigdy przedtem nie wiedziałem, jaka będzie następna karta. Zgadywałem czasami, ale nigdy nie byłem pewien.

— Nie przejmuj, się tym. Sam mówiłeś, że z wróżeniem z kart jest tak samo, jak z prowadzeniem samochodu. Im częściej to robisz, tym stajesz się lepszy. Może twoje doświadczenie zaczyna procentować. Zostałeś dyplomowanym kierowcą.

Położyłem pudełko po kartach na szklanym blacie stołu.

— Ostatnia karta — oznajmiłem — to Gwiazda. Przedstawia kobietę wypróżniającą dzbany nad strumieniem. Jej znaczenie interpretuje się najczęściej jako stratę lub pozbawienie. Pod wieloma względami strata taka jest często znacznie bardziej .tragiczna od jakiegokolwiek straty wieszczonej przez kartę Śmierci. Ta karta z kolei ukazuje śmierć wjeżdżającą do miasta na czarnym rumaku i pozdrawianą jako nieunikniona część życia. Natomiast Gwiazda zapowiada roztrwonienie sił życiowych bez żadnych powodów.

— Z dzbanów? — wyszeptwała Anna.

— Właśnie tak. Z dzbanów.

Przez chwilę Anna siedziała w milczeniu, ściskając w dłoni kieliszek i wpatrując się w stół. Potem, z wahaniem, wyciągnęła rękę i podniosła następną kartę. Odwróciła ją i obejrzała z uwagą.

— Widzisz — powiedziałem. — Gwiazda. Anna potrząsnęła głową.

— Mylisz się. To nie jest Gwiazda.

Nic nie rozumiałem. Karta wzbudziła we mnie tak potężne magnetyczne odczucie, że z najwyższym trudem mogłem jej uwierzyć.

— Pokaż — rzuciłem, wyjmując jej kartę z rąk.

Rzeczywiście, to nie była Gwiazda. Było jeszcze gorzej. W ręku trzymałem Dziesięć Mieczy. Na karcie tej namalowany był martwy człowiek leżący na opustoszałym morskim brzegu, pod ciemniejącym niebem. Jego ciało przeszywało dziesięć długich mieczy. Miał odwróconą głowę, lecz widać było, że jeden z mieczy jest wbity prosto w twarz.

Pod wpływem nagłego impulsu podniosłem następną kartę z talii i odwróciłem ją. To była Gwiazda. Położyłem dwie karty obok siebie na stole i siedziałem, wpatrując się w nie przez dłuższy czas. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu Tarot przekazał mi ostrzeżenie. Coś takiego zdarzyło mi się już wcześniej i tak jak wówczas, poczułem niepokój, któremu towarzyszyła gęsia skórka. Mając przed sobą te dwie karty, z których każda wzmacniała mistyczną wymowę drugiej, niosąc zapowiedź straty i cierpienia, pojąłem, że związane z okultyzmem tajemne moce dawały mi i do zrozumienia, iż wkroczyłem na niepewny grunt i dalsze kroki na drodze, którą idę, mogą doprowadzić do tragedii.

— Wierzysz w to? — zapytała Anna.

Wzruszyłem ramionami.

— Nie wiem, co myśleć. Te karty są bardzo dziwne i kapryśne. Na nic się zda wróżenie, jeżeli nie wiesz, co chcesz zrobić. W tym przypadku radzą mi zarzucić tę i sprawę z dzbanem.

— Ale przecież nie zostawisz swojej babki samej, zdanej na łaskę i niełaskę dzbana? Nie możesz tego zrobić. Przetasowałem i odłożyłem na bok karty.

— Anno, ona może być moja babką, ale nie znam jej aż tak dobrze. Nie na tyle, by wziąć na siebie odpowiedzialność za wszystko, co robi. Dzisiaj widziałem ją po raz pierwszy od trzech lat. Trudno uznać nas za serdecznych przyjaciół.

— A co z tamtym mężczyzną w todze?

Podniosłem rękę, aby przywołać kelnera. Poczułem nagle, że potrzebuję jeszcze jednego drinka.

— Anno — powiedziałem — nie wiemy nawet, czy to był mężczyzna. Mogła to być jakaś przyjaciółka Marjorie w płaszczu kąpielowym. Może podeszła do drzwi, chcąc popatrzeć na nasz odjazd. Wszyscy byliśmy zmęczeni. To mogło być złudzenie. Jeżeli ma cię to uspokoić, wpadniemy tam rano i sprawdzimy.

Zjawił się kelner — ponury typ w kasztanowatej marynarce, z przyklepionym do twarzy firmowym uśmiechem. Zamówiłem bourbona z wodą, Anna poprosiła o colę.

— Myślę, że boisz się tak samo jak ja — oznajmiła prowokująco, gdy czekaliśmy na drinki.

Nie odpowiedziałem. Uśmiechnąłem się tylko tajemniczym uśmiechem Erskine'a, pozwalając, by myślała, co jej się żywnie podoba. Jeśli chodzi o mnie, to szczerze mówiąc, nie wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć. Z jednej strony istniały powody do przerażenia. Wiedziałem, że z dzbanem działo się coś bardzo niedobrego i wcale nie uśmiechała mi się perspektywa usuwania go z wieżyczki. Jednak z drugiej strony, legendy i ostrzeżenia wydawały się tak niejasne oraz przypadkowe, że ich siła przekonywania była raczej niewielka. W tym momencie moja hipoteza robocza numer jeden zakładała, iż Max Greaves popadł w obłąd i obdarzył dzban wszelkimi dziwacznymi cechami, jakie tylko podsunął mu chory umysł. Nie wiedziałem, co sądzić o muzyce, nie można jednak było wykluczyć, że jej źródłem były niezwykle ukształtowane kominy lub pęknięcia w materiale, z którego wzniesiono ten stary dom. W pewnych



okolicznościach wiatr mógł powodować powstawanie w nich świergoczących wibracji. Może gdy porozmawiamy z doktorem Jarvisem, a później spotkamy się z profesorem Qualtem, zbliżymy się nieco do prawdy. Jak zwykła była mawiać moja nieodżałowana matka: „Nie ma czegoś takiego jak tajemnica. Zawsze gdzieś znajdzie się ktoś znający odpowiedź”.

Następnego ranka o wpół do dziesiątej podjechałem poć dom doktora Jarvisa. Zapowiadał się kolejny piękny dzień, choć wiatr był nieco silniejszy, a na zachodzie gromadziły się gęste, białe chmury. Zostawiłem Annę w samochodzie, a sam poszedłem starannie wyłożoną cegłą ścieżką, która prowadziła do wejścia, cały czas biegnąc w cieniu starego wiązu. Znalazłszy się na miejscu nacisnąłem dzwonek. Dom doktora Jarvisa skrył się w bogatej dzielnicy Haynnis. Dookoła ciągnęły się eleganckie podwórza, cieniste alejki i zamknięte dla ruchu kołowego ulice. Był to duży, biały dom kolonialny. Kolonialny nie tylko z nazwy, ale również z panującej w nim atmosfery. Zamieszkujący w nim doktor Jarvis, uprzejmy, lecz sztywny, z powodzeniem dorastał do jego wspaniałości i stylu.

Drzwi otworzyła służąca, niska Murzynka w śnieżnobiałym fartuchu.

— Słucham pana?

— Chciałbym rozmawiać z doktorem Jarvisem. Czy zastałem go w domu?

— W tej chwili je śniadanie.

— Zechce mu pani przekazać, że chodzi o Maxa Greavesa. Proszę powiedzieć, iż wiem, jak ten człowiek umarł.

Dziewczyna przypatrywała mi się w zdumieniu.

— Słucham pana?

— To wszystko, co mam do powiedzenia. Proszę powiedzieć doktorowi Jarasowi, że wiem, w jaki sposób zmarł Max Greaves.

Służąca zmarszczyła czoło i z zafrasowaną miną odeszła j w głąb korytarza, kierując się do pomieszczenia, w którym najwidoczniej urządzono jadalnię. Usłyszałem cichą rozmowę, odgłos odsuwanego krzesła, a po chwili zjawił się i przede mną doktor Jarvis, ocierając po drodze usta serwetką. Był to wysoki, siwowłosy mężczyzna w okularach bez oprawki. Miał ostry jak płetwa rekina nos i lekko się garbił. Ubrany był nienagannie w szary garnitur, z kamizelki którego zwieszał się złoty łańcuszek od zegarka.

— Dzień dobry — powiedział. — Obawiam się, że wprawił pan Lucinę w zakłopotanie.

— Nie miałem takiego zamiaru — odparłem. — Nazywam się Harry Erskine. Jestem wnukiem Maxa.

— Ach, tak. Zdaje się, że widziałem pana wczoraj na pogrzebie. Zechce pan przyjąć moje kondolencje.

— Dziękuję. Nie chciałem przeszkadzać panu w śniadaniu, doktorze Jarvis, ale Marjorie opowiedziała mi o okolicznościach, w jakich zmarł Max, i muszę przyznać, że cała ta sytuacja poważnie mnie martwi.

— Martwi pana? A cóż takiego ma pan na myśli? Podrapałem się po głowie.

— Tak dokładnie, to nie wiem. Trudno mi to wyjaśnić, ale mam wrażenie, że coś zakłócało spokój Maxa, a teraz ten sam los może spotkać Marjorie.

Doktor Jarvis przyjrzał mi się uważnie.

— Zechce pan wejść — rzekł — i napić się kawy, podczas gdy ja dokończę śniadanie.

Przekroczyłem próg tego eleganckiego domu i prowadzony przez gospodarza znalazłem się w jadalni. Pokój utrzymany był w tonacji zieleni i bieli. Na ścianach wisały płótna, przedstawiające pejzaże morskie i sceny wiejskie. Zza polerowanego, owalnego stołu, przy którym zasiedliśmy, roztaczał się widok na rozległy ogród pnących roślin oraz błyszczącą w oddali niebieską kreskę oceanu.

Służąca przyniosła czystą filiżankę i naląła mi kawy, podczas gdy doktor Jarvis z chirurgiczną precyzją kroił i smarował masłem bułeczki.

— Mówi pan wiec, że Marjorie może ucierpieć również? — zapytał po chwili. — A czy wie pan w jaki sposób?

Odstawiłem filiżankę.

— W tym momencie trudno mi powiedzieć. Nie wiem, jak dobrze znał pan Maxa i Marjorie, przypuszczam jednak, że utrzymywał pan z nimi bliskie stosunki. Zapewne byliście przyjaciółmi.

Lekarz pokiwał głową.

— Istotnie, tak było. Wraz z żoną często bywaliśmy w Winter Sails na obiedzie. Działo się tak do czasu, aż Max poczuł się niedobrze.

— Niedobrze? Nie rozumiem tego. Marjorie twierdziła, że fizycznie nic mu nie dolegało.

— Bo nie dolegało — przytaknął doktor Jarvis — jeśli nie liczyć podwyższonego ciśnienia i drobnych kłopotów z prostatą. Kiedy mówię „niedobrze”, to mam na myśli nerwowość, niepokój oraz fakt, że dopuścił do upadku swoich interesów.

— Czy wiedział pan, dlaczego tak się dzieje? Czy Max robił panu jakieś wyznania? Doktor Jarvis zatopił zęby w bułce. — Jak panu niewątpliwie wiadomo, Max nigdy nie należał do ludzi otwartych. Nawet w swoich najlepszych czasach. Wiem tylko tyle, że odczuwał coś w rodzaju przymusu, aby dniami i nocami zajmować się okazem starożytnej arabskiej ceramiki, który swego czasu przywiózł ze Środkowego Wschodu.

— Dzban — powiedziałem. — Z koźmi i kwiatami. Mój rozmówca skinął głową.

— Zgadza się. — Zadzwoił niewielkim srebrnym dzwonkiem. Na ten sygnał zjawiła się służąca z nową i porcją kawy.

— Czy Max kiedykolwiek mówił panu, dlaczego to robi?

— Co?

— Dlaczego spędza tyle czasu z dzbanem? Co on z nim robi? Teraz dzban jest zamknięty w wieżyczce. Ba, zamknięty to za mało powiedziane — jest zapieczętowany: żelazne sztaby, woskowe pieczęcie i Bóg wie, co jeszcze.

— Wiem o tym — oznajmił doktor Jarvis.

— I nie wydaje się to panu dziwne?

Lekarz popatrzył na mnie z namysłem.

— Oczywiście, że jest to dziwne. Na swój sposób Max Greaves był bardzo dziwnym człowiekiem. Wiedział jednak, co robi. Musi pan pamiętać, że nie był amatorem.

— Amatorem? W czym? Nie bardzo rozumiem.

— We wszystkim — odparł ostrożnie doktor Jarvis. — Był biznesmenem, dyplomata, kolekcjonerem rzadkich zabytków, uczonym i dżentelmenem. W żadnej z tych dziedzin nie zachowywał się po amatorsku. Jak już wspominałem, wiedział, co robi. Westchnąłem.

— A mimo wszystko na koniec się zabił.

Doktor Jarvis wzruszył ramionami.

— Czyżby?

— Przecież wie pan o tym tak samo dobrze jak ja. Marjorie znalazła go w kuchni z pociętą twarzą.

Doktor Jands odłożył serwetkę i przybrał uroczysty wyraz twarzy.

— Nie wiem, jaki jest pański zawód, panie Erskine — oświadczył podniosłym tonem — ja jednak, wykonując moją pracę, nauczyłem się nie wyciągać wniosków zbyt pochopnie.

— Więc twierdzi pan, że to nie było samobójstwo?

— To było samobójstwo, ale szczególnego rodzaju. Sięgnąłem po papierosa.

— Cóż to za szczególny rodzaj? I ile jest w ogóle rodzajów samobójstwa?

Doktor Jarvis wydobyl z kamizelki złotą zapalniczkę i podał mi ogień.

— Jest wiele rodzajów samobójstwa — wyjaśnił spokojnym głosem. — Niemal tyle samo, co i przypadków. Każdy człowiek postanawiający odebrać sobie życie, czyni to z powodu, który w momencie śmierci wydaje mu się niesłychanie ważny. Samobójstwo jest rezultatem kryzysu psychicznego, a każdy taki kryzys jest inny, gdyż ludzie poddani są odmiennym napięciom i presjom.

— Chyba może mi pan oszczędzić psychologii na poziomie szkoły podstawowej — zauważyłem obojętnie. — Chcę się dowiedzieć, jaki rodzaj samobójstwa popełnił Max Greaves.

Doktor Jarvis zdjął okulary. Miał blade, wodniste oczy, przypominające małże w połówkach skorupki, z odrobiną sosu tabasco na brzegach.

— Samobójstwo Maxa Greavesa należy zaliczyć do grupy przypadków spowodowanych przez samopoświęcenie — powiedział cicho. — On nie zabrał swego życia. On je dał.

Podniosłem się z miejsca i podszedłem do okna. Na zewnątrz było słonecznie, ciepło i normalnie. Tutaj chłód a i napięcie towarzyszące wszystkiemu, co dotyczyło dzbana, i były aż nadto wyczuwalne. Przez chwilę stałem w milczeniu, zaciągając się dymem, po czym powiedziałem:

— Panie doktorze, jeżeli Max oddał swe życie, to czy może pan powiedzieć, dlaczego to zrobił?

Doktor Jarvis zakaszłał.

— Panie Erskine, pozwoli pan, że zanim odpowiem na to pytanie, zadam panu własne. Co, pańskim zdaniem, zagraża pani Greaves i w jakim pozostaje to związku ze śmiercią Maxa?

Zapatrzyłem się na odległe strzępy piany widoczne na tle ciemnoniebieskiego morza.

— Nie wiem — odparłem miękko. — Ten dzban ma w sobie coś dziwnego, coś, czego nie potrafię nazwać. Jestem przekonany, że Max obdarzył go masą przeróżnych właściwości, których faktycznie nie posiada, a następnie uwierzył, że to wszystko dzieje się naprawdę; że dzban śpiewa i robi różne sztuczki. W końcu postanowił ukarać się za własne cierpienia. Niepokojące jest to, że obecnie Marjorie przejawia w stosunku do dzbana takie Karne uczucia. A skoro tak, to kto wie, czy nie zechce skończyć ze sobą podobnie jak Max.

Doktor Jarvis wykrzywił usta. Wyglądał staro i był zmęczony. Nie mogłem uwierzyć, że jest to ten sam lekarz, który odwiedzał mnie przed laty, siedział na skraju łóżka i pokazywał, jak zrobić samolot z drewnianych szpatulek do gardła.

— Panie Erskine — rzekł wreszcie — opowiem panu wszystko, co jest mi wiadome. Będzie to z mojej strony nieetyczne, jednak śmierć Maxa zburzyła spokój ducha tak mnie, jak i panu, a może właśnie świeże spojrzenie kogoś z zewnątrz pomoże rozwikłać jej zagadkę.

Pozostałem przy oknie, paląc papierosa i wyglądając na ogród.

— Proszę mówić — rzuciłem — słucham pana.

— Jak już powiedziałem, Max nie był amatorem. W żadnej dziedzinie. Cokolwiek robił, zawsze wierzył, że jest w stanie zrobić to równie dobrze, a może nawet lepiej niż zawodowiec. Nie potrafił traktować siebie ulgowo. Jeżeli nie mógł być w czymś najlepszy, zarzucał dane zajęcie, by nigdy już do niego nie wrócić. Max Greaves musiał być i najlepszy.

— Trafna charakterystyka — wtrąciłem cicho.

— Tak wiec — ciągnął doktor Jarvis — Max był jednym z najstynniejszych na świecie kolekcjonerów mistycznych zabytków Środkowego Wschodu. Nie wiem, czy zdaje pan sobie sprawę, że większość jego eksponatów wiązała się z czarami i okultyzmem. Ten dzban był jego najcenniejszą zdobyczą. Kupił go w Persji na początku lat pięćdziesiątych, przewiózł do Stanów, a następnie poświęcił całe lata na odkrywaniu, co to jest i w jaki sposób się tym posługiwać. Był przekonany, że został posiadaczem oryginalnego dzbana Ali Baby, który w zamierzonych czasach wstąpił się jako nadworny czarnoksiężnik. Często rozmawiał ze mną na ten temat. Powtarzał, że w środku ukryty jest prawdziwy duch. Szyjka dzbana miała być zapieczętowana, aby uniemożliwić mu ucieczkę na zewnątrz. Gdyby ktoś spróbował tę pieczęć złamać, zginąłby natychmiast śmiercią zbyt okropną, by można ją było opisać. Duch miał być istotą potężną i wrogią wobec ludzi. Opanować go można było jedynie poprzez dotarcie do starych magicznych ksiąg i odszukanie odpowiednich zaklęć.

Podszedłem do krzesła i usiadłem, odchylając się wraz z nim do tyłu.

— Czy pan w to wierzył? A może uważał pan, że jest to wytwór jego wyobraźni?

Doktor Jarvis uśmiechnął się.

— Sam nie wiedziałem, w co wierzyć. Max był zawsze tak przekonujący, gdy mówił o tym duchu. Jeśli chodzi o dzban, to zwykły określać go mianem Dzbana Dżinnów. Dżinn to takie arabskie słowo na określenie ducha.

— Zgadza się — skinąłem głową z miną znawcy, choć dowiedziałem się o tym nie dalej jak wczoraj. — Dżinn czy duch, to jedno i to samo.

— Nie mogłem przestać myśleć o Maxie — podjął doktor Jarvis. — Kiedy po raz pierwszy ujrzałem jego ciało, doszedłem do wniosku, że musiał zostać zamodowany. Nie było jednak sposobu, żeby ktoś zdołał niepostrzeżenie wejść lub wyjść z kuchni, gdzie dokonał sama okaleczenia. Za samobójstwem przemawiały ponadto wyraźne oznaki wahania. Pytanie brzmiało: dlaczego?

— Czy był szalony? — zapytałem wprost. — To o to chodzi? Czy postradał zmysły?

— Nie możemy tego przesądzić — odparł lekarz. — Po zastanowieniu dochodzę do przekonania, że istnieją tylko dwie możliwości.

— Jakie?

Doktor Jarvis nastawił kciuk i palec wskazujący.

— Pierwsza, że był obłąkany i stąd brało się przekonanie o kryjących się w Dzbanie Dżinnów złych mocach które przytłaczały go swym oddziaływaniem. No i druga, że Dżban Dżinnów rzeczywiście wywierał na niego wpływ, więc zabił się, chcąc udaremnić mu zawładnięcie swym ciałem i duszą.

Dolałem sobie nieco kawy.

— Czy istnieją dowody na poparcie którejkolwiek z tych teorii?

Doktor Jarvis pokręcił głową.

— Jest tego raczej niewiele. Za zgodą pani Greaves przeprowadziłem sekcję zwłok. Nie stwierdziłem żadnych uszkodzeń mózgu, śladów guza czy chorób, które mogłyby być odpowiedzialne za halucynacje lub odbiegające od normy zachowanie.

— Ale to nie oznacza, że nie był obłąkany.

Och nie, oczywiście, że nie — przytaknął doktor Jar—vis. — Mógł cierpieć na poważne zaburzenia, niewykrywalne na podstawie zwykłych badań. Jednakże sekcja w znacznym stopniu zmniejsza takie prawdopodobieństwo, zwłaszcza że wszystko, co robił, oprócz badań nad dzbanem, było zupełnie naturalne, normalne i nie wykazywało żadnych oznak niezrównoważenia czy utraty świadomości.

Zduśnięciem papierosa.

— A jak przedstawiają się dowody na poparcie drugiej tezy? Czy coś przemawia za tym, że dzban jest ... no, taki, jaki jest?

— Jeszcze mniej — przyznał lekarz. — Większość z tego, to legendy i zasłyszane opowieści. Przynajmniej mnie dało się tyle zebrać z przypadkowych uwag rzucanych irzez Maxa w mojej obecności. Zawsze powtarzał, że rtwarcie dzbana jest niemożliwe, ale gdyby do tego doszło, niczego byśmy nie zobaczyli. Mówił, że zamknięty w dzbanie dżinn nie ma fizycznej postaci. Dlatego właśnie każdy lotężny dżinn usiłował namówić przebywających na zewnątrz ludzi, aby znaleźli dla niego jakąś twarz.

Przeniknął mnie chłód, w dłoniach poczułem mrowienie.

— Twarz? — wyszeptałem.

— Otóż to. Dżinn nie mógł opuścić dzbana, dopóki nie znalazł sobie twarzy. Bez niej nie był w stanie wydostać się z zamknięcia. Nie mógł latać, pływać i robić tego wszystkiego, co zwykły robić dżinny.

— Doktorze Jarvis, czy to możliwe, żeby Max Greaves usiłował odciąć swoją twarz, chcąc tym samym uniemożliwić dżinnowi skorzystanie z tego wzorca?

Lekarz zapatrzył się w dal.

— To właśnie miałem na myśli, mówiąc o samopo—święceniu — wyjaśnił. — Czy dżinn istnieje czy też nie, Max był święcie przekonany, że wyświadcza nam wszystkim wielką przysługę, odbierając duchowi jedyną rzecz, jakiej mu brakowało do odzyskania wolności: swoją własną twarz.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Siedziałem przygnębiony, a doktor Jarvis przypatrywał mi się łagodnym, pełnym życzliwego zainteresowania wzrokiem, podczas gdy kopertowy zegarek w jego kamizelce tykał zawzięcie niczym pracowita stara kobieta.

4

Otworzyłem drzwi wozu i usiadłem za kierownicą. Anna była wyraźnie rozłoszczona.

— Dobrze się bawiłeś? Wydaje mi się, że wspominałeś tylko o krótkiej rozmowie.

Uruchomiłem silnik, zawróciłem w miejscu i skierowałem się ku biegnącej wzdłuż plaży drodze. Wyciągnąłem z kieszeni papierosa.

— Wygląda na to, że straciłeś nie tylko poczucie czasu, ale również zdolność mówienia — rzuciła ostro.

Przypaliłem papierosa poobtlukiwaną zapalniczką.

— Zawsze tak reaguje, ilekroć odnoszę wrażenie, że kobieta mnie nie docenia. To taki męski szowinizm.

— Za dużo palisz — stwierdziła, opuszczając boczną szybę. — Czy wiesz, że według statystyk znacznie więcej ludzi umiera na raka płuc niż z powodu złych duchów?

— Nie wiem, czy rak nie byłby lepszy — odparłem, biorąc z piskiem opon obszerny zakręt.

— Co ci powiedział? — zapytała po chwili. — Czy mówił, w jaki sposób zmarł Max Greaves?

— Doktor Jarvis wie niewiele więcej od nas — rzuciłem j ze wzrokiem wbitym w szosę przede mną. — Podobnie jak my, gubi się w przypuszczeniach. Uważa jednak, że Max odciął sobie twarz z bardzo szczególnych powodów. Czy wewnątrz dzbana było coś czarodziejskiego, czy też nie, Max próbował nie dopuścić, by zbudziło się to do życia.

— Nie rozumiem.

— Szczerze mówiąc, ja też. Doktor Jarvis zresztą również. Max opowiadał mi, że w dzbanie zamknięty jest dżinn, który nie może się stamtąd wydostać, dopóki nie otrzyma twarzy. Na razie jest bezpostaciowy, no wiesz, coś jak dym w butelce. Nie może istnieć poza dzbanem, jeżeli nie przybierze fizycznych kształtów czegoś lub kogoś. To dlatego Max usunął z domu kolekcję portretów, potłukł fajkę oraz spalił wszystkie zdjęcia i etykiety z żywności, na których widać było ludzkie twarze.

Anna ściągnęła brwi.

— Przecież to nie ma sensu. Skoro dżinn mógł posłużyć się twarzą Maxa, to dlaczego tego od razu nie zrobił? Dlaczego nie zawładnął twarzą Marjorie lub panny Johnson?

Skręciłem lekko, by ominąć jadącego na rowerze chłopca z wędką.

— Myśl o starożytnym złym duchu obleczonym w rysy panny Johnson jest zbyt przerażająca, aby można ją było w ogóle rozpatrywać — powiedziałem po krótkim namyśle. — Czy, będąc dżinnem, chciałabyś się pokazać publicznie z taką twarzą?

— Harry, przestań się wygłupiać.

— Tak? — wyrzuciłem przez okno na wpół wypalony papierosa. — To co u diabła mam robić? Wiesz, że nie chcę w to wszystko uwierzyć, ale przecież orientujesz się jak cholera, że jednak wierzę.

Rozchyliła swe przepiękne, połyskliwe wargi.

— Ty wierzysz? — zapytała ochryple. — Chcesz powiedzieć, że naprawdę myślisz..,

— To tak jak u Sherlocka Holmesa, no nie? Należy wyeliminować to, co niemożliwe, a cokolwiek pozostanie, choćby nie można było tego sprawdzić, będzie prawdą. Mniej więcej tak to wygląda. Uważam, że cały ten pomysł z dżinnem jest mało prawdopodobny i nie dający się sprawdzić. Równocześnie jednak każde inne wytłumaczenie wydarzeń w Winter Sails wypada po prostu śmiesznie.

— A co z twarzami Marjorie i panny Johnson?

— Skąd mam wiedzieć? Może dżinnowi sprawia większą trudność odwzorowanie twarzy żywych ludzi i dlatego woli rysunki czy fotografie? Może coś przyjdzie do głowy temu twojemu profesorowi Qualtowi?

— Chcesz teraz do niego pojechać? — zapytała Anna.

Zaprzeciłem ruchem głowy.

— Przede wszystkim chcę odwiedzić Marjorie. Muszę i się przekonać, czy nadal myśli tak samo, jak wczoraj w nocy.

— Okay — przystała Anna. — Popieram wniosek.

Po dziesięciu minutach jazdy byliśmy w Winter Sails.

Wjechaliśmy wolno na wysypany żwirem podjazd, minęliśmy grupę pochylonych drzew i zarośniętych trawników, by na koniec zatrzymać się na wprost głównego wejścia. Dom sprawiał wrażenie opustoszałego. Kilof tkwił tam, gdzie zostawiłem go minionej nocy, a w oknach na piętrze w dalszym ciągu widać było zastony.

Wysiedliśmy z samochodu, rozglądając się dokoła. Chorągiewka na dachu obracała się w łagodnych podmuchach zachodniego wiatru z głośnym skrzypieniem. Powietrze przepełnione było zapachem soli. Podeszedłem do łuszczących się, pomalowanych na niebiesko drzwi i nacisnąłem dzwonek. Usłyszałem dobiegający ze środka sygnał.

— Wygląda na to, że nikogo nie ma w domu — powiedziała po chwili Anna.

— Zaczekajmy parę minut — zaproponowałem. — Może one długo śpią.

Zadzwoiłem ponownie i znowu cierpliwie czekaliśmy na odpowiedź. Po kilku następnych próbach stało się oczywiste, że Marjorie i panna Johnson musiały pójść na targ lub zająć się czymś innym, co zwykły robić wdowy i ich damy do towarzystwa w sierpniowy ranek.

— Nie myślisz chyba, że coś się stało, prawda? — spytała Anna.

— Co masz na myśli?

— No wiesz, chodzi mi o tę postać, którą widzieliśmy w nocy. Tę w todze.

— Daj spokój. Sprawdź lepiej, czy w garażu jest samochód. Ja rozejrzę się wokół domu. — Chrząszcząc żwirem pod stopami, Anna skierowała się w stronę zniszczonego garażu. Obszedłem tymczasem dom i po trzech niewielkich stopniach z cegły wkroczyłem na rozległy zieleniec. Widziałem z niego wieżyczkę zwieńczoną typowym dla stylu kolonialnego gotyckim dachem oraz ciemne okna, przez które nie można było zajrzeć do środka. Zacząłem rozważać możliwość przystawienia do boku wieżyczki drabiny. Można by wtedy było zobaczyć, co kryje jej wnętrze jeszcze przed wyłamaniem drzwi.

W oddali halsowała po spienionym oceanie flotylla jachtów, nieco zaś bliżej krążyło nad opustoszałą plażą stado mew. Ruszyłem ku niknącemu wśród chwastów zegarowi słonecznemu. Długie źdźbła trawy przy każdym kroku z szelestem ocierały mi się o nogi. Chcąc lepiej przyjrzeć się wieżyczce, osłoniłem oczy dłonią.

Nadal niewiele mogłem dojrzeć. Z tej odległości okna stanowiły nieprzejrystą przeszkodę, a w jej wyglądzie zewnętrznym nie było niczego niezwykłego. Gdy znalazłem się obok zegara, spróbowałem wejść na kamienną podstawę, licząc, że z tej wysokości uda mi się może spostrzec więcej szczegółów. Niestety, spotkało mnie rozczarowanie. Wieżyczka pozostała ciemna, cicha i tajemnicza.

Spojrzałem w dół, na blat zegara, chcąc porównać jego wskazania z moim zegarkiem. Jako dziecko bardzo go lubiłem. Dla mnie zawsze było coś tajemniczego w sposobie, w jaki słońce przemierza nieboskłon, a łamiący się cień odmierza jego drogę. Za każdym razem, gdy widzę taki zegar, przypominają mi się gorące, długie lata dzieciństwa, kiedy dni zdawały się bieć tak powoli, a dorosłość była czymś, co nawet nie przychodziło człowiekowi do głowy.

Dziś jednak jego widok nie wzbudził we mnie podobnych skojarzeń. Zamiast rzymskich cyfr i wrytego w mosiężnej płycie nazwiska twórcy, ujrzałem zupełnie nowy zestaw rysunków i wygrawerowanych cyfr. Na obwodzie płyty rozmieszczono koła wypełnione arabskim tekstem, w środku zaś tak wyznaczonego kręgu przedstawiono wizerunki owadów i zwierząt. Wskazówka zegara również uległa metamorfozie. Wykonano w niej serię zagłębień i otworków układających się w węzową linię.

Usłyszałem zbliżające się kroki, więc zawołałem: — Anno! Podejź tu i obejrzyj to sobie. Odwróciłem się i ujrzałem Marjorie. Musiałem obserwować jakieś zakłócenie perspektywy, gdyż początkowo wydała mi



się bardzo mała, tak jakbym oglądał ją przez niewłaściwy koniec teleskopu. W miarę jednak jak się zbliżała, stawała się coraz większa, zupełnie nieproporcjonalnie do pokonywanej w tym czasie odległości. W chwili, gdy znalazła się przy mnie, wyglądała zupełnie normalnie, lecz wspomnienie jej niezwykłego powiększenia wywołało we mnie zdumienie i niepokój.

— Marjorie — powiedziałem. Nie serdecznie, gdyż na to nie pozwalała jej ściągnięta nadmiernym napięciem twarz, lecz z szacunkiem, jaki winien jest wnuk swojej babce.

Popatrzyła na mnie bez słowa. Miała na sobie długi do kostek, czarny strój, który pod wpływem morskiej bryzy co chwila zmieniał kształt, włosy zaczesana w stalowosiwy kok. Całości dopełniało małe, zabarwione na żółto pince-nez i duże, dzwoniące przy każdym ruchu kolczyki.

— Czy dobrze się czujesz, Marjorie? — zapytałem. — Wyglądasz jakbyś nie była sobą.

Marjorie zdawała się mnie nie słuchać.

— Dotykałeś zegara?

Rzuciłem okiem na pokrytą dziwnymi znakami płytę.

— Nie, oczywiście, że nie. Tylko się przyglądałem. Jest jakiś inny. — Nie wiedzieć dlaczego, przyszło mi do głowy, iż lepiej będzie nie chwalić się, że wodziłem dłońmi po płycie. W tonie jej głosu czaiła się jakaś groźba.

— Tak — przyznała sucho. — Jest inny. Czekałem, licząc, że powie coś więcej, lecz tak się nie stało. Stała cicha i nieruchoma; było to najbardziej niedwuznaczne zaproszenie do odejścia, jakie ostatnio widziałem.

— Marjorie — zacząłem z przejęciem. — Dzieje się tutaj coś niedobrego, a ja chcę ci pomóc. Powiedz, proszę, co tu jest nie w porządku.

— Nie w porządku? — spytała cicho. — Nie, wszystko jest w porządku. Nie musisz się niepokoić, Harry, nie musisz. Wszystko idzie tak jak powinno. Jesteśmy szczęśliwi.

Sięgnąłem po papierosy. Nerwowa sytuacja zawsze pobudza mnie do nadmiernego palenia. Zgiętą dłonią osłoniłem się od wiatru, a drugą nacisnąłem zapalniczkę, omal nie opalając sobie przy tym brwi.

— Marjorie, wydawało mi się, że zeszłej nocy widziałem tu jeszcze kogoś. Oprócz panny Johnson. Mężczyznę lub kobietę w czymś w rodzaju togi.

Marjorie omiotła spojrzeniem dom. Chorągiewka na dachu wieżyczki obracała się z piskiem, celując ostrym, pokrytym rdzą końcem na zachód.

— Doprawdy, Harry? — rzuciła wymijająco. — To miło z twojej strony.

— Miło? Marjorie, zupełnie cię nie rozumiem. Jakaś tajemnicza osoba w todzie kręci się wokół twego domu, a wszystko, co ty masz do powiedzenia w tej sprawie to „miło”? Kto to jest, Marjorie? Co się tu dzieje?

Marjorie ruszyła w stronę Winter Sails. Poruszała się tak szybko, że z trudem dotrzymywałem jej kroku.

— Marjorie, nie jestem w stanie ci pomóc, dopóki nie będę wiedział, co się tu dzieje.

— Wszyscy jesteśmy szczęśliwi, Harry — powtórzyła monotonnym, pozbawionym wyrazu głosem. — Jesteśmy szczęśliwi jak skowronki, Harry. Szczęśliwi jak skowronki.

— Marjorie, proszę! — Ale ona szła dalej, minęła ceglane schodki i znalazła się na żwirowym podejździe. Wyciągnąłem dłoń, aby schwycić ją za rękaw, okazało się jednak, że jest to niemożliwe. Odniosłem idiotyczne wrażenie, że rękaw wraz ze znajdującym się w nim ramieniem jest niematerialny, że nie istnieje naprawdę. Potem dotarł do mnie już tylko fakt, że Marjorie przebiegła podjazd i zniknęła wewnątrz domu. Wszystko to zdarzyło się tak szybko, iż nie zdążyłem nawet pojąć, co się stało.

Podszedłem do głównego wejścia i zadzwoniłem jeszcze raz. Gdy to nie poskutkowało, zacząłem walić pięścią.

— Marjorie! Marjorie! Chcę z tobą pomówić — wykrzykiwałem na całe gardło, lecz to również nie przyniosło rezultatu.

Po chwili od strony garażu nadeszła Anna.

— Samochód stoi na miejscu — powiedziała. — Według mnie wszyscy musieli się tutaj pospać. Wołałeś mnie?

Uderzyłem pięścią w otwartą dłoń.

— Cholera, nie. Krzyczałem do Marjorie. Stałem sobie na trawniku obok domu, kiedy nadeszła. Wszystko co pamiętam, to że na koniec uciekła tymi drzwiami. A teraz nie chce mi otworzyć.

— Czy jesteś pewien? — spytała Anna ze zmartwioną miną. — To bardzo dziwne.

— Pewien? — warknąłem wściekle. — Oczywiście, że jestem. Znam tę kobietę od trzydziestu lat. Nie mógł to być nikt inny.

Odeszliśmy dalej od domu z nadzieją, że może uda nam się zobaczyć kogoś wyglądającego oknem na piętrze. Niestety, wszystkie okna miały szczelnie zaciągnięte zastony i nigdzie nie było widać śladów życia.

— Może powinniśmy się włamać — podsunęła Anna. — Przecież mogą być chorzy lub mieć inne kłopoty.

Parsknąłem.

— Pewnie, właśnie zostali bolszewikami. Anna złapała mnie za rękę.

— Harry, przecież wiesz, że coś się tu dzieje. Powinieneś zdobyć się na wysiłek i poznać prawdę. A co, jeżeli dzinn wydostał się na wolność lub omotał ją swoim wpływem podobnie jak Maxa?

Podszedłem do ceglanych schodków i usiadłem na najwyższym stopniu. Anna stanęła nade mną. Pozwoliliśmy naszym myślom biec jakiś czas w kompletnej ciszy.

— Nie wiem — odezwałem się wreszcie. — Nie wiem, w którym miejscu moja odpowiedzialność się zaczyna, a w którym kończy. Ona powiedziała, że są szczęśliwi jak skowronki. Wszyscy są szczęśliwi jak skowronki. ;

— Wszyscy? — zacięła się Anna. — Marjorie, panna Johnson i kto jeszcze?

— Och, nie pytaj mnie. Powoli zaczynam myśleć, że ze zwykłej igły robimy mistyczne widły.

Anna przeciągnęła dłonią po twarzy.

— Strasznie się dzisiaj powtarzasz.

— I bardzo dobrze. Wolę się powtarzać niż ścigać perskie dżinny. Myślę, że powinniśmy dać sobie spokój z tą sprawą i pomyśleć o lunchu. Mam ochotę na zimne piwo i hot doga.

Anna pokręciła głową.

— Nie ma sensu uciekać przed tym problemem, Harry. Muszę odzyskać dzban, ponieważ to moja praca. Ty zaś musisz zrobić to samo przez wzgląd na twoją owdowiałą babkę.

Wzruszyłem ramionami.

— Coś mi się zdaje, że twoje powody są znacznie ważniejsze. Dlaczego po prostu nie chwycisz za kilof i nie wyłamiesz drzwi? Wtedy będziesz mogła wyjaśnić wszystko Marjorie osobiście.

Anna popatrzyła na mnie z powagą.

— Chciałabym mieć tyle odwagi — powiedziała. — Zastanawiam się nad wieżyczką. Jak myślisz, czy moglibyśmy przystawić do niej drabinę?

— Myślę, że tak — przyznałem z ociąganiem. — Zdajesz sobie jednak sprawę, że formalnie rzecz biorąc, wystąpimy w roli niepożądanych gości?

Anna rozpięła mankiety swojej szarej, jedwabnej bluzki.

— Niepożądanym gościem będę tylko wtedy, gdy dam się złapać — odparła. — Gdzie w tym domu mogą być drabiny?

Wskazałem na szopę z narzędziami.

— Więc nie dasz sobie tego wyperswadować?

— W żaden sposób. Nadszedł czas, aby obejrzeć ten dzban w blasku dnia.

Wstałem ze schodów.

— Podejrzewam, że jako słabej kobiecie, będzie ci potrzebna niewielka pomoc. A więc chodźmy po drabinę i przekonajmy się w końcu, co ten przeklęty dzban robi naprawdę. Może on też się zmienił, tak jak i zegar słoneczny.

Anna uniosła brwi.

— Jaki znów zegar?

Skinąłem głową w stronę trawnika.

— Tamten. Zrobiono z niego jeszcze jeden arabski zabytek.

— Jesteś pewien?

— Oczywiście, że tak. Przestań mnie wreszcie pytać za każdym razem, czy jestem pewien. Jestem najpewniejszym człowiekiem jakiego znam. Zamiast wypytywać, lepiej podejź i przekonaj się sama.

— Tak właśnie zrobię — stwierdziła, ruszając pospiesznie we wskazanym kierunku. Nie pozostawało mi nic innego jak pójść w jej ślady.

— Zobacz — powiodłem dłonią nad rysunkami i arabskimi napisami. — Kiedy byłem dzieckiem, stał tu zwyczajny zegar słoneczny.

Anna oglądała płytę z niesamowitym napięciem matki poszukującej wszy we włosach córki. Jej usta poruszały się nieznacznie, gdy próbowała odczytać poszczególne wyrazy, a od czasu do czasu wyrывało się z nich głośne: „O Boże”.

Stałem obok i czekałem cierpliwie aż skończy. Kiedy wreszcie wyprostowała się, zapytałem:

— Co to jest? Czy to kolejny przejaw perskiej sztuki magicznej?

Anna skinęła głową.

— Sądzę, że można to tak nazwać. Czytałam o czymś takim, oglądałam nawet rysunki, ale po raz pierwszy widzę to na własne oczy. Mamy oto przed sobą zegar nocny.

— Czyli zegar słoneczny, który wskazuje czas w nocy? Wiedziałem, że Arabowie byli bardzo zdolni, ale nie sądziłem, że aż do tego stopnia.

Pokręciła przecząco głową.

— Ten zegar nie odmierza czasu. Jest przeznaczony do oddziaływania duchowego. Słyszałeś o gwiazdach i planetach tworzących pomiędzy sobą koniunkcje? Zajmuje się tym astrologia.

Wyszczerzyłem zęby w ponurym uśmiechu.

— Rozmawia pani z ekspertem, madame.

— A więc — podjęła, nie odwzajemniając mojego grymasu — według pogłosek, starożytnym Arabom udało się poznać sposób na skupienie w określonym punkcie Ziemi wzmocnionego wpływu planet. To tak, jakbyś zogniskował promienie słoneczne za pomocą szkła powiększającego. Potrafili oni zsynchronizować swoje nocne zegary z innymi galaktykami czy gromadami gwiazd i skoncentrować dowolny rodzaj energii duchowej na obszarze nie większym od paznokcia.

Dotknąłem ostro zakończonyj wskazówki. — A zatem jest to oryginalny przyrząd do uprawiania magii? — zapytałem. — Może ustawiono go tutaj jako dekorację, zabytek znaleziony przez Maxa w trakcie którejś z podróży?

Anna popatrzyła na mnie poważnym wzrokiem. — Nocnych zegarów nie znajduje się ot tak sobie, Harry. Po dzień dzisiejszy są one w Iranie zakazane, choć nie powie ci tego żaden przedstawiciel rządu. Ostatni znany okaz takiego zegara został skonfiskowany i zniszczony w Bagdadzie dwadzieścia pięć lat temu. Ściągnąłem brwi.

— Chyba żartujesz. Podobny do tego? A cóż u diabła można nim zrobić?

— Bardzo dużo — wyjaśniła Anna. — Możesz się nim posłużyć, aby zniszczyć swoich wrogów. Możesz obdarzyć przyjaciół nadprzyrodzoną mocą. Właściwa obsługa wymaga doświadczenia i ogromnego talentu. Da się ją porównać do prowadzenia wielkiego odrzutowca podczas huraganu. Podejmujący się tego

człowiek ma do czynienia z kolosalnymi, wzburzonymi siłami, nad którymi musi nie tylko zapanować, ale jeszcze zogniskować je z niebywałą dokładnością.

— Brzmi nieźle — przyznałem. — Jest tylko jeden problem: co to tutaj robi?

Anna odrzuciła z oczu kosmyk włosów.

— Z odpowiedzią nie powinno być żadnych kłopotów — stwierdziła. — Uklęknij przy zegarze i patrz wzdłuż boku wskazówki tak długo, aż wszystkie otwory znajdą się w jednej linii. Tak w każdym bądź razie zalecają stare księgi.

— W porządku — powiedziałem. — Wcale się nie boję. Klęknąłem, przymknąłem jedno oko, a drugim zacząłem zezować na wykonane we wskazówce otwory. Ze zdziwieniem zauważyłem, że wywiercone w płaskiej, niemal dwuwymiarowej wskazówce dziury oglądane pod pewnymi kątami, zdawały się zbliżać do siebie. Przesuwałem głowę w różne strony, dopóki wszystkie nie zlały się w jeden niewielki otwór.

— Co widzisz? — zapytała Anna.

— Dziurę, a jak myślałaś?

— Tak, ale co widzisz przez nią?

Ponownie zacząłem zezować przez tę niezwykłą dziurę. Początkowo ujrzałem tylko białe światło i dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że oglądam odbicie obłoków w szybie okiennej. Odchyliłem nieco głowę i już wiedziałem dokładnie. Nocny zegar był nastawiony na gotycką wieżyczkę Winter Sails.

— Wieżyczka? — dopytywała się Anna. Przytaknąłem.

— Tak właśnie myślałam. Uważam, że powinniśmy natychmiast odnaleźć profesora Qualta i zapytać go, co teraz mamy robić.

Wzruszyłem ramionami.

— Okay, jeśli chcesz. Ale skoro ten nocny zegar jest tak niebezpieczny, to dlaczego nie możemy zniszczyć go sami?

— Dlatego — odpowiedziała Anna — że pod jego wpływem mogą znajdować się nie tylko złe duchy, ale i niewinni ludzie. Nocny zegar wiąże do siebie człowieka równie nieodwołalnie jak pępowina łączy dziecko z organizmem matki. Jeżeli ktoś doświadczył na sobie jego oddziaływania, to wówczas duchowe istnienie takiej osoby zostaje całkowicie uzależnione od funkcjonowania zegara.

— Skoro tak mówisz, nie będziemy go ruszać — zgodziłem się. — Osobiście jednak uważam, że powinniśmy natychmiast przerwać jego działanie.

Jeszcze raz spojrzałem przez dziurę i mój wzrok pochwycił jakiś ruch. Popatrzyłem dokładnie w to miejsce; mógłbym przysiąc, że zauważyłem jakiś bladą kształt, na poły mknący poza rozświetlonym przez odbite światło oknem wieżyczki.

— Anno — zacząłem, lecz kształt zniknął i pozostał jedynie cichy dom z blaszaną chorągiewką na dachu, której skrzywienie powracało co chwila niczym uporczywy ból.

Odszukanie profesora Qualta zajęło nam całe popołudnie. Najpierw dotarliśmy do jego mieszkania w starym domu na przedmieściach New Bedford. Otworzyła gosposia. Dowiedzieliśmy się od niej, że profesor wyszedł z domu o wpół do ósmej, zabierając ze sobą lunch. Zapewne, zgodnie ze swoim zwyczajem, udał się na plażę i zajął porządkowaniem notatek. Nie wiedziała, niestety, jak się ta plaża nazywa ani gdzie się ona znajduje. Popatrzyliśmy z Anną po sobie z cierpliwą rezygnacją, wróciliśmy do samochodu i ruszyliśmy na poszukiwania.

Na ósmej plaży naszą uwagę przyciągnął kolorowy parasol tkwiący pośród porośniętych trawą wydmy. Gdy podeszliśmy bliżej, okazało się, że w jego cieniu śpi sobie profesor Qualt. Był to muskularny mężczyzna w średnim wieku, któremu gęste, czarne, występujące na całym ciele owłosienie nadawało wygląd wykształconego goryla. Leżał na wznak, ściskając w dłoni na wpół opróżnioną puszkę piwa, z radia płynęły dźwięki smyczkowych kwartetów Mozarta. Na jego strój składały się lustrzane okulary słoneczne, obszerne spodenki kąpielowe w wielobarwne paski oraz ręcznej roboty, skórzane sandały, jakie można kupić w Key West.

Anna pochyliła się i wyłączyła radio. Jeszcze przez chwilę profesor Qualt pozostawał w głębokim uśpieniu, potem jednak zmarszczył nos, zamrugał oczami i gwałtownie usiadł.

— Anna Modena — wymamrotał trochę nieprzytomnie głębokim, modulowanym głosem. — Co, na litość boską, tutaj robisz? Zechciejcie mi wybaczyć, byłem właśnie w trakcie...

— Porządkowania notatek — odpowiedziała Anna z łagodnym sarkazmem.

Qualt parsknął śmiechem. Miał rubaszny, serdeczny śmiech, przypominający mi dużego, wesołego futbolistę, którego kiedyś miałem okazję poznać. Podciągnął nogi, ziewnął, rozprostował owłosione ramiona i zaprosił nas na swój koc.

— Chce pan piwa? — zwrócił się do mnie. Pomyślałem sobie wtedy, że jednak niezły z niego facet. Sięgnął do turystycznej lodówki i wyciągnął dwie puszkę schłodzonego Old Milwaukee, krakersy oraz polskie salami.

— Powinienem być bardziej uważać w szkole — rzuciłem z zazdrością. — Może udałoby mi się przebrnąć przez studia i spędzić resztę życia pijąc piwo na plaży.

Anna rzuciła mi poirytowane spojrzenie, Qualt jednak wyglądał na rozbawionego. Otworzył puszkę i pociągnął parę dużych łyków.

— Wie pan co — oświadczył, ocierając usta wierzchem dłoni. — Gdyby tylko wszyscy ci nie kończący studiów okazali więcej wytrwałości, otworzyliby sobie drogę do totalnego nieróbstwa: cudownej krainy wiecznych profesorskich wakacji.

Anna potrząsnęła głową.

— On żartuje, Harry. Profesor Qualt to najciszej pracujący oraz najbardziej błyskotliwy i oddany uczonec, jakiego można sobie wyobrazić. Qualt ponownie wybuchnął śmiechem. — To dla nich nic nie znaczy, nieprawdaż? Przez jakiś czas siedzieliśmy w milczeniu, po czym Anna zaczęła cicho:

— Panie profesorze, chcieliśmy pana o coś zapytać.

— Proszę bardzo. Byleście tylko nie prosili mnie o przekład dwustu stron oryginalnej XVI-wiecznej poezji perskiej, jak to ostatnio uczynił profesor Jaminsky.

— I co mu pan odpowiedział? — zapytałem. Qualt wzruszył ramionami.

— Wyjaśniłem mu, że na tym tłumaczeniu ucierpiałyby dwie najważniejsze sprawy: wiersze i ja.

— Znalazłam nocny zegar — oznajmiła nagle Anna. Bez najmniejszego ostrzeżenia profesor Qualt rzucił z siebie całą ospałość, jakby był to mokry ręcznik. Gdy tylko dziewczyna wspomniała o nocnym zegarze, stał się czujny i spięty. Odstawił piwo i aż pochylił się do przodu.

— Co takiego?

— Nocny zegar — powtórzyła. — W doskonałym stanie i najprawdopodobniej przygotowany przez kogoś do użytku.

Qualt w zamyśleniu przygryzł wargę.

— Gdzie to jest? — zapytał. — Naprawdę widzieliście to na własne oczy?

Skinąłem głową.

— Ustawiono go na starym zegarze słonecznym w ogrodzie mojej babki, owdowiałej przed kilkoma dniami. Dziadek zajmował się ropą i podczas swego pobytu w Arabii zgromadził mnóstwo zabytków pochodzących z tamtego regionu. Nie mam pojęcia — może kupił tę rzecz nie zdając sobie sprawy z jej przeznaczenia. Może wziął ją za ozdobny arabski zegar słoneczny.

Qualt powoli pokręcił głową.

— Nikt w Arabii nie sprzeda panu nocnego zegara. Nigdy nie zdoła go pan kupić, chyba że wie pan dokładnie, czego szukać i ma do wydania duże pieniądze. Wie pan, że takie zegary są zakazane.

— Tak. Anna mi powiedziała. Nadal jednak nie rozumiem dlaczego.

Qualt zdjął lustrzane okulary i przyjrzał mi się badawczo. Miał takie same oczy jak James Mason — zblazowane i zmęczone tym, co widziały, a równocześnie wrażliwe i czujne.

— Są zakazane po prostu dlatego, że działają — rzekł. — Nigdy nikomu nie udało się choćby w przybliżeniu odpowiedzieć na pytanie, dlaczego czy też w jaki sposób one funkcjonują. Jest w tym coś z mistycznych właściwości wielkich piramid. Przypuszcza się, że wynaleźli je egipscy czarnoksiężnicy tysiące lat przed narodzeniem Chrystusa.

Z niepokojem popatrzyłem na Annę.

— Ale jeżeli one rzeczywiście działają — powiedziałem — oznacza to, że ktoś usiłuje tchnąć w dzban siłę i moc. A skoro ktoś rozmyślnie chce coś takiego zrobić...

Qualt powiódł po nas pytającym wzrokiem.

— Może zechcecie mnie oświecić? — zaproponował. — Co ktoś chce zrobić rozmyślnie? Jaki dzban? O czym wy mówicie?

Na zmianę z Anną zrelacjonowaliśmy wszystko, co wiedzieliśmy o Maxie Greavesie i jego kolekcji, o Dzbanie Dżinnów oraz o tajemniczych wydarzeniach minionego dnia. Profesor Qualt zdawał się momentami nie słuchać, jednak napięte mięśnie zdradzały, jak bardzo go absorbuje nasza opowieść. Nie

odezwał się ani słowem, dopóki nie skończyliśmy. Wtedy usiadł i na długo zapatrzył się we wzory na swoim kocu, myśląc nad czymś intensywnie.

Po jakimś czasie pogrzebał w rzuconej byle jak lnianej marynarce, skąd wydobyl małą fajkę z korzenia wrzośca i woreczek z tytoniem. Nabił fajkę i zapalił, osłaniając główkę złożonymi dłońmi. Dopiero gdy tytoń zajął się na dobre, zaczął mówić z cybuchem tkwiącym pewnie pomiędzy zębami.

— Przede wszystkim chyba muszę powiedzieć, że wam wierzę — zaczął. — Wspomnieliście o kilku rzeczach, o których nie moglibyście wiedzieć, gdybyście ich nie widzieli, chyba żebyście tak jak ja byli profesorami starożytnych kultur Środkowego Wschodu. Weźmy chociażby tę sprawę z twarzami. Jest to wyjątkowo rzadko spotykana obrona przed wskrzeszeniem dżinna, znana zaledwie kilku perskim czarnoksiężnikom z piątego wieku przed naszą erą. Nazywano ją, o ile sobie przypominam, Pieczęcią Wygnanych Twarzy. Jak się pan zorientował, panie Erskine, na przykładzie wydarzeń w domu pańskich dziadków, usunięcie wszystkich rysunków i portretów działa jako ochrona przed ponownym pojawieniem się dżinna.

— No, a co z Maxem? — zapytałem. — Dlaczego pociął sobie twarz, wystawiając na ryzyko Marjorie? Przecież dżinn mógł chyba równie dobrze przywłaszczyć sobie jej twarz?

Profesor Qualt przecząco pokręcił głową.

— Słabo zna pan Arabów, panie Erskine. Dla nich kobieta jest częścią dobytku, reprezentuje gorszą część ludzkości. Żaden dżinn nie mógłby i nie chciał posłużyć się twarzą kobiety. Dżinn to potężny duch, a przyjęcie kobiecej twarzy osłabiłoby jego moc i wystawiło go na pośmiewisko.

Łyknałem nieco piwa. Popołudnie było tak upalne, że puszka zdążyła już się nagrzać. Czułem się, jakbym popijał rzadką zupę.

— I co ten dżinn teraz zrobi? — zadałem kolejne pytanie. — Max wyraźnie się go bał, ale jaką krzywdę może komukolwiek zrobić starożytny kłębek dymu? Profesor Qualt przyssał się do fajki. — Tego nikt nie potrafi powiedzieć, przynajmniej bez stwierdzenia, jaki dżinn kryje się wewnątrz tego dzbana. Jeśli jednak naprawdę mamy do czynienia z dżinnem Ali Baby, to musicie się liczyć z poważnymi kłopotami.

— Chciałbym wiedzieć, jakie to kłopoty?

— Właściwie nie da się do końca oddzielić faktów od legend — wyjaśnił uczony. — Niemniej jednak większość ksiąg i manuskryptów, jakie udało mi się przeczytać na temat dżinna Ali Baby, jest zgodna co do jednego.

— A mianowicie?

— Wszystkie przyznają, że dżinn ten obdarzony był wyjątkową cechą, wyróżniającą go spośród wszystkich innych. Potrafił zmieniać kształt, przybierając dowolny wygląd, oczywiście w pewnych określonych granicach. Mógł przeobrazić się w chmurę dymu, ogromnego krocionoga, zakapturzonego trędowatego lub przypominającego lwa potwora, a także w wiele innych magicznych stworzeń. Z powodu tej zdolności był powszechnie znany jako Czterdziestu Grabieżców Życia. Później nazwa została skrócona do Czterdziestu Rozbójników, choć niewątpliwie właściwsze byłoby określenie Czterdziestu Morderców. Każda z tych form dżinna, dowolna spośród czterdziestu różnych postaci, zadawała śmierć w odmienny, swoisty sposób. Przez zadławienie, jeżeli dżinn stał się obłokiem dymu. Przez zakłucie, jeżeli przekształcił się w gigantycznego krocionoga. Przez zarażenie chorobą zakaźną, jeżeli pojawił się jako trędowaty. Przez



spalenie, utonięcie, rozszarpanie, uduszenie, rozprucie brzucha — w sumie czterdzieści sposobów rozstawania się z życiem.

Anna wyraźnie zbladła. Zwracając się do mnie, powiedziała stłumionym głosem:

— Postać w kapturze... Czy mógł to być... trędowaty?

— Mógł — przyznał profesor Qualt. — Wydaje mi się jednak, że dżinn nadal tkwi w dzbanie, widziana zaś przez was postać była zaledwie duchem służebnym, jedną z pomniejszych istot, którą udało mu się wezwać do pomocy przy ucieczce z dzbana. Czas i przestrzeń wypełnione są przez włóczące się bez celu nędzne duchy, które łatwo dają się zdominować i ulegają władzy potężniejszych i znamienitszych mieszkańców świata pozagrobowego. Natomiast same dżinny podlegają rozkazom duchów zmarłych ludzi. Jest powiedziane, że duchy ludzi panują nad dżinnami tak samo, jak wy czy ja jesteśmy w stanie zapanować nad rozszluszczonym psem.

Wyciągnąłem następnego papierosa.

— Słuchając pana ma się wrażenie, że pan w to wszystko wierzy.

Profesor Qualt potrząsnął głową.

— Prawdę powiedziawszy, to nie wierzę. Nigdy nie widziałem ducha, a gdybym nawet go zobaczył, to najprawdopodobniej nie wiedziałbym, z czym mam do czynienia. Ale to nieważne. Ujmując rzecz ściśle, wszystkie zdarzenia, o których mi opowiedzieliście, mają tylko jedno racjonalne wytłumaczenie. Mamy oto dzban i z dzbana tego płynie jakieś widmowe oddziaływanie. Oddziaływanie to jest niebezpieczne dla ludzi, może to być zatem Czterdziestu Rozbójników. A jeśli tak jest w istocie, to najlepszą rzeczą, jaką możecie zrobić, będzie uciec jak najdalej od dzbana i tego domu. Z Czterdziestoma Rozbójnikami nie ma żartów.

Anna wyglądała na zmartwioną.

— Czy nie możemy uciec się do egzorcyzmów? — zapytała. — Może kapłan zdołałby się go pozbyć?

Profesor Qualt dosypał nieco tytoniu do fajki.

— Dżinn jest duchem kultury Islamu. Żaden chrześcijański duchowny nie zrobi na nim wrażenia. Dzwonek, modlitewnik i świeczka? Nie sądzę, aby to poskutkowało.

— Więc co, według pana, powinniśmy zrobić? — dopytywałem się.

Uczony obrzucił nas spojrzeniem zmęczonych oczu.

— Już wam mówiłem. Wynoście się do diabła. Jeżeli dżinn zdoła uciec, to wszystkim, czego możecie oczekiwać za wasz wysiłek, będzie jeden z czterdziestu wyjątkowo paskudnych sposobów zagłady.

— Nie mogę tak postąpić — zaproponowałem. — Tam jest moja babka. I jej dama do towarzystwa.

— Zabierzcie je ze sobą — poradził Qualt. — Zabierzcie ze sobą, a cały dom spalcie aż do fundamentu, tak jak zalecał to dziadek.

— Qualt — rzuciłem. — Chyba nie mówi pan poważnie?

— Oczywiście, że mówię poważnie.

— Ale to przecież nie ma sensu. Problem polega na tym, aby pozbyć się dzbana, a nie spalić doszczętnie cudowny, stary dom nad morzem.

Qualt spuścił wzrok.

— Decyzja należy do was — powiedział. — Wierzę w waszą opowieść, a to sprawia, że sytuacja wygląda jeszcze gorzej. Jeśli spróbujecie grzebać wokół dzbana, zwłaszcza teraz, gdy džinn dostrzegł szansę ucieczki, sięgniecie kłopoty, z którymi nie zdołacie sobie poradzić.

Anna wyglądała na przybitą i rozczarowaną. Było oczywiste, że oczekiwała ze strony profesora Qualta bardziej konkretnej pomocy. Poza tym w jej mniemaniu był to wielki krzyżowiec, oddany sprawie zwrotu bezcennych zabytków ich ojczystym krajom. A teraz, nawet nie rzuciwszy okiem na dzban džinnów, mówił nam, aby go zniszczyć.

— Profesorze Qualt — podjęła Anna. — Czy nie zechciałby pan pojechać z nami i obejrzyć ten dzban? Wystarczy krótki rzut oka, żebyśmy wiedzieli, czy nie popełniamy pomyłki. Profesor westchnął.

— No cóż, właściwie powinienem uporządkować te notatki — powiedział z dość dużym przekonaniem.

— Proszę, profesorze — błagała Anna. — Obejrzy pan tylko nocny zegar i dzban. To mi wystarczy.

Profesor Qualt zastanawiał się przez chwilę. Widać było wyraźnie, że swój wolny czas traktuje bardzo poważnie i wcale nie uśmiecha mu się perspektywa jazdy do Cape w sierpniowym upale tylko po to, by popatrzeć na stary dzban. Ale to nie był taki sobie stary dzban, a ponadto zostawał jeszcze do zbadania nocny zegar. Powoli akademicka ciekawość zaczęła brać górę.

— Dobrze — powiedział w końcu. — Pozwólcie mi tylko spakować rzeczy i włożyć ubranie.

Poderwaliśmy się na równe nogi, by pomóc uczonemu w porządkach.

Podczas jazdy do Winter Sails profesor Qualt wychylił się ku nam z tylnego siedzenia i uraczył nas kolejnymi szczegółami dotyczącymi legendy Ali Baby.

— Arabowie uważali, że Ali Baba zawarł pakt z dziwną sektą wyznających zło nekromantów, których siedziba kryła się pośród wzgórz. Czarnoksiężnicy ci odprawiali niecodzienne i nadzwyczaj wstrętne obrzędy. Podobno jeden z nich polegał na obnoszeniu młodej dziewczyny na długiej tyczce, której koniec wbijano w jej pochwę. Sekta owa występowała czasami pod nazwą N'zwaa lub Unswa, niekiedy zaś na jej określenie używano nie dającego się wymówić słowa, które można przetłumaczyć jako Ci-Którzy-Czczą-Przerażające.

Profesor Qualt uchylił okno z tyłu i ponownie zapalił fajkę.

— Historia zaczyna się w momencie, gdy Ali Baba przeżywa spadek swych magicznych możliwości. Nowym faworytem dworu zostaje wielki czarodziej z Bagdadu, Ali Shama, spychając Ali Babę w cień. Mówiono, że potrafił on sprawić, by dywany latały, a umarli wracali do życia. Ali Baba, chociaż był bardzo dobry w swoim fachu, nie potrafił dokonać żadnej z tych rzeczy, podobnie zresztą jak i wielu innych sztuczek Ali Shamy i bardzo się z tego powodu złościł.

Właśnie wtedy udał się do N'zwaa. Było to niezwykle ryzykowne, gdyż w świetle tego, co o nich mówiono, zabijanie przychodziło im nadzwyczaj łatwo. Zaproponował im przymierze, zgodnie z którym N'zwaa mieli przywołać na jego osobisty użytek wielkiego, przerażającego džinna, w zamian za co

zobowiązał się dostarczać im corocznie młodą dziewczynę do religijnych obrzędów i dla rozrywki. N'zwaa przystali na takie warunki. Wywołali Ali Babie jednego z najbrzydliwszych džinnów — Czterdziestu Grabieżców Życia, a on w zamian za to, jak mówi legenda, podarował im trzynastoletnią córkę swego przyjaciela. Jakich odrażających praktyk dopuścili się N'zwaa na tej, a także na innych dziewczynach otrzymanych od Ali Baby, nie wiadomo. Starożytne przekazy wspominają tylko, że każda z nich umierała przez siedem tygodni. Anna nie mogła pohamować drżenia.

— To okropne — powiedziała. — Ale czy Ali Baba odzyskał dzięki temu swe dawne wpływy?

— Tak mówią — odparł profesor Qualt. — Wkrótce po powrocie Ali Baby ze wzgórz znaleziono martwego Ali Shamę we własnym łóżku. W nocy jakiś kleszcz wpadł do jego ucha i przegryzł się do mózgu. Nikt nic nie powiedział, ale większość ludzi uważała, że tym owadem był džinn Ali Baby, ucieleśniony w jednej ze swych czterdziestu form.

Spojrzałem na zegarek.

— Jeszcze piętnaście minut i będziemy na miejscu. — Rzuciłem okiem w lusterko i przeskoczyłem na drugi pas, aby wyprzedzić wielką ciężarówkę.

— Chciałabym wiedzieć — odezwała się Anna — dlaczego džinn tak rozpaczliwie potrzebuje twarzy? Jeżeli potrafi przeobrazić się w ogromnego krocionoga, kleszcza czy kłęb dymu, to do czego potrzebna mu twarz?

Profesor Qualt wyjął z ust fajkę.

— Mogę przekazać tylko to, co mówią nam legendy. Jeśli džinn jest zablokowany Pieczęcią Wygnanych Twarzy, to nie może wówczas przybrać swojej postaci nadrzędnej. Innymi słowy, nawet džinn o czterdziestu obliczach musi mieć swoją formę podstawową, którą w większości przypadków jest postać człowieka lub istoty człękokształtnej. Bez takiej formy nadrzędnej džinn przypomina nieco kompozytora, którego poproszono o napisanie czterdziestu wariacji nie podając mu tematu.

Resztę podróży odbywaliśmy w milczeniu. W miarę zbliżania się do Winter Sails zacząłem odczuwać narastający niepokój, zwłaszcza że zaczynało się zmierzchać i wkrótce miały zapaść ciemności. Minęliśmy pochylone drzewa i wtoczyliśmy się na podjazd, skąd roztaczał się już widok na biały dom ze złowieszczą gotycką wieżyczką, zwieńczoną podobną do szabli blaszaną chorągiewką. W tle ciągnęło się morze, upstrzone pasmami białej piany. Widać było, jak ostatnie żaglówki sterują ku lądowi, chcąc dobić do portu przed nocą.

Anna podskoczyła nagle na siedzeniu.

— Kto to? — zapytała wskazując coś na cienistym podejździe.

Natychmiast naciśnąłem hamulec i podążyłem wzrokiem za wyciągniętą ręką dziewczyny. Był tam jakiś dzieciak na rowerze, ubrany w postrzępioną koszulkę tenisową i przekreśloną daszkiem do tyłu czapkę do baseballu. Jadąc wygwizdywał wesołą melodię. Opuściłem boczną szybę i zawołałem:

— Hej, synu!

Chłopak zatrzymał się tuż przy mnie. Miał piegi na nosie, brakowało mu za to dwóch przednich zębów.

— Słucham pana?

— Czy byłeś w tym domu?

— Tak, proszę pana.

— W jakim celu?

— Przywiozłem gazety i „Time’a”. Profesor Qualt wychylił się ze swego fotela.

— Przywiozłeś „Time’a”? — zapytał z napięciem w głosie.

— No pewnie. Przecież o niego prosili. Zadzwonili do sklepu i poprosili. To mój ostatni kurs na dzisiaj.

Uczony opadł w głąb siedzenia.

— Możliwe, że przybyliśmy za późno — powiedział zmartwiony. — Może powinniśmy zapomnieć o wszystkim i odjechać.

— Dlaczego? — spytała Anna. — Co się stało?

— Nie rozumiecie? „Time” jest pełen wizerunków ludzkich twarzy. Teraz Czterdziestu Grabieżców Życia ma już wszystko, co niezbędne do uciezki. Zapewne już wydostał się na wolność. Ten dom kryje w swym wnętrzu najbardziej przerażającego i złowrogiego ducha, jakiego można sobie wyobrazić.

Jakby w odpowiedzi na słowa profesora Qualta, frontowe drzwi Winter Sails otwały się z trzaskiem i wypadła z nich Marjorie w długiej, czarnej sukni. Ze wzniesionymi w górę rękami pomknęła w poprzek głównego trawnika, a uciekała tak szybko, że patrząc na nią można było pomyśleć, iż jej ciało ulega raptownemu zmniejszeniu.

5

Obserwowaliśmy pędzącą przez trawnik Marjorie z przerażeniem ocierającym się o fascynację. Wymachiwała ramionami, jakby chciała odpędzić czy też uderzyć coś, co znajdowało się tuż za jej plecami, gdy tymczasem my nie mogliśmy niczego zauważyć. W pewnym momencie bryza dmuchnęła w naszym kierunku i wtedy usłyszeliśmy jej krzyk, cienki, utrzymany w najwyższej tonacji krzyk przerażonego człowieka.

Bez słowa dodałem gazu, zawróciłem w miejscu i wjechałem na trawnik. Samochód co chwila wpadał w poślizg, rzucało nami na wszystkie strony, toteż profesor Qualt i Anna musieli się mocno trzymać, by wyjść z tej jazdy bez szwanku. Wyprzedziłem Marjorie, skręciłem i zatrzymałem wóz. Nadbiegła ku nam i osunęła się wzdłuż boku samochodu, nadal szarpiąc i tłukąc swego niewidzialnego prześladowcę. Wskoczyliśmy z Qualtem na zewnątrz i uklękliśmy przy niej. Oczy uciekły jej w głąb czaszki, tak że można było dostrzec jedynie białka. Drżała na całym ciele, mamrocząc coś gorączkowo, a rozrzucone w trawie chude nogi w poprzekręczanych szarych pończochach wyglądały jak para połamanych patyków.

— Marjorie — powiedziałem łagodnie. — Marjorie, to ja, Harry.

Zdawała się mnie nie słyszeć. Jęczała i mruzczała coś do siebie, podczas gdy jej ramiona z coraz mniejszą siłą nadal okładały przerażające stworzenie, którego nie było. Co dziwniejsze jednak, w pewnej chwili

wydało mi się, że pochwyciłem suchy odgłos łopotu błoniastych skrzydeł. Podniosłem szybko głowę i rozejrzałem się dokoła, lecz nie dostrzegłem niczego niezwykłego. Ciemne niebo, gęstniejące plamy cienia i połyskujący dziwnie zarys Winter Sails.

— Marjorie — powtórzyłem. — Słyszysz mnie, Marjorie? To ja, Harry.

Tym razem także nie było odpowiedzi. Profesor Qualt za pomocą zegarka zbadął jej puls, po czym ostrożnie przyłożył dłoń do czoła mojej babki.

— Nic jej nie jest? — zapytałem. Uczony wykrzywił twarz.

— Żyje, jeśli o to panu chodzi. Ale sądzę, że powinniśmy wezwać lekarza.

— W domu jest telefon — przypomniałem. — Myślę, że najlepiej będzie wezwać doktora Jarvisa. Opiekował się Maxem i wie, co się tu dzieje.

— A gdzie się podziała panna Johnson? — zainteresowała się Anna.

— Kto to taki, ta panna Johnson? — zainteresował się Qualt.

— Dama do towarzystwa Marjorie — wyjaśniłem. — Była tu także. Mam nadzieję... Profesor popatrzył na mnie, więc zamilkłem nie kończąc zdania.

— Nie wyciągajmy przedwczesnych wniosków — powiedział. — Przede wszystkim musimy zapewnić opiekę tej kobiecie.

Ostrożnie podnieśliśmy Marjorie z ziemi i ułożyliśmy ją i na tylnym siedzeniu. Wskoczyłem do wozu, zawróciłem i powoli ruszyłem w stronę domu. Ze zdumieniem stwierdziłem, że drzwi, którymi zaledwie parę minut wcześniej wybiegła, były obecnie starannie zamknięte. Wsiadłem, przeszedłem żwirowy podjazd i nacisnąłem klamkę. Drzwi nie ustąpiły. Nacisnąłem dzwonek, a równocześnie zacząłem łomotać pięścią. Nie było żadnej odpowiedzi. Rozciągnięta z tyłu wozu Marjorie jęknęła głośno.

— Chyba najlepiej zrobimy, jeśli zawieziemy ją sami — zaproponowała Anna. — Chodź, Harry. Doktor Jarvi: mieszka niedaleko stąd. Jeśli nawet jest tam panna Johnson, to najwyraźniej nie zamierza nam otworzyć.

Zszedłem z ociąganiem z werandy i wróciłem do samochodu. Nie miałem najmniejszego pojęcia, co się dzieje, lecz szczerze mówiąc, coraz bardziej upewniałem się w przeświadczeniu, że nie zależy mi szczególnie, aby się dowiedzieć. Marjorie była chora i wobec tego musieliśmy się nią zająć. Trzasnąłem drzwiami, włączyłem reflektory i wjechałem w mrok.

W czasie tej krótkiej jazdy Marjorie spała lub była nieprzytomna, ale gdy dojeżdżaliśmy do eleganckiego domu doktora Jarvisa, zaczęła jęczeć i wykrzykiwać coś, wymachując przy tym rękami i nogami, jakby toczyła rozpaczliwą walkę. Od czasu do czasu otrzepywała rękawy z niewidzialnego brudu i nerwowo rzucała głową z boku na bok.

Doktor Jarvis wrócił właśnie z golfa. Cały w angielskich tweedach, z grzywą siwych włosów, emanował jak zwykle autorytetem i wdziękiem. Na widok Marjorie doznał widocznego szoku. Pomógł nam przenieść ją do domu i ułożyć na kanapie stojącej w obszernym, wyłożonym mahoniem gabinecie. Natychmiast też zabrał się z wielką wprawą za ocenę stanu pacjentki, po czym zaaplikował jej łagodny środek uspokajający.

— To może być opóźniony szok wywołany śmiercią Maxa — powiedział z namysłem, obserwując, jak Marjorie z wolna zapada w niespokojny sen. — Z drugiej strony dostrzegam jednak także symptomy histerycznego lęku.

— Cóż to oznacza? — zapytała Anna. Rozległ się kaszel profesora Qualta.

— To oznacza strach, Anno. Została ciężko przestraszona.

Doktor Jarvis przytaknął.

— Objawy wyraźnie to potwierdzają. Czy wiecie państwo, co mogło ją doprowadzić do takiego stanu?

Doktor Jarvis popatrzył na profesora Qualta, ten wymienił spojrzenie z Anną, a potem wszyscy zwrócili się w moją stronę.

— To wy jesteście specjalistami — odezwałem się. — Jeśli jednak chcecie znać moje zdanie, to uważam, że jak dotąd zbyt wiele mieliśmy do czynienia z przypuszczeniami i mitami, a za mało z konkretnymi faktami. Na przykład, jak wygląda sprawa panny Johnson?

— A o co chodzi? — zainteresował się doktor Jarvis.

— Więc tak: nie wiemy, kim ona naprawdę jest ani skąd się tutaj wzięła. Na podstawie posiadanych wiadomości nie możemy wykluczyć, że to właśnie ona kryje się za wszystkimi wydarzeniami. Może chodzi o ubezpieczenie lub spadek, a może robi to dla kawału. Może zdaje sobie sprawę z wartości Dzbana Dżinnów i zamierza wejść w jego posiadanie.

— To nie może być żart, Harry — wtrąciła Anna. — Dzban Dżinnów jest prawdziwy. Wiesz, że tak jest. Sam widziałeś postać w kapturze i razem ze mną słyszałeś muzykę.

— Nie twierdzę, że nie jest prawdziwy — podjąłem. — Ale nie chcę, abyśmy wpadli w ślepią panikę tylko dlatego, że nie rozumiemy, co się wokół nas dzieje.

Profesor Qualt wyciągnął fajkę i z namaszczaniem przystąpił do nabijania jej tytoniem.

— Myślę, że ma pan rację, panie Erskine — powiedział. — Równocześnie wiele przemawia za tym, że Dzban Dżinnów wywiera niekorzystny wpływ na pańską babkę i cały dom. Nie powiedziałbym, że dowody są niezbite, niemniej jest ich dość, aby utwierdzić mnie w przekonaniu o potrzebie daleko idącej ostrożności.

— To znaczy, co mamy robić? Jakie środki ostrożności można podjąć przeciwko duchowi w dzbanie?

Profesor Qualt przytknął płonąca zapałkę do tytoniu i zaczął głośno ssać cybuch.

— Istnieje wiele sposobów utrzymania dzinna w ryzach. Tak przynajmniej mówią legendy. Czy są to metody skuteczne, czy też mamy do czynienia tylko z fantastycznymi spekulacjami, tego nikt nie potrafi powiedzieć.

Wzruszyłem ramionami.

— Zawsze można wypróbować je na prawdziwym dżinnie — zauważyłem. — Tylko co się stanie, jeśli metoda zawiedzie?

Profesor wypuścił kłąb dymu.

— Jeżeli ten dzinn jest istotnie Czterdziestoma Rozbójnikami Ali Baby, to sądzę, że osoba, której nie uda się go pokonać, nie będzie miała czasu, aby odpowiedzieć na to pytanie.

— I na tym właśnie polega problem z wami, naukowcami — stwierdziłem. — Zawsze jesteście niepoprawnymi optymistami.

Rozmowa urwała się na chwilę i wszyscy skierowaliśmy zamyślane spojrzenia na uśpione ciało Marjorie. Pierwszy odezwał się doktor Jarvis.

— Niezależnie od tego, co się dzieje naprawdę, naszym obowiązkiem jest sprawdzić, czy nic złego nie spotkało panny Johnson. Czy moglibyście tam pojechać i zobaczyć, co się z nią dzieje?

— Właśnie przed chwilą jej szukaliśmy — odparła Anna. — Ale nie otworzyła nam drzwi.

— No cóż — rzekł lekarz. — To duży dom, przypuszczam, że po prostu was nie słyszała. Zapewne była gdzieś na górze.

— Tak — wtrąciłem. — Może i była. Ale jeśli tak, to chciałbym wiedzieć gdzie.

— Czy zechciałby pan nas zawieźć? — zwrócił się do mnie profesor Qualt. — Uważam, że rzeczywiście powinniśmy to sprawdzić.

Mieliśmy właśnie wyjść, gdy Marjorie ocknęła się z bezruchu. Jej usta poruszały się, a przez ręce przebiegało drżenie, przechodzące momentami w konwulsyjne skurcze. Doktor Jarvis natychmiast sprawdził tętno i oddech, a ponadto zbadał oczy, odsuwając kciukiem zamknięte powieki.

— Jak się czuje? — spytała Anna. Doktor Jands ściągnął brwi.

— Nadal pozostaje w szoku. To nic poważnego, ale trwa zbyt długo. Chyba będę musiał wezwać karetkę.

— Naprawdę pan musi? — wpadłem mu w słowo. — Jeśli zadzwonimy do szpitala, dowie się o tym także i policja. Pan wie, co myślała Marjorie o Maxie i jego śmierci. Będą zadawać mnóstwo pytań.

Doktor Jarvis nie wyglądał na przekonanego.

— Jeżeli życiu Marjorie zagraża jakiekolwiek niebezpieczeństwo, oni wręcz będą musieli zadawać pytania. Nie mam zamiaru utrzymywać tajemnicy, ryzykując życiem kobiety. Zwłaszcza tej kobiety. To moja stara przyjaciółka.

Nim jeszcze skończył mówić, Marjorie zadrżała na całym ciele i zaczęła coś szeptać. Lekarz pochylił się nad jej białą, udręczoną twarzą.

— Marjorie? Czy mnie słyszysz, Marjorie? Czy dobrze się czujesz?

Marjorie odpowiedziała, lecz doktor Jarvis najwyraźniej tego nie zrozumiał. Nachylił się jeszcze bardziej.

— Marjorie, czy nic ci nie jest? Jak się czujesz? Ponownie rozległ się jej szept i jeszcze raz doktor Jarvis wyprostował się z zafrasowaną miną.

— Wygląda na to — powiedział — że ona mówi w jakimś obcym języku.

— Może ja spróbuję? — zaoferowała swe usługi Anna. Zajęła miejsce lekarza przy chorej i zbliżyła ucho, na ile to tylko było możliwe, do warg starej kobiety.

— Marjorie? To ja, Anna. Czy zechcesz ze mną rozmawiać, Marjorie?

Niemal natychmiast Marjorie podjęła swój ochryply, głuchy szept. Wyczuwało się, że mówi spójnymi zdaniami, jednakże zupełnie nie potrafiłem rozpoznać języka, którym się posługiwała. Anna najwidoczniej nie miała takich problemów, kiedy tylko bowiem Marjorie zamilkła, zadała jej pytanie w tym samym języku.

— Co ona mówi? — zapytałem profesora Qualta. Qualt, który zdawał się rozumieć przynajmniej niektóre fragmenty rozmowy, przytknął palec do ust.

— Powiem za chwilę — rzucił cicho. — To jest bardzo ważne.

To było ważne i trwało bardzo długo. Anna i Marjorie szeptały ze sobą prawie dziesięć minut. Pod koniec zaczęły we mnie narastać zdenerwowanie i niecierpliwość. Sądząc z wyrazu twarzy profesora Qualta, Marjorie przekazywała wiadomości więcej niż alarmujące. Gryzł fajkę tak, jak wielki, kudłaty, czarny mastiff gryzie swoją smycz.

Wreszcie Marjorie ucichła. Jej głos coraz bardziej przechodził w bełkot, ustąpiły wstrząsające całym ciałem dreszcze i wkrótce zapadła w sen. Doktor Jarvis zbadał po raz kolejny puls.

— Wygląda na to, że poczuła się lepiej. Dobrze jej teraz zrobi parę godzin odpoczynku. Jeśli chcecie, zostawcie ją tutaj. Zapewniam was, że się nią zajmę.

Podziękowałem mu skinieniem głowy. Doktor otulił kocem drobne ciało śpiącej Marjorie, po czym przeprowadził nas w ciszy do salonu.

Prowadzące do ogrodu francuskie drzwi były otwarte, dzięki czemu do pokoju wpadały świeże podmuchy wiatru od morza. Gospodarz przysunął trzy niewielkie zabytkowe fotele i poprosił nas o zajęcie w nich miejsc. Sam podszedł do wykonanego z ciemnego dębu sekretarzyka, skąd wydobyl cztery szklanki.

— Po tym wszystkim — powiedział — dobrze nam zrobi coś na odwagę. Mam doskonałą szkocką. Brat przywiózł mi ją z urlopu.

Podczas gdy napełniał szklanki, my obejrzelismy pokój. Urządzono go tradycyjnie, lecz ze smakiem, korzystając z francuskiej tapety z motywami roślinnymi i dodając eleganckie, malutkie stoliki przyścienne oraz rzeźbione w drewnie obramowanie kominka. Na ścianach wisiało parę starych płócien, przedstawiających angielskie pejzaże, a także cała kolekcja osiemnastowiecznych miniatur. Bez wątplenia opłaca się być lekarzem domowym w najbogatszych rejonach Massachusetts.

Doktor Jarvis podał nam szkocką i sam również zagłębił się w fotelu. Popijaliśmy w milczeniu ostrą, tracącą słodem whisky, aż wreszcie Anna nie wytrzymała.

— Chcielibyście pewnie wiedzieć, co powiedziała Marjorie?

Zrozumiałem z tego co nieco — wtrącił profesor Qualt. — To był jakiś dialekt, prawda? Jeden ze starych perskich dialektów pogórza. Anna skinęła głową.

— Był to bardzo stary i niemal zapomniany język, którym posługiwała się odosobniona grupa mędrców, skazanych podobno na wygnanie w góry Persji. Znam go tylko dlatego, że kiedyś musiałam przetłumaczyć



kilka starych tekstów farmakologicznych sporządzonych najprawdopodobniej przez tę grupę. Opanowałam wówczas niektóre elementy ich gramatyki i składni.

Czy to możliwe, aby Marjorie знаła ten język? — spytałem zimno. — I to w stopniu umożliwiającym tak płynną wymowę?

Odpowiedź jest niemożliwa, dopóki twoja babka nie odzyska przytomności i nie wyjaśni nam tego sama — odparła Anna. — Mogła się go nauczyć, aby pomagać mężowi w pracy. Prawdę mówiąc, byłoby to jednak dziwne. Na całym świecie znajdziesz najwyżej dziesięć osób potrafiących tak dobrze rozmawiać. Ja sama rozumiem prawie wszystko, ale nie jestem w stanie złożyć więcej niż dwa, trzy zdania. Pociągnąłem mały łyk szkockiej.

— Marjorie powiedziała nam, że nie interesowała się zabytkami Maxa. A jeśli się nie interesowała, to po cóż miałyby zadawać sobie trud nauki dziwnego języka?

— Może wcale się nie uczyła — odezwał się profesor Qualt, krzyżując nogi w kraciastych spodniach. — Mogła mówić pod wpływem hipnozy lub specjalnej sugestii. Mówienie wieloma językami... Takie przypadki już się zdarzały.

— Istnieje teoria, że ludzie opanowani przez złe duchy posiadają zdolność posługiwania się wieloma językami — odezwał się cicho doktor Jarvis. — Jest to jeden z testów na stwierdzenie obecności demona.

Przypaliłem wyjętego z kieszeni na piersi papierosa.

— Uważam, że nie powinniśmy się zajmować wszystkim naraz. Przede wszystkim, Anno, powiedz, czego się od niej dowiedziałaś.

Anna odsunęła z twarzy pasmo ciemnych włosów. W świetle lamp salonu doktora Jarvisa wyglądała jeszcze piękniej niż zwykle, a w jej oczach wyjątkowo wyraziście rysował się ów lisi błysk. Zanim zaczęła mówić, zwilżyła językiem wargi, przez co nabrały delikatnego połysku.

— Trudno dokonać dokładnego przekładu całości — zaczęła. — Mędrzy posługujący się tym dialektem mieli zupełnie inne koncepcje życia niż ludzie współcześni i z tego powodu dla niektórych pojęć nie można znaleźć odpowiedników. Niemniej jednak, na podstawie tego, co zrozumiałam, mogę stwierdzić, że Marjorie opowiedziała mi pewną historię. Profesor Qualt zechce mnie poprawić, jeśli powiem coś nie tak.

Była to historia pięknej, młodej dziewczyny, ubóstwianej przez ojca. Miała ona zostać zaślubiona bogatemu młodzieńcowi i spędzić resztę swych dni w przepychu oraz nieustającej szczęśliwości. Pomimo to, że ślub został zaplanowany przez rodziców, młodzi zapałali ku sobie gorącą miłością i nie mogli się doczekać wystawnej ceremonii oraz poślubnej nocy.

Wieczorem poprzedzającego wesele dnia dom pięknej dziewczyny nawiedził potężny czarnoksiężnik przebrany za żebraka i uprowadził ją. Zamierzał podarować dziewczynę grupie dziwnych lub dzikich ludzi, nie jestem pewna znaczenia tego słowa.

— Fanatycznych ludzi — podpowiedział profesor Qualt. — To najbliższa prawdzie interpretacja. Słowo to często występuje w innych dialektach jako określenie maniaków religijnych.

— W każdym bądź razie dziewczyna miała przejść powolne tortury, by na koniec umrzeć. Porwanie odkryła jej brzydsza siostra i podążyła za czarownikiem aż do jego domu. Gdy dowiedziała się, jaki los czekał uprowadzoną, zdołała zawrzeć pakt z najpotężniejszym demonem czy też dzinnem czarnoksiężnika.

Umówili się, że jeżeli niedoszła panna młoda odzyska wolność, brzydsza siostra do końca życia pozostanie kochanką dżinna i nigdy nie poślubi żadnego mężczyzny. Czy pan też to tak przetłumaczył, panie profesorze?

Profesor Qualt skinął głową.

— Jak na razie bez zarzutu. Miałem kłopoty z następnym fragmentem.

— Ciężko go było zrozumieć. Został opowiedziany szczególnie trudnym językiem. O ile jednak się zorientowałam, brzydka siostra złożyła przyrzeczenie, iż pewnego dnia powróci z zaświatów, aby dopełnić zemsty na czarowniku i jego dżinnie za wyrządzone przez nich zło oraz za zdradę, jakiej się dopuścili. Chociaż bowiem oddała się dżinnowi i musiała odbyć stosunki płciowe z wieloma szkaradnymi istotami, w które się przepoczwarzał, to jej piękna siostra i tak została ofiarowana fanatykom, z rąk których spotkała ją przerażająca, powolna śmierć. Między innymi rozcięto jej brzuch i zaszyto w macicy dużego, żywego węża. O innych torturach i rytualnych obrzędach nawet nie wspomnę, gdyż były zbyt odrażające, żeby do nich wracać.

Anna skończyła i zapanowało milczenie. Przełknąłem dużą porcję szkockiej, skupiając się na palącym gardło, kojącym ogniu mocnego alkoholu. Doktor Jarvis, sztywny i milczący, wpatrywał się w mroczny trawnik, profesor Qualt zaś zgarbił się w fotelu, zamierając z twarzą ukrytą w dłoniach. Po dłuższej chwili uczony wyprostował się.

— Tak — powiedział. — Wiem, o czym teraz wszyscy myślicie. Zastanawiacie się, czy potraktować rzecz całą poważnie. Anna odstawiła swoją szklanekę.

— Nie rozumiem, jak można nie traktować tego poważnie. To, co Marjorie opowiedziała nam właśnie słowami starożytnego, dziwaczного języka, zgadza się z pańską wypowiedzią na temat sposobu, w jaki Ali Baba wszedł w posiadanie Czterdziestu Rozbójników. Ofiary z dziewcząt składane przez N'zwaa. Wszystko do siebie pasuje.

Qualt potarł w zamyśleniu podbródek, wpatrując się w Annę zbolalym wzrokiem Jamesa Masona.

— To prawda, Anno, to prawda. Ale przecież każdy, kto wie cokolwiek o starożytnej magii Środkowego Wschodu, będzie znał tę historię. W domu pańskiej babki, panie Erskine, muszą znajdować się książki na ten temat. A jeśli znała ona język, to równie dobrze mogła też znać legendy i mity w tym języku zapisane. Zdusiłem niedopałek papierosa.

— W pańskim doskonałym wyjaśnieniu, panie profesorze, dostrzegam jeden słaby punkt. Otóż Marjorie nie miała zdolności do języków, a ponadto zupełnie nie interesowały jej zabytki Środkowego Wschodu. Mówiła mi, że kiedy Max przysyłał ze swych podróży służbowych jakieś zbiory, nawet ich nie rozpakowywała. Czy nie jest to najlepszy dowód braku zainteresowania?

Doktor Jarvis obrócił się ku nam z rękami wciśniętymi w kieszenie eleganckiego, tweedowego ubrania.

— W takim razie — rzekł — skąd się u niej wzięła tak dobra znajomość starożytnego języka? Czy jest opętana? A może to hipnoza? Albo wszyscy mamy przywidzenia?

— Myślę, że to niemożliwe — zawyrokowała cicho Anna.

— Myślisz, że co jest niemożliwe? — spytał profesor Qualt.

— Myślę, że to niemożliwe, aby Marjorie Greaves знаła ten język. Przecież nie miałoby to najmniejszego sensu.

— Wiadomo, że dzięki pewnym metodom biznesmeni i politycy uczyli się rosyjskiego niemal w ciągu jednej nocy — nie dawał za wygraną profesor Qualt. Odniosłem wrażenie, że raczej sprawdzał siłę wiary Anny, niż krytykował jej stanowisko.

Anna pokręciła głową.

— Tego dialektu nie można opanować w taki sposób. To tak, jakby ktoś chciał się nauczyć kung-fu bez zgłębienia kultury orientalnej. Taki człowiek może opanować ruchy tego stylu walki, nie będzie jednak wiedział, czym jest kung-fu, dopóki nie osiągnie niezbędnego spokoju wewnętrznego i dyscypliny. A ani jednego, ani drugiego nie zdobywa się w ciągu jednej nocy, nawet jeśli jest się biznesmenem lub politykiem. Zwłaszcza jeśli jest się biznesmenem lub politykiem.

Profesor Qualt z aprobatą wypuścił kłąb dymu.

— A więc dobrze — ustąpił. — Jakie zatem pozostają nam możliwości?

Zapanowała cisza, którą przerwał doktor Jarvis.

— Jeżeli dobrze się orientuję, pozostały nam tylko dwie ewentualności. Albo pani Greaves została opętana przez demona przemawiającego jej ustami, albo ktoś ją zahipnotyzował i kazał wypowiedzieć słowa, których znaczenia nawet nie zna.

— Którą możliwość uważacie państwo za bardziej prawdopodobną? — ciągnął profesor Qualt. Zwracał się do nas niczym cierpliwy wykładowca uniwersytecki, usiłujący poddać swoim studentom jakąś konstruktywną myśl, nikt się jednak z tego powodu nie obraził. Dobrze było mieć pod ręką kogoś, kto mógł wzmocnić nasze zdolności analityczne. Moja logika owocowała najczęściej całą serią dziwacznych wniosków.

— Uważam, że raczej ją zahipnotyzowano — stwierdziłem. — Nie oznacza to, że nie wierzę w demony, lecz istnieje o wiele więcej udokumentowanych przypadków hipnozy niż opętania przez złe moce. Poza tym, na myśl o demonach dostają gęsiejsz skórki. Profesor Qualt uśmiechnął się.

— W porządku. Przyjmijmy, że została zahipnotyzowana. Kto to zrobił i dlaczego?

— Z tego, co mi wiadomo — odezwała się Anna — w Winter Sails było jeszcze dwoje ludzi. Panna Johnson i dziwna postać w kapturze.

— Postać w kapturze, o której nic nie wiemy — wtrącił profesor. — Wiemy natomiast co nieco o panie Johnson. Czy ktoś ma jakiś pomysł, dlaczego zahipnotyzowała panią Greaves, zakładając oczywiście, że była w stanie to zrobić?

Zastanawialiśmy się właśnie nad tym, gdy ktoś zapukał do drzwi. Doktor Jarvis powiedział „Proszę wejść” i zjawiła się w nich pani Jarvis. Była to niska, ubrana w kwiecistą sukienkę kobieta o jasnej twarzy, otoczonej aureolą białych włosów.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzam — rzuciła od progu — ale zacięły się drzwi.

— Jakie drzwi? — zapytał doktor Jarvis. — Czyżby znowu drzwi do piwnicy?

— Nie, kochanie, do twego gabinetu. Chciałam zmierzyć tętno i temperaturę Marjorie, ale nie mogłam tam wejść.

— Gabinet nie jest zamknięty — zdziwił się doktor Jarvis. — Nigdy nie zamykam go przed nocą.

— W takim razie chodź i sam zobacz — powiedziała pani Jands. — Próbowałam ciągnąć, pchać, wszystko na próżno.

Anna uśmiechnęła się lekko.

— Jesteś silnym mężczyzną, Harry. Może tobie się uda.

— Silny? — rzuciłem z powątpiewaniem. — W szkole wołali na mnie Pitek, ponieważ byłem podobny do przedpotopowego człowieka, jakiego można było oglądać na reklamach atlasu Charlesa. Kiedy zamierzam przedrzeć na pół książkę telefoniczną, muszę to robić strona po stronie.

Pomimo narzekania podążyłem korytarzem za panią Jarvis i wkrótce stanąłem przed białymi drzwiami gabinetu. Nacisnąłem klamkę i przyznałem rację pani domu. Drzwi były zamknięte. Naparłem na nie ramieniem. Nawet nie drgnęły. Trzymały tak mocno, jakby zamknięto je na oba zamki. Zagrzechotałem klamką i zawołałem:

— Marjorie! Jesteś tam?

Czekaliśmy przez chwilę, ale nie było odpowiedzi. Zawołałem jeszcze raz:

— Marjorie, czy to ty zamknęłaś drzwi? Zbudź się, Marjorie!

Cisza.

— Wszystkie okna są pozamykane — odezwała się pani Jarvis — więc tamtędy również pan nie wejdzie.

— Ale chyba można przez nie zajrzeć? Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Okna są do połowy zamalowane, żeby przechodnie nie zaglądali do środka.

— Czy ma pani klucz? Podała mi go na otwartej dłoni.

— Już próbowałam. Chyba popsuł się zamek. Włożyłem klucz w dziurkę i usiłowałem go przekręcić.

Jestem pewien, że gdy tak majstrowałem, usłyszałem dobiegające z gabinetu słabe dźwięki. Przystałem chrobiać kluczem i przyłożyłem ucho do drzwi, lecz niczego nie usłyszałem. Ponownie nacisnąłem klucz; dźwięki powtórzyły się. Był to miękki, łopoczący odgłos, przypominający trzepot suchych skrzydeł.

Wyteżyłem słuch, ale za drzwiami na powrót zapanowała niczym nie zmałowana cisza.

— Wygląda na to, że będziemy musieli wyważyć te drzwi — zwróciłem się do pani Jarvis. — Czy ma pani coś przeciwko temu?

— No cóż, jak trzeba, to trzeba. Gdzieś pod schodami powinien być łom.

Otworzyła mi schowek. Grzebiąc wśród starych nagród golfowych i połamanych rani obrazów, natrafiłem pod tylną ścianką na zardzewiały łom. Odkurzyłem go z grubszą i zabrałem ze sobą. Na wszelki wypadek jeszcze raz nacisnąłem klamkę, próbując użyć klucza. Niestety, bezskutecznie.

Wsunąłem łom w szczelinę pomiędzy drzwiami a ościeżnicą i pociągnąłem za drugi koniec. Stare, miękkie drewno ustępowało niemal bez oporu, toteż wkrótce drzwi zaczęły się poddawać. Nastąpił końcowy trzask, po którym droga do gabinetu stanęła przed nami otworem.

Omiotłem pokój szybkim spojrzeniem. W środku było ciemno, choć wychodząc zostawiliśmy zapalone światło. Marjorie leżała tak jak przedtem na kanapie. Widziałem jej stopy w pończochach, wystające spod koca. Włączyłem światło i podszedłem bliżej, chcąc sprawdzić, czy nic się jej nie stało.

— O Boże — powiedziałem. I było to wszystko, na co w tym momencie potrafiłem się zdobyć.

Marjorie nie żyła. Na jej ciele nie spostrzegłem żadnych widocznych śladów. Ręce miała mocno przyciśnięte do piersi, jakby usiłowała się przed czymś zasłonić. Szeroko otwarte oczy patrzyły nieruchomo, a usta wykrzywiały się w przerażającym, bezgłośnym krzyku.

Doktor Jarvis, słysząc trzask łamanego drewna, wszedł do gabinetu zaraz po mnie. Teraz miałem go u swego boku. Spojrzał ponad moim ramieniem na ciało Marjorie i natychmiast zaczął badać tętno oraz oddech, szukając jakichkolwiek oznak życia, jakiegokolwiek nadziei ratunku. Po trzech, może czterech minutach opuścił z powrotem wychudłą rękę na pierś Marjorie i wyprostował się powoli.

— Bardzo mi przykro — oznajmił ponuro. — Ona nie żyje.

— Czy wie pan, w jaki sposób zmarła? — spytałem. Czułem słabość i zbierało mi się na mdłości, przede wszystkim musiałem się jednak dowiedzieć.

Doktor Jarvis wyciągnął sztywne, białe prześcieradło, którym następnie przykrył ciało.

— Została wystraszona — odparł. — Wygląda na to, że coś ją przestraszyło na śmierć.

— Tutaj? Pan chyba żartuje. Lekarz odwrócił się ze złością.

— O tym, co się tutaj dzieje, wiem nie więcej od pana! — wykrzyknął. Był bardzo zdenerwowany. — Niech pan sam zobaczy! Są tu wszystkie objawy śmierci z powodu histerycznego spazmu! To się często zdarza! Nawet ludzie, których się wiesza, umierają niejednokrotnie ze strachu, zanim jeszcze ich kark zostanie złamany!

Podszedłem do okna i postukałem w ramę. Było zamknięte. Podobnie jak i okno po drugiej stronie pokoju. A więc tędy nie można było uciec.

Doktor Jarvis przysiadł nerwowo, przypatrując się prowadzonym przeze mnie oględzinom. Nic nie zostało stłuczone ani przesunięte. Nigdzie nie było widocznych śladów.

— Nie rozumiem tego — powiedział już spokojniejszym głosem. — Po prostu nie rozumiem.

— Czego pan nie rozumie?

— Panie Erskine, jeśli umiera pan ze strachu, to coś powinno pana przestraszyć. Co mogło przestraszyć Marjorie w tym pomieszczeniu?

Jeszcze raz rozejrzałem się dookoła. Właśnie nadeszli profesor Qualt i Anna. Stanąłem do nich plecami, podczas gdy doktor Jarvis powiedział im, co zaszło. Byłem zbyt wstrząśnięty, zbyt zdenerwowany, aby w tej chwili z kimkolwiek rozmawiać. Opowiadano mi o śmierci Maxa, na własne oczy widziałem przerażoną Marjorie. Kilka razy w życiu sam miałem niezłego stracha. Ale teraz zobaczyłem, co dziać potrafi naprawdę.

Byłem już pewien, absolutnie pewien, że cokolwiek kryło się w dzbanie, ponosiło bezpośrednią odpowiedzialność za wszystkie ostatnie zdarzenia. Musieliśmy jakoś dostać się do Winter Sails i pozbyć tego — bez względu na grożące niebezpieczeństwo. Nie chciałem śmierci panny Johnson czy Anny. Nie chciałem, by zginął profesor Qualt lub doktor Jarvis. A przede wszystkim nie chciałem umierać ja sam. W każdym razie nie w ten sposób. Nie z rozszerzonymi przez strach oczami i ustami otwartymi do krzyku, któremu obłądne przerażenie nie pozwoliło się nawet wydobyć.

— Co się stało? — zapytał profesor Qualt. — Czy coś pan zauważył?

Potrząsnąłem głową.

— Nie, ale jestem pewien, że coś słyszałem.

— Coś pan słyszał? — zdziwił się doktor Jarvis. — A co takiego?

— No cóż... — zacząłem powoli. — Zna pan to uczucie, gdy leży się nocą w łóżku, a do pokoju jakimś cudem wlatuje wielka ćma i zaczyna krążyć wokół lampy? Tłucze się o abażur, a my czekamy z lękiem, kiedy dotknie naszej twarzy. Właśnie coś takiego słyszałem. Tamto coś wydawało taki sam odgłos.

Doktor Jarvis podszedł do telefonu, zagryzając wargi, i podniósł słuchawkę.

— Co zamierza pan zrobić? — spytałem.

— Wezwę policję, a co pan myśli? Nie możemy dopuścić, aby tego typu historie się powtarzały.

— I naprawdę pan myśli, że policja nam uwierzy? A jeśli nawet przypadkiem tak się stanie, to sądzi pan, że zdoła cokolwiek zaradzić? Niech pan da spokój, doktorze, bądźmy rozsądni.

Doktor Jands wskazał na ciało Marjorie.

— Jeśli według pana śmierć tej kobiety miała cokolwiek wspólnego z rozsądkiem, to może pan sobie być tak rozsądnym, jak się panu podoba. Dla mnie jest to zjawisko ponadnaturalne. I dlatego właśnie chcę zawiadomić policję.

Podszedł do nas profesor Qualt i łagodnie wyjął słuchawkę z dłoni zdenerwowanego lekarza.

— Kogo chce pan wezwać? — zapytał głębokim, pewnym głosem. — Brygadę Antyduchową?

Dochodziła dziesiąta, gdy postanowiliśmy wrócić do Winter Sails. Na dworze było ciemno. Gęsty, welwetowy mrok spowijał nas ze wszystkich stron niczym wewnątrz futerału skrzypiec. Księżyc jeszcze nie wzeszedł i wokół panowała dziwna, dusząca cisza. W milczeniu wsiedliśmy do samochodu. Uruchomiłem silnik. Sącząca się z deski rozdzielczej zielona poświata nadawała naszym twarzom zdecydowanie niezdrowy wygląd.

— Myślicie, że zrobiliśmy dobrze zostawiając doktora Jarvisa samego? — zapytała Anna.

— Dlaczego nie? — powiedział profesor Qualt, wychylając się z tylnego siedzenia. — Jest wystarczająco dorosły, żeby potrafił się sam o siebie zatroszczyć.

— No tak — przyznała Anna. — Ale jeśli zadzwoni na policję?

Włączyłem reflektory, rozejrzałem się dokoła i zwołałem hamulec.

— Obiecał, że tego nie zrobi — przypomniałem. — A doktor Jarvis należy do tych staroświeckich dżentelmenów, którzy dotrzymują słowa. Nie przejmuj się.

Jechałem szybko rozświetlonym tunelem, który wycinały w miękkiej ciemności reflektory wozu. Przed nami przemykały ćmy i błyszczące chrząszcze. Z ulicy doktora Jarvisa wyjechałem na drogę główną i skierowałem się ku Winter Sails. Na szosie było pusto, nacisnąłem więc gaz, utrzymując na całej trasie prędkość w granicach sześćdziesięciu mil na godzinę.

Gdy dojeżdżaliśmy do Winter Sails, z morza wynurzył się właśnie sierp Księżycy. Srebrny blask zalał trawniki i szczyty dachów, nadając ścianom domu odcień zbielełych kości. Podjechałem przed główne wejście i zgasilem silnik.

Przez parę minut siedzieliśmy w milczeniu. Wokół domu panowała cisza, jeśli nie liczyć szelestu gładzonych morską bryzą traw i monotonnego skrzypienia blaszanej chorągiewki.

— Chyba w środku nikogo nie ma — rozległ się nieśmiały szept Anny.

— Mnie też tak się zdaje — poparł ją profesor Qualt. — A skoro tak, możemy przyjrzeć się dzbanowi bez zwracania czyjejkolwiek uwagi.

Przypaliłem papierosa wbudowaną w deskę rozdzielczą wozu zapalniczką.

— Chce się pan założyć? — zapytałem go. — Stawiam dziesięć do jednego, że w każdej plamie cienia wokół nas czai się zakapturzona postać.

Profesor Qualt zaśmiał się sztucznie.

— Gdybym nie wiedział, że wierzy pan w to wszystko na równi ze mną, zaproponowałbym, aby szedł pan pierwszy.

Po tej dyskusji wysiedliśmy z wozu i stąpając ostrożnie po zwirowej ścieżce dotarliśmy do samych drzwi. Zapukałem i przycisnąłem dzwonek, tak na wszelki wypadek, lecz po jakichś czterech minutach denerwującego oczekiwania doszliśmy do wniosku, że w domu nikogo nie ma, w każdym razie nikogo, kto zechciałby nam otworzyć.

— Czy może je pan wyważyć? — zapytał profesor Qualt. Pokazałem mu wzniesiony ku górze kciuk, podszedłem do skraju werandy i podniosłem kilof, który tam zostawiłem, gdy Marjorie kazała mi odejść. Cofnęliśmy się nieco. Wziąłem szeroki zamach.

— Rozbijanie drzwi to chyba twoja specjalność — zauważyła Anna, gdy ostrze kilofa zagłębiło się w ościeżnicy na wysokości zamka.

Tym razem natrafiłem jednak na znacznie większy opór niż przy wejściu do gabinetu doktora Jandsa. Od wewnątrz zaryglowano drzwi solidnie od góry i od dołu, tak że praktycznie musiałem porąbać na kawałki całe skrzydło.

— Mam nadzieję, że to jest usprawiedliwione — powiedział profesor Qualt z niepokojem w głosie. Uderzyłem jeszcze raz i drzwi poddały się ze skrzypieniem zawiasów. W środku powitał nas przesycony zapachem pleśni mrok. Było tak ciemno, że z trudem rozróżniałem czarno—biały wzór posadzki hallu. Profesor Qualt wysunął się do przodu i uważnie rozejrzał dokoła.

— Okay, myślę, że droga jest bezpieczna.

— Bezpieczna? — zwróciłem się do Anny, podczas gdy Qualt powoli wkraczał w stojącą za progiem ciemność. — O co chodzi?

— Przypuszczam, że szuka złych czarów i magicznych znaków — odparła dziewczyna. — Nigdy nie wiadomo, jakie pułapki i zasadzki mógł przygotować nieprzyjaciel.

Uczony znajdował się już w hallu, skąd przyzywał nas niecierpliwym ruchem dłoni.

— Pośpieszcie się. Nasza przewaga polega na zaskoczeniu. Przyjechaliśmy niespodziewanie, a nasze zamiary nie są jeszcze znane. Jeśli jest tu jakiś dzinn, zechce poznać cel naszej wizyty, zanim nas zaatakuje.

Dołączyłem do niego już u podstawy schodów. Wznosiły się ponuro na piętro i wyglądały równie zachęcająco, jak wlot do nawiedzonego szybu kopalni.

— Traktuje pan to bardzo poważnie — odezwałem się. — Czy jest pan pewien, że nie robimy z siebie głupców?

Profesor Qualt zakaszłał.

— Wyszedłbym raczej na głupca, gdybym skończył jak pański dziadek — odparł uprzejmie. — Problem polega na tym, że po prostu nie wiemy, z czym przyjdzie nam się spotkać, dlatego też wolę przedsięwziąć wszelkie możliwe środki ostrożności.

— Dobrze — zgodziłem się. — Wejźmy tam i przekonajmy się, co to takiego. Trzeba iść schodami na górę, przejść do końca korytarza i potem skręcić w lewo, do drzwi wieżyczki. Tam właśnie są pieczęcie i sztaba. Zabiorę kilof na wypadek, gdybyśmy nie mogli w inny sposób poradzić sobie z zamknięciem.

Profesor Qualt szedł pierwszy, a my podążaliśmy za nim po skrzypiących schodach, trzymając się mocno poręczy. Zaproponowałem, aby zapalić światło, Qualt jednak był zdania, że w ten sposób ułatwilibyśmy dzinnowi odkrycie tego, kim jesteśmy i po co przybywamy. A gdyby to nie był dzinn, tylko przeciwnik z krwi i kości, nasze pojawienie się w kompletnych ciemnościach również będzie miało zaskakujący efekt.

Dotarliśmy do podestu i wyęzając wzrok usiłowaliśmy dojrzeć cokolwiek w zalegającym duszny korytarz mroku. Ukośne promienie księżycowego blasku padały z otwartych drzwi gabinetu Maxa Greavesa oraz z umieszczonego w odległym końcu korytarza okna, wychodzącego na główny podjazd. To światło rozjarzało wszystko wokół niesamowitą, słabą poświatą.

— Jak dla mnie, zaczyna to wyglądać zbyt przerażająco — wyszeptała Anna. — Niech nikt nie wspomina o zakapturzonych postaciach, bo inaczej jestem gotowa zemdleć.

Trzymając się blisko siebie, posuwaliśmy się w głąb korytarza wolnymi, miękkimi ruchami. Stare deski podłogi skrzybiały w niektórych miejscach, z sufitu zaś ponad naszymi głowami dobiegały odgłosy gorączkowo przemykających szczurów, co z pewnością nie wpływało na poprawę naszego samopoczucia. Anna schwyciła mnie za rękę i nawet dzielny profesor Qualt zdawał się poruszać jakby z nieco mniejszym zapałem.

Nieoczekiwanie Anna przystanęła, a ponieważ trzymała mnie za rękę, musiałem uczynić to samo. Trąciłem profesora.



— Co jest? — zapytał. — Coś nie w porządku?

— Słuchajcie — szepnęła Anna. — Słuchajcie.

Wyteńczyłem słuch, ale przez moment nie mogłem niczego uchwycić. Później usłyszałem. Złożona z wysokich tonów, jękliwa muzyka, kojarząca się z ponurym zawodzeniem wiatru ponad szyjką dzbana lub jakimś niezwykłym instrumentem strunowym z zamierzchłej starożytności. Rozbrzmiewała bardzo blisko, zdawała się nas otaczać i słuchając jej, wszyscy poczuliśmy lodowate dotknięcie strachu.

Muzyka wpadała w wibrujący szczebiot utrzymany w dziwnej tonacji i płynęła, zdawać by się mogło, bez końca — monotonna, a jednak w jakiś sposób uporczywa, jak gdyby chciała rozbudować się do tempa, którego nigdy nie mogła osiągnąć.

— To dzban — powiedziała Anna głuchym, przestraszonym głosem. — To ten dzban.

Profesor Qualt nie odezwał się. Po prostu wziął nas oboje za ręce i poprowadził aż do środka pustego korytarza, poprzez ukośne pasma księżycowego światła, które niczym ulewa lodowatych igieł sączyło się z gabinetu Maxa. Zatrzymaliśmy się dopiero na rozwidleniu, gdzie nieco blasku padało z wychodzącego na podjazd okna. Z nie pozbawioną zdenerwowania fascynacją wpatrywaliśmy się w widoczne z tego miejsca, solidnie zapieczętowane i zaryglowane drzwi wieżyczki.

Nadal słyszeliśmy muzykę. Nie potrafiliśmy określić, czy dźwięk wydobywał się z jakiegoś instrumentu strunowego czy też było to utrzymane w równych rejestrach zawodzenie ludzkiego głosu.

Profesor Qualt podszedł do drzwi i zbadał z bliska woskowe pieczęcie. W tej samej chwili dźwięki zaczęły słabnąć i po paru minutach w korytarzu ponownie zaległa cisza. Zamarliśmy w bezruchu, ze słuchem wyczulonym na najstąbszy odgłos — zwłaszcza dobiegający z wnętrza wieżyczki. Czekaliśmy na opinię profesora.

— Nie ma żadnych wątpliwości — wyszeptał po chwili uczoney. — Umieszczone tu pieczęcie mają uwięzić potężnego dzinna. Wszystkie są niezmiernie rzadkie i mają starożytny rodowód, niektóre z nich są mi zupełnie nie znane. Na przykład tamta, z postaciami wyrzeźbionymi na planie trójkąta, została zakazana w krajach Środkowego Wschodu jeszcze w trzynastym wieku. Mamy tu do czynienia ze sztuką czarnoksiężką najwyższego lotu. Nie wolno nam się z tego śmiać, Harry. Nie w tej chwili.

Zakaszlałem w zmieszaniu.

— Wcale nie sugerowałem, że powinniśmy to wyśmiać — odparłem ochryple. — Ale co z tą muzyką? Słyszał ją pan teraz na własne uszy. Skąd ona pochodzi?

Profesor Qualt podrapał się po owłosionym karku.

— Myślicie, że wiem więcej niż wy? Któż wie, skąd ona pochodzi? W czarnej magii nikt nie zastanawia się, skąd przybywają różne rzeczy; mówi się tylko o tym, kiedy i jak. Więc, co wiąże się z prawdziwą sztuką magiczną Środkowego Wschodu, nie łączy się w najmniejszym stopniu ze słowem gdzie. Gdzie jest Bóg? Gdzie jest Niebo? Gdzie są anioły? To przyziemne pytania, pozbawione większego sensu.

— Więc uważa pan, że ta muzyka jest przejawem działania sił nadprzyrodzonych?

Profesor wzruszył ramionami.

— Szczerze mówiąc, nie wiem, co to jest. Słyszałem o dziwnych odgłosach albo muzyce, występujących w opowieściach o duchach związanych z kulturą Zachodu. Z czymś takim nigdy się nie zetknąłem. Odnajduję tu odległe podobieństwo do niektórych fragmentów rytualnej muzyki, jaką ludy północnej Sahary grały na cześć boga Pana.

— Czy sądzi pan, że ta muzyka jest magiczna? — zapytała Anna.

— Nie wiem. Z waszych słów wynika, że Max Greaves słyszał ją również i martwił się z tego powodu.

Zamilkliśmy nasłuchując, czy z wieżyczki nie popłyną dziwne odgłosy, dookoła jednak panowała cisza. Docierało do nas jedynie skrzywienie chorągiewki na dachu oraz nierówne podmuchy nocnego wiatru. Od czasu do czasu stary dom trzeszczał przeciągle, jakby poruszając się w swym nie kończącym się śnie, pełnym wspomnień o wszystkich tych ludziach, dziś już nieżywych, którzy przechodzili jego korytarzami.

— Więc tak — powiedziałem. — W środku jest dzban. Może lepiej będzie, jeśli wyważymy te drzwi i sprawdzimy, co się tam dzieje.

Uniosłem kilof i zacząłem zeskrobywać wosk jego ostrym końcem. Wylczyłem sobie, że cztery lub pięć silnych uderzeń w płycinę drzwi powinno utorować nam drogę, i to bez konieczności zrywania biegnącej środkiem sztaby oraz niszczenia unikalnych pieczęci.

Ująłem mocno kilof w obie dłonie i odchyliłem do tyłu, szykując się do pierwszego ciosu. Nagle uświadomiłem sobie, że tuż obok mnie znajduje się ktoś jeszcze. Nie profesor Qualt ani Anna. Właśnie ktoś jeszcze. Z nerwowym jękiem opuściłem kilof i spojrzałem za siebie. Za moimi plecami, w poruszającym się leniwie księżycowym blasku, ubrana w długą, bawełnianą togę rdzawej barwy, stała panna Johnson. Miała bladą, nieruchomą twarz i wyciągała rękę, jakby chciała mnie komuś wskazać lub przywołać do siebie.

— Panno Johnson? — warknąłem ze złością i zarazem ze strachem. — Panno Johnson, co się tutaj dzieje?

W milczeniu postąpiła krok do przodu, tak że księżycowe światło ześlizgnęło się z jej twarzy, oświetlając jedynie okulary, które zaczęły błyszczeć w mroku niczym para monet.

— Panie Erskine — usłyszałem jej szept. — Nie wolno panu dotykać tych drzwi.

— Panno Johnson — odparłem. — Nadszedł czas, żeby ktoś to zrobił. Czy wie pani, że pani Greaves nie żyje?

Nastąpiła dłuższa pauza, po której powiedziała:

— Domyślałam się tego. Bardzo mi przykro.

— Domyślała się pani? — włączył się do rozmowy profesor Qualt.

— Oczywiście — przytaknęła panna Johnson, kierując głowę w jego stronę. — Miała do czynienia z rzeczami, których nie pojmowała, więc musiało się to tak skończyć. — Zamilkła na chwilę, po czym dodała: — Pragnę was zapewnić, że nie mam nic wspólnego z jej śmiercią. Po prostu domyśliłam się, to wszystko. Nie wiedziałam, co on zamierza zrobić.

— On? — zapytałem. — Co za „on”?

Panna Johnson spuściła głowę, dwie błyszczące monety pogrążyły się w mroku.

— Myślę, że lepiej będzie porozmawiać o tym na dole — zaproponowała. — Dzban bardzo się niepokoi, gdy ktoś znajduje się tak blisko niego jak my teraz. Wiecie państwo, on zdaje sobie sprawę ze wszystkiego, co się tutaj dzieje. Ponadto jest nieobliczalny. Nigdy nie można dokładnie przewidzieć, jakie będzie jego następne posunięcie.

— Jeśli pani chce, będziemy rozmawiać na dole — powiedział profesor Qualt. — Uważam jednak, że pan Erskine zasługuje na wyjaśnienia. Nie co dzień traci się dziadków i zdobywa przyjaciół, prawda?

— Tak. Myślę, że tak — wyszeptała panna Johnson. Zawróciła na pięcie i ruszyła korytarzem, przy każdym kroku szeleszcząc ciągnącą się po sosnowej podłodze rdzawą togą. Gdy znaleźliśmy się w salonie, zabrała się do zapalania lamp naftowych i wkrótce zasiedliśmy twarzą w twarz w żółtym, migotliwym świetle siedmiu czy ośmiu kopających naftówek.

— Nie ma prądu? — zapytałem.

Panna Johnson skinęła głową.

— Jest, ale ja go nie lubię. Pan Max zawsze powtarzał, że energia elektryczna należy do diabła, a ja martwiłam się, gdyż nie chciałam mimowolnie dostarczać mu mocy.

— Czyli że osoba, o której pani mówi, ta sama, z którą przypuszczalnie kontaktował się Max Greaves, jest w pani przekonaniu diabłem?

Panna Johnson spuściła głowę.

— Wiem, że zabrzmiało to śmiesznie, ale wierzę, iż właśnie tak jest.

Następne pytanie zadał profesor Qualt.

— Czy pani, podobnie jak Max Greaves, wierzy, iż dzban jest siedliskiem ducha?

Panna Johnson z uwagą przypatrywała się swym dłoniom, próbując jednocześnie oderwać nadłamany kawałek paznokcia.

— Powiem nawet więcej, proszę pana — szepnęła. — Wiem, co kryje wewnątrz tego dzbana. Wiem też, co muszę zrobić i wolałabym, jeśli nie macie nic przeciwko temu, zrobić to sama.

— Co chce pani zrobić sama? — zaniepokoiła się Anna. — Panno Johnson, musi pani zrozumieć, że my wiemy o dzinnie i jesteśmy tu, aby pani pomóc.

Panna Johnson obdarzyła nas krzywym uśmiechem.

— Wiem, że wy wiecie. Inaczej nie przyszlibyście tutaj z kilofem i nie próbowali włamania. Obserwowałam was od chwili waszego przyjazdu.

— Dlaczego, u diabła, nie wpuściła nas pani w takim razie do środka? — rzuciłem ze złością. — Przez panią rozwalilem pierwszorzędne drzwi.

Pomimo moich nieprzyjemnych uwag panna Johnson pozostała chłodna, obojętna i pełna godności. Zacząłem sobie powoli uświadamiać, że za tymi okularami kryła się całkiem niebrzydka kobieta. Wygląd gosposi nadawały jej po prostu nieciekawe, stare stroje, brak makijażu, zaniedbane brwi i byle jakie obuwie.

— Panie Erskine — odparła. — Już panu mówiłam, że wiem, co znajduje się w dzbanie, oraz że znam metody postępowania w takiej sytuacji. Doskonale poradzę sobie sama. Obecność innych osób będzie mi tylko przeszkadzać.

— Proszę zatem działać — powiedziałem. — A co takiego musi pani zrobić?

W dalszym ciągu miała spuszczone oczy.

— Słyszeliście zapewne historię Ali Baby i Czterdziestu Rozbójników — zaczęła cicho. — Mam na myśli prawdziwą historię, a nie zlepek wymysłów z Tysiąca i Jednej Nocy. Może być wam również nieobca opowieść o młodej księżniczce, którą Ali Baba uprowadził, a następnie przekazał pewnemu plemieniu, otrzymując w zamian najgorszego ze wszystkich dzinnów.

— N'zwaa — wtrąciła miękko Anna.

— Właśnie. Tak więc wiem, że znacie się na tych sprawach, bo inaczej by was tutaj nie było. Dzbana Dżinnów boją się tylko ci, którzy poznali prawdziwe dzieje Ali Baby i Czterdziestu Rozbójników.

— Ale dlaczego pani tak bardzo się w to angażuje? — zapytałem. — Myślałem, że jest pani po prostu damą do towarzystwa Marjorie.

Panna Johnson skinęła głową.

— Oficjalnie jestem tylko damą do towarzystwa i nigdy nie chciałam być nikim więcej.

— A nieoficjalnie?

Popatrzyła na nas. Zdjęła okulary i w tym momencie moje podejrzenia znalazły potwierdzenie. Choć miała dziwny, właściwy krótkowidzom wyraz oczu, jak większość ludzi pozbawionych nagle swoich szkielec, to w istocie; rzeczy była interesującą dziewczyną.

— Nieoficjalnie jestem w prostej linii potomkiem owej perskiej dziewczyny, która dla ratowania życia siostry poświęciła swój honor i niewinność. Znać tę legendę, prawda? O tym, jak piękna siostra miała wyjść za mąż, a brzydsza do końca życia ofiarowała swe ciało dzinnowi? Otóż dziewczyna ta w wiele lat po tym, jak jej ładniejsza siostrę zamęczono na śmierć, urodziła dziewczynkę, która gdy dorosła, wyszła za mąż i tak, poprzez potomstwo płci żeńskiej, historia przechodziła z pokolenia na pokolenie, a każdemu dziecku wpajano jeden i ten sam cel.

— Cel? — zdziwił się profesor Qualt. — Jaki cel? Panna Johnson założyła z powrotem okulary.

— Polecono nam odnaleźć dzinna Ali Baby i niezależnie od tego, gdzie i kiedy do tego dojdzie, wyrzucić na nim zemstę.

— Czegoś tutaj nie rozumiem — odezwała się Anna. — Jak tego dokonano? W jaki sposób przekazywano tę historię przez setki pokoleń, aż do naszych czasów?

Panna Johnson lekko potrząsnęła głową. — Tą samą drogą, którą przekazywane są wszystkie opowieści i legendy: treść przestania matki wpajały swoim córkom. Moja babka, perska imigrantka, opowiedziała tę historię mojej matce, a ta z kolei zapoznała z nią mnie. Mówiła, że choćby nie wiadomo co się działo, muszę przekazać jej treść mojej córce lub też, gdybym takowej nie miała, najmłodszej krewnej. Jest to kobieca

zemsta. Tylko kobieca. Kobiety strzegły tej tajemnicy przez tysiąc lat, a czyniły to w sposób, jakiego mężczyźni nigdy nie pojmą. Zrobiłem grobową minę.

— Cieszę się, że nie rozgniewałem pani wielkiej babki sprzed stu pokoleń. Panna Johnson nawet się nie uśmiechnęła.

— Panie Erskine, jeśli rozważy pan, co tamta dziewczyna musiała przejść, co musiała poświęcić dla ratowania życia siostry, i to tylko po to, by w końcu dowiedzieć się o jej śmierci, wówczas może uświadomi pan sobie, że tysiąc lat to za mało, aby poniechać odwetu.

— Co ona musiała przejść? — odezwał się profesor Qualt. — Czy matka lub babka kiedykolwiek rozmawiała z panią na ten temat?

Dziewczyna popatrzyła w zamyśleniu. — Z tego, co przetrwało w legendach, proszę pana, wynika, że spotkało ją upokorzenie seksualne, okropniejsze od wszystkiego, czego do tej pory dokonały dżinny. Zło tego dżinna przekraczało granice wyobraźni. Zgodnie ze słowami mojej matki, brzydsza siostra doznała cierpień i upokorzeń o wiele straszniejszych od tych, jakie mógł jej zadać gwałcieł ludzkiego rodzaju.

— Rozumiem — rzuciła Anna.

— Nic pani nie rozumie — zaproponowała. — Nawet w połowie nie wyobraża sobie pani, co to znaczy żyć z powierzoną zemstą, która przez całe stulecia traktowana jest jako najświętszy obowiązek. Choć przez setki lat nikt dżinna nie widział ani o nim nie słyszał, kobiety z mojej rodziny nawet na chwilę nie zapomniały swojej obietnicy. I dlatego właśnie teraz muszę to zrobić sama.

— Skąd pani wiedziała, że dżinn tu jest? — zapytałem. — W jaki sposób udało się pani dostać pracę u Marjorie?

Panna Johnson wzruszyła ramionami.

— Po części był to przypadek, a po części celowe działanie. Wiedziała, że pan Greaves ma w swojej kolekcji Dżban Dżinnów. Jedną z najważniejszych informacji przekazywanych mi przez matkę był sposób na rozpoznanie dżinna. Powtarzała, że dżinn ukryty jest w dzbanie przyozdobionym błękitnymi kwiatami i końmi bez oczu.

— Konie Niepojętego Nazwaha — miękko wtrąciła Anna.

— Jakiś czas temu jeden z magazynów poświęconych urządzeniu mieszkań opublikował parę fotografii przedstawiających niektóre zabytki ze środkowowschodniej kolekcji Maxa Greavesa. Widać na nich było, w jaki sposób wyeksponował je w swoim domu w połączeniu z nowoczesnymi meblami. Trafiłam na te zdjęcia zupełnie przypadkowo. Możecie sobie państwo wyobrazić, co czułam, gdy dostrzegłam fotografię Dżbana Dżinnów. Byłam pewna, że to właśnie jego szukam. Fotografia była barwna i wyraźnie widziałam na niej błękitne płatki kwiatów oraz pozbawione oczu końskie głowy. Po tym artykule zaczęłam interesować się panem Greavesem. Dowiedziałam się, że jego żona poszukuje osoby do towarzystwa, poszłam więc do miejscowej agencji i podpisałam deklarację.

— Ale w dalszym ciągu — powiedziałem podejrzliwie — nie dawało to żadnej gwarancji, że Marjorie panią zatrudni.

Pomimo roztańczonego światła lamp naftowych widać było jej zakłopotanie.

— Zrobiłam coś, czego nie robiłam nigdy w życiu — wyznała. — Dałam w agencji małą łapówkę, więc mnie zarekomendowali.

Profesor Qualt parsknął śmiechem.

— Zawzięta z pani osoba, młoda damo. Czy Dzban Dżinnów naprawdę tak wiele dla pani znaczy?

Panna Johnson przez chwilę trwała w milczeniu, po czym odrzekła:

— Dzban Dżinnów jest dla mnie wszystkim, proszę pana. Nie jestem zbyt ładna i nigdy nie myślałam o małżeństwie. Nie sądzę, aby w przyszłości miało się coś zmienić. Przynajmniej jednego będę jednak mogła w życiu dokonać. Chodzi mi o dopełnienie, po ponad tysiącletnim wyczekiwaniu, uświęconego aktu sprawiedliwej zemsty. Gdyby wszystkie kobiety dochodziły w ten sposób sprawiedliwości za występki przeciw ich czci, zadane nam przez mężczyzn cierpienia zostałyby pomszczone tysiąckrotnie. Anna wyprostowała się w swym fotelu.

— Wszystko to bardzo ładnie, panno Johnson, ale co zamierza pani uczynić?

Zapytana zamrugła oczami.

— Co takiego? Nie rozumiem.

— No więc, jak zamierza pani dokonać tej zemsty? Co zrobi pani z dżinnem? Jak pani wie, to bardzo potężny duch. Z pewnością nie będzie to zabawa z dyniami w dniu Halloween. Panna Johnson skinęła głową.

— Wiem o tym, panno...

— Modena. Anna Modena.

— Wiem o tym, panno Modena. Jednakże spośród przekazanych mi przez matkę zaleceń znajduje się dokładny opis metody zniszczenia dżinna.

Ostatnia wypowiedź zrobiła na Qualcie duże wrażenie.

— No, nareszcie do czegoś doszliśmy — powiedział. — Czy zechciałaby nam pani pokrótce opowiedzieć, co należy zrobić, aby unieszkodliwić dżinna?

Panna Johnson zaczęła bawić się nerwowo guzikami swej rdzawej togi.

— Musicie państwo zrozumieć, iż tylko ja zdołam zniszczyć dżinna w taki sposób. Musi to zrobić ktoś, kto czuje do niego długotrwałą nienawiść lub urazę. Czary poskutkują tylko wtedy, gdy rzuci je osoba, której dżinn wyrządził wielką krzywdę.

— Więc uważa pani, że ja nie mógłbym tego zrobić, ponieważ dżinn nigdy nie wyrządził mi krzywdy? — zainteresował się profesor Qualt.

— Dokładnie tak. Zgodnie z tym, co mówiła mi matka, duchy Środkowego Wschodu były, podobnie jak antyczni bogowie Grecji i Rzymu, bardzo wyczulone na punkcie zemsty i sprawiedliwości. Życie za życie. Jeżeli szukasz zemsty za istotnie wyrządzone zło, sprzyjać będzie ci potęga bogów. Jeśli jednak wdajesz się w coś, do czego nie powinienesz się w ogóle mieszać, będziesz musiał ponieść konsekwencje swego postępowania.

Zapaliłem papierosa i z trzaskiem zamknąłem zapalniczkę.

— Czy to dyskretne ostrzeżenie? — zapytałem. Panna Johnson zwróciła się w moją stronę.

— Nie mam prawa ostrzegać kogokolwiek, panie Erskine. Chciałabym tylko, abyście pozwolili mi rozprawić się z dzinnem na mój sposób.

— Po tym co zrobił z Maxem i Marjorie? Czy jest pani przekonana, że sobie z nim poradzi?

— Tak, gdyż mam do wypełnienia świętą misję. Wszystko, co muszę zrobić, to pobłogosławić szablę, korzystając z błogosławieństw używanych przez stare religie. Potrzebne do tego słowa znajdę w zgromadzonych przez pana Greavesa księgach, a później tą właśnie szablą zetnę jedna po drugiej czterdzieści głów dzinna.

Zaciągnąłem się mocno dymem z papierosa.

— I to już wszystko, co musi pani zrobić? — zapytałem, nie wysilając się zbytnio, by ukryć sarkazm.

— To wszystko.

— Po prostu znajdzie pani jakąś starą szablę, pobłogosławi ją i zacznie rąbać?

Panna Johnson była najwyraźniej odporna na kpiny. Powiedziała spokojnie:

— Pan Greaves ma na górze szablę, która kiedyś należała do świętego męża z pustym Nefud. To właśnie z niej chcę skorzystać.

Profesor Qualt wstał z fotela i podszedł do kominka. W rozedrganym blasku wyglądał ponuro i potężnie. Skrzyżował swe umięśnione ramiona, po czym rzekł:

— Panno Johnson, jeśli chce pani odrąbywać dzinnowi głowy, to zakładam, iż zamierza go też pani wypuścić.

— Wypuścić? — rzuciła zdenerwowana.

— Właśnie. Z dzbana. Jak więc chce to pani przeprowadzić?

Była spięta, lecz nie zniechęcona. Musiałem jej to przyznać. Im dłużej mówiła o swojej świętej, a zarazem historycznej misji, tym bardziej gotów byłem jej uwierzyć, nawet pomimo tego, że nie zaliczam się do entuzjastów kobiet szukających po upływie tysiącleci pomsty za zniewagi swej czci. Moim zdaniem kobiety przysparzają mężczyznom tyle samo wstydu i upokorzenia, a nie znam faceta, który chowałby urazę przez stulecia. Może jej nieco wroga postawa wobec mężczyzn brała się z faktu, że nigdy żadnego nie miała.

— Rozbiję zamknięcie drzwi, a następnie za pomocą odpowiednich słów otworzę dzban — odpowiedziała cicho.

— A co się stanie, jeżeli dzinn dopadnie pani, zanim zdoła pani cokolwiek zrobić?

— Wiem, co robię — odparła uroczyście panna Johnson. Profesor wyglądał nie mniej uroczyście, gdy powiedział:

— Jestem pewien, że wie pani, co należy zrobić, lecz nie daje to odpowiedzi na moje pytanie. Jeśli bowiem uwolni pani dzinna, a następnie nie zdoła go zniszczyć, to Bóg jeden wie, jak wściekłe tornado

rozszałe się za pani sprawą. Oczywiście, zabije ono panią, i to w bardzo paskudny sposób. Nie bawi mnie specjalnie myśl, że współczesna kobieta zginie na jeden z czterdziestu starożytnych sposobów.

— Dam sobie z nim radę — obstawała przy swoim panna Johnson. — Wiem, że na pewno sobie z nim poradzę.

— A co z nocnym zegarem? — zapytała Anna. Zapadło milczenie.

— Wie pani o nim? — Anna nie dawała za wygraną. — Pani wie, co to jest, prawda? Wie pani też, do czego on służy. Panna Johnson skinęła głową.

— Tak. Wiem, do czego służy nocny zegar. Posługiwałam się nim.

Qualt rzucił ku mnie niespokojne spojrzenie, na co ja pytająco uniosłem brwi.

— Posługiwała się nim pani? — rzucił ochryple. — Dlaczego?

— Potrzebowałam pomocy i rady. Zegar miał mi tej pomocy dostarczyć.

— I cóż to była za pomoc? — wtrąciłem. — Mężczyźni w kapturach?

Panna Johnson zmarszczyła brwi.

— O co panu chodzi? — Jej pytanie zabrzmiało nieco zbyt gorączkowo.

— Niech pani nie udaje. Widziałem tego człowieka na własne oczy. Po raz pierwszy, gdy wraz z Marjorie wyszłyście w dniu pogrzebu na spacer. Za drugim razem stał za wami w drzwiach wejściowych.

— Nie wiem. Zupełnie nie wiem, o co panu chodzi. Oprócz mnie i pani Greaves nie było tu nikogo.

— Ja także go widziałam — poparła mnie Anna. — Wysoki, w długiej, przypominającej dzellabę todze z kapturem.

Panna Johnson potrząsnęła głową.

— Musiało się państwu wydawać. Może widzieliście jakiś cień. Gdy stałam w drzwiach, miałam ze sobą płaszcz kąpielowy. Może jego widok wywołał u państwa wrażenie...

— Panno Johnson — przerwałem jej łagodnie — nie sądzę, abyśmy się pomylili. Jeśli jest tu ktoś jeszcze, najlepiej pani zrobi mówiąc o tym.

Zapadła cisza.

— Nie ma tu nikogo — powiedziała panna Johnson po dłuższej chwili.

Profesor Qualt przypalał swoją fajkę. Pomiędzy jednym a drugim pyknięciem zadał kolejne pytanie.

— Czy wie pani, co złego działo się z panią Greaves? Znowu przeczący ruch głowy.

— Nie miałam pojęcia, że coś jest nie tak.

— Ale przecież sama pani mówiła, iż jej śmierć nie jest dla pani zaskoczeniem. Wspominała pani, że stykała się z rzeczami, o których nie miała pojęcia i dlatego umarła.



Było oczywiste, że panna Johnson coraz bardziej zaczynała nam nie dowierzać i jak najszybciej chciała zakończyć to przesłuchanie. Nas z kolei popychało do działania pragnienie poznania prawdy. Mam dosyć wyobraźni, by zaakceptować obecność złych duchów w starych dzbanach i działające nocą zegary słoneczne, lecz nawet moja wyobraźnia ma określone granice. A jedno z takich ograniczeń polega na tym, że wierzę własnym oczom i uszom. Panna Johnson poprawiła się w fotelu.

— Myślę, że do śmierci pani Greaves mógł przyczynić się dzinn — powiedziała bezbarwnym głosem. — Jego obecność czyniła życie w tym domu bardzo uciążliwym.

— Uciążliwym?! — krzyknąłem. — Moim zdaniem życie tutaj było cholernie ryzykowne!

— Pani Greaves przeżywała ogromny stres, zwłaszcza od czasu samobójstwa pana Maxa. Zamartwiała się tym dzbanem, gdyż jej świętej pamięci mąż zawsze ostrzegał, aby się do niego nie zbliżać. Dlatego właśnie chciała spalić cały dom.

— A pani się na to nie zgadzała? — wtrącił Qualt.

— Nie sądzę, żeby to było potrzebne. Jeśli pozwolicie mi iść na górę, tak jak zamierzałam to uczynić, wówczas otworzę dzban i pozbędę się dzinna raz na zawsze.

— Zamierzała pani zrobić to dzisiejszej nocy? — zapytała Anna.

— Tak. Prawdę powiedziawszy, to musi być dzisiejsza noc.

— Dlaczego?

Panna Johnson wstała z miejsca i przejechała dłońmi po todzie. Pomimo noszonych okularów w jej wyglądzie było coś, co przywodziło na myśl starożytne kapłanki lub mniszki z zakonów o pradawnych regułach.

— Dlatego, że akurat dzisiaj wpływ gwiazd osiągnie największą moc. Nocny zegar wzmacnia moje siły, a tej nocy zapewni mi ogromną potęgę. Dzisiaj pomszczę setki pokoleń skrzywdzonych kobiet.

Z oddali ponownie napłynęła jękliwa muzyka, przekradając się przez stare korytarze Winter Sails z ową nieskończoną, uporczywą, jeżącą włosy na głowie modulacją.

— To dzisiaj — powiedziała panna Johnson. — Nie wolno wam mnie powstrzymywać.

Podczas gdy panna Johnson wyszła do kuchni, aby przygotować gorącą kawę, profesor Qualt, Anna i ja odbyliśmy pośpieszną, szeptaną naradę. Profesor generalnie opowiadał się za tym, by pozwolić jej na rozprawę z dzinnem według własnych reguł. Według niego dziewczyna była świadoma podejmowanego ryzyka, a wiedziała dostatecznie dużo o czarach, żeby skutecznie ochronić się przed niebezpieczeństwem. Odmiennego zdania była Anna, która z uporem przekonywała, że powinniśmy sami otworzyć dzban.

— Pomijając wszystko inne — mówiła, a jej ciemne oczy połyskiwały w świetle lamp — dzban jest absolutnie bezcenny i należy do Irańczyków. Wystarczy, że panna Johnson stłucze wieko, a cały zabytek straci swój charakter.

— Anno, zależy mi na tym dzbanie tak samo jak i tobie — zaproponował uczony. — Nie sądzisz jednak, że powinniśmy ustalić pewne priorytety? Jeśli wewnątrz oszklonego sekretarzyka z czasów Ludwika XVI

znajduje się tykająca bomba, to czy zawahasz się przed stłuczeniem szyby, skoro tylko w ten sposób można wydobyć bombę?

— Nie ufam jej — powtórzyła Anna.

Zgasilem papierosa.

— To już jest bliższe prawdy — przyznałem.

— Posłuchajcie — zaczęła gorąco. — Nie daje mi spokoju ta dziwna sprawa z zakapturzoną postacią. Przecież ona właściwie jeszcze tego nie wyjaśniła.

— Powiedziała, że nie było tutaj nikogo więcej — zauważył Qualt.

— Tak, ale myśmy widzieli. Wiem, że tak było. I z pewnością nie był to spacerujący płaszcz kąpielowy.

Profesor rozparł się na podniszczonej kanapie.

— A co ty o tym sądzisz, Harry? Wzruszyłem ramionami.

— Myślę, że powinniśmy jej na to pozwolić. Mimo wszystko sprawia wrażenie osoby, która wie, o czym mówi. Martwi mnie tylko jedno: co się stanie, jeśli się jej nie uda? Nie wyobrażam sobie jednej śmierci, a czterdzieści to już zdecydowanie zbyt wiele.

— Są sposoby, które pozwolą nam się uchronić — wyjaśnił Qualt. — Wiecie, że w chrześcijaństwie dla odpędzenia szatana używano pentagramów. No więc, symbole i znaki o podobnym przeznaczeniu występują również w religiach Środkowego Wschodu. Najpewniejszą obronę zapewnia znak półksiężyca. Możemy narysować go wokół nas na podłodze. Pozwoli nam to uniknąć najgorszego. Popatrzyłem na niego.

— Tu nie chodzi tylko o najgorsze — powiedziałem. — Ja chcę uniknąć wszystkiego.

Dalszą wymianę zdań przerwała nam Anna.

— A ja nadal uważam, że nie powinniśmy do tego dopuścić. Nic o niej nie wiemy. Nie wiemy nawet, czy ta historia o zemście jest prawdziwa. Chcę, żebyście się nad tym zastanowili. Jak taka opowieść mogła w rzeczywistości przez wszystkie te tysiąclecia być przekazywana między kobietami? Czy znacie inne podobne przypadki? Panna Johnson ma w sobie coś, co każe mi myśleć, że ...no, nie wiem, nie powiem, że kłamie, ale na pewno nie mówi całej prawdy.

Bawiłem się w zadumie miedzianą zapalniczką, stojącą na stole obok kanapy.

— Co ona według ciebie ukrywa? — zapytałem. — I czy to jest istotne?

— Nie wiem, Harry — westchnęła Anna. — Po prostu czuję, że powinniśmy się tą sprawą zająć sami, bez udziału panny Johnson. Zbyt wiele rzeczy dotyczących jej osoby brzmi nieco fałszywie. Chociażby, dlaczego pozwoliła twojej babce wybiec stąd, jakby goniły ją wszystkie nietoperze piekieł, i nie zrobiła nic, żeby jej pomóc? A co robi z pomocą nocnego zegara? Skąd wie, jak się nim posługiwać? W jaki sposób i gdzie go zdobyła? Jak na mój gust, jest tu za dużo niewiadomych.

Wzrok profesora Qualta wędrował od Anny ku mnie i z powrotem.

— Myślę — rzekł w końcu uczony — że jedynym sposobem rozwiązania tego problemu będzie głosowanie.

Wszyscy, którzy uważają, że należy pozwolić pannie Johnson, aby załatwiła sprawę we własnym zakresie, zechcą podnieść rękę, W górę powędrowały dłonie profesora i moja.

— Kto jest przeciw?

— Przecież to czyste szaleństwo — rozległ się głos Anny. — To nie jest sprawa do głosowania. Mam do wykonania zadanie, a polega ono na zwróceniu Iranowi nietkniętego dzbana. Nie obchodzi mnie, czy będzie otwarty, a dzinn wypuszczony na wolność i zniszczony. Obchodzi mnie natomiast, kiedy byle jakiemu amatorowi pozwala się go dotykać, ryzykując zniszczenie jednego z najcenniejszych na świecie wyrobów sztuki garncarskiej starożytnego Iranu. Umieszczone na nim konie to jedyny zachowany do naszych czasów wizerunek rumaków Niepojętego Nazwaha. Jak można dopuścić, żeby ta stara panna o grubych paluchach brała w ręce tak bezcenny zabytek?

W tej samej chwili w pokoju zjawiała się panna Johnson z tacą zastawioną parującą kawą i placuszkami. Musiała słyszeć ostatnie słowa Anny, gdyż nalewając kawę miała ponurą, nieruchomą twarz.

— Przepraszam — powiedziała Anna. — Nie chciałam być nieuprzejma. Kiedy jednak widzę amatorów obmacujących rzadkie okazy starożytnej sztuki, czuję, że moje serce zaczyna pracować w tempie dwóch tysięcy uderzeń.

Profesor Qualt przyjął filiżankę z rąk panny Johnson i pokiwał głową.

— Wiem, co czujesz, Anno, ale jestem pewien, że panna Johnson zrobi wszystko, co w jej mocy, aby ocalić dzban. Czyż nie mam racji, panno Johnson?

Zapytana obrzuciła Annę lodowatym spojrzeniem.

— Jak zauważyła panna Modena, potrafiłam zachować swą niewinność, więc uratowanie starożytnego dzbana będzie dla mnie dziecinnie łatwe.

Skupiłem całą uwagę na mieszaniu kawy. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowałem, były dwie skaczące sobie do oczu kobiety. Postanowiłem doprowadzić do szybkiego kompromisu.

— Posłuchajcie — rzuciłem. — A gdybyśmy tak pozwolili pannie Johnson rozprawić się z dżinnem pod warunkiem, że jako obserwatorzy śledzić będziemy rozwój wypadków i wkroczymy do akcji, jeżeli zajdzie taka potrzeba?

— Propozycja wydaje mi się rozsądna — przyznał profesor Qualt.

Panna Johnson nie wyglądała na zachwyconą, ale szczerze mówiąc, nie miała wielkiego wyboru. Miałem do tego domu większe prawa niż ona, z czego musiała zdawać sobie sprawę. Ponadto, bardziej zależało jej na zniszczeniu dżinna, niż na dyskutowaniu protokołu, co mogło odwlec lub nawet zniweczyć jej ostateczny akt zemsty. Może nie jestem psychologiem, ale wiem, czego ludzie pragną. W przypadku panny Johnson chodziło o zemstę i o nic więcej. Przynajmniej wierzyłem, że tak jest,

— Dobrze — przystała panna Johnson. — Ale pod jednym warunkiem.

— Żadnych warunków — uciąłem krótko. — To jest umowa. Jeśli chce pani tu pozostać i stanąć twarzą w twarz ze swym odwiecznym wrogiem, musi to pani zrobić zgodnie z moimi życzeniami.

— Chciałam powiedzieć, że jeśli sytuacja wymknie mi się z rąk...

— Co ma pani na myśli?

— No cóż, przypuśćmy, że nie zdołam zniszczyć dżinna? Profesor Qualt roześmiał się.

— Jeżeli nie uda się to pani, to nie sądzę, aby ze swej pozycji mogła pani wówczas narzucać jakiegokolwiek warunki. Kiedy już do tego dojdzie, niech każdy ratuje się na własną rękę. Walki o przetrwanie nie można ująć w żadne przepisy.

Panna Johnson miała nieszczęśliwą minę.

— Nie. Sądzę, że nie — przytaknęła.

Piliśmy kawę w milczeniu. Nie pamiętam, czy była dobra, czy zła. Potrzebny był nam jakiś pretekst do ucieczki w głąb siebie i refleksji nad tym, co wkrótce miało się zdarzyć. Pociągając małe łyczki byłem pewien, że słyszę ową dziwną, monotonną muzykę dobiegającą z jakiegoś punktu pokoju. Za każdym razem jednak, gdy wyteżałem słuch, melodia cichła, by ostatecznie zniknąć.

Powiodłem wzrokiem dookoła. Naprzeciw siebie miałem Annę. Spięta i piękna, ubrana była gustownie i prowokująco zarazem w obcisłą kremową sukienkę z bawełny. Dalej siedział profesor Qualt, w koszuli w czerwono-zielone pasy i sfatygowanych spodniach khaki. Widziałem też pannę Johnson w prostej, pozbawionej wszelkich ozdób todze rdzawego koloru i okularach. Troje obcych, których losy nagle i nierozłącznie splotły się z moim oraz z przeznaczeniem Dzbana Dżinnów.

Dokończenie kawy zajęło nam pięć, może dziesięć minut, choć wydawało mi się, że trwa to z pół godziny. W końcu panna Johnson wstała od stołu.

— Dochodzi północ — powiedziała. — Wkrótce moc gwiazd będzie największa. Muszę wszystko przygotować. Szablę, modlitwy i magiczne zaklęcia. Zaczekajcie na mnie przez chwilę. Zaraz wracam.

Wyszła do hallu zamykając za sobą drzwi. Zapaliłem kolejnego papierosa i wydmuchnąłem dym w kierunku pokrytego starą sztukaterią sufitu. Patrzyłem, jak w rzucanym przez lampy świetle kłębi się i wznosi ku górze. Anna zamarła w pełnym napięcia bezruchu. Nawet nonszalancja profesora Qualta stała się bardziej sztuczna i wymuszona. Zewsząd dobiegało pośpieszne szuranie, jakby pod pokrywającą ściany boazerią przemykał wystraszony szczur. Słyszając ten odgłos nie mogłem pohamować drżenia.

Czekaliśmy w milczeniu przynajmniej dziesięć minut. Gdy minął jakiś kwadrans, profesor spojrzał na zegarek.

— Już wpół do pierwszej — oznajmił. — Ciekawe, co ją zatrzymało?

— Może doszła do wniosku, że powinna poprawić makijaż, zanim wypuści dżinna — zauważyła sarkastycznie Anna. — Któż to może wiedzieć. Jedno dobre posunięcie pociąga za sobą następne.

— O, cholera — rzucił uczoney z galanterią. — Harry, może byś się rozejrzał i sprawdził, czy nie ma jej gdzieś w pobliżu.

— O.K. — odparłem, kierując się ku drzwiom. Nacisnąłem klamkę; były zamknięte. Zacząłem szarpać, potem tłuc w nie pięścią, szybko jednak doszedłem do wniosku, że są porządnie zaryglowane i dodatkowo związane łańcuchem. Obróciłem się ku Qualtowi i Annie. W ich twarzach dostrzegłem zwątpienie oraz trwogę, takie same uczucia, jakie w tym momencie malowały się także na moim obliczu.

— Sprawdź drzwi do jadalni — podpowiedziała Anna.

Przeszedłem szybko w przeciwny koniec salonu. Te drzwi również zostały zaryglowane. Krótka inspekcja okien wykazała, że na wszystkich pozamykano na głucho okiennice. Znaleźliśmy się w pułapce i to dzięki starej jak świat sztuczce.

Nic nie mówiąc skupiliśmy się na środku pokoju. Słysząc było skrzypienie desek podłogi na górze, od czasu do czasu dolatywało nas skrobanie mysich pazurów. Wiatr bezustannie napierał na okna, powodując, że uderzały lekko w ościeżnice, jak gdyby ktoś niegłośnie, lecz uporczywie domagał się, aby wpuścić go do środka.

— Mój Boże — odezwała się Anna. — A jeśli ona uwolni dzinna, podczas gdy my będziemy tu nadal zamknięci?

Profesor Qualt pofatygował się do drzwi i zbadał je osobiście. Jak wszystkie drzwi w Winter Sails, również i te wykonano z mocnych, sezonowanych desek sosnowych. Uwzględniając ponadto stalowe zawiasy, do ich wyważenia potrzebne było ramię znacznie silniejsze od ramienia uczonego. — No więc — odezwał się wreszcie — co możemy zrobić?

— Nie sądzę, abyśmy mogli zrobić cokolwiek więcej niż wyważyć okno — odrzekłem. — Chce pan spróbować?

— Zaczekajmy — zaproponował Qualt. — Zobaczmy najpierw, co się wydarzy.

Anna była porządnie rozżłoszczona.

— Wydarzy! — parsknęła. — Wiemy doskonale, co się wydarzy! Ona wypuści dzinna z dzbana i jeśli nie zdoła go pokonać, zechce złagodzić jego gniew podsuwając mu nasze skromne osoby. Jak to się dzieje, że mężczyźni w ogóle nie mają intuicji, jeśli idzie o rozszyfrowanie kobiecej osobowości?

Zapaliłem papierosa.

— Uważasz, że złoży nas w ofierze?

Anna krążyła po pokoju krokiem wściekłej tygrysicy.

— O to jej właśnie chodzi. Mam tylko nadzieję, że wie, co robi, i modłę się, aby tak było. Modłę się także, aby to, co powiedziała, okazało się prawdą.

— Co masz na myśli? — zapytał Qualt.

— To jej gadanie o zniszczeniu dzinna i całą resztę. Według mnie, uraczyła nas kupą kłamstw. Co będzie, jeżeli zechce uwolnić dzinna, ponieważ wierzy, iż dzięki temu stanie się bogata, piękna lub sławna, o czym można przeczytać w bajkach?

Wróciłem na kanapę i spokojnie zaciągnąłem się dymem z papierosa.

— Co będzie, jeśli to wszystko nieprawda? Co będzie, jeśli w dzbanie nie ma dżinna, a nas zabrano na przejażdżkę?

— Och, daj spokój, Harry — wtrącił profesor Qualt. — Żarty żartami, tutaj jednak wydarzenia zaszły za daleko.

Popatrzyłem na niego ponuro.

— Chyba ma pan rację — przyznałem. — Jeśli to dowcip, to jaka jest jego pointa?

W trakcie tej rozmowy Anna zabrała się za porządki na półce z czasopismami. Najwięcej było na niej pożółkłych, starych gazet, poszatkowanych cenzorskimi nożyczkami Maxa Greavesa.

Wyszarpnęła jeden z dwóch upchniętych między nimi magazynów i wkrótce potem zawołała:

— Marny to!

Trzymała w ręku nowy egzemplarz „Time’a”, wyróżniający się całą okładką i nie powycinanymi fotografiami wewnątrz. Musiał to być ten sam numer, który chłopak przywiózł minionego popołudnia, i który sprawił, że spodziewaliśmy się szybkiego wyswobodzenia dżinna.

— Proszę go tu położyć — polecił uczony, a Anna posłusznie rozłożyła na stole pomięte czasopismo. Przeglądał szybko stronę po stronie, sprawdzając każdą fotografię. Szukał wyciętych twarzy i budzących wątpliwość luk. Zatrzymał się dopiero na rubryce zgonów.

— Jest! — rzucił z satysfakcją.

Jedna spośród wydrukowanych na tej stronie fotografii została starannie wycięta. Widniejący pod spodem napis głosił: „Max Greaves w dniach boomu naftowego”. Qualt w zamyśleniu zamknął magazyn i usiadł w fotelu.

— I co? — spytałem. — Co to wszystko znaczy? Qualt popatrzył w moim kierunku.

— Oznacza to po prostu, że panna Johnson wycięła z „Time’a” twarz Maxa Greavesa, aby ofiarować ją dżinnowi. Nadrzędna forma dżinna, gdy ten triumfująco zmartwychwstanie z dzbana, będzie miała postać Maxa Greavesa. Jego twarz raz zdołała się wymknąć z zasięgu złego ducha, lecz panna Johnson sprawiła, że tym razem nie będzie żadnych niespodzianek.

Słuchając go, uświadomiłem sobie, iż w pokoju zaległa nienaturalna cisza. Jedna z lamp zamigotała i zgasła. Zaraz potem ten sam los spotkał następną. Poderwaliśmy się na nogi i staliśmy w pełnym rozedrganych cieni, gęstniejącym mroku. Nim zdołaliśmy do niego przywyknąć, dokonana żywota ostatnia lampa i ze wszystkich stron otoczyły nas nieprzeniknione ciemności.

Anna po omacku złapała mnie za rękę. Rozległ się zaniepokojony głos Qualta:

— Czy mógłbyś zapalić zapalniczkę, Harry? — Chyba zostawiłem swoją na kominku. Harry, myślę, że coś tu jest.

Zaczęliśmy nadśłuchiwać z zapartym tchem. Początkowo niczego nie słyszałem, później jednak, poprzez szept wiatru i zwyczajne postękiwania Winter Sails, dotarł do mnie odgłos mający swoje źródło w tym pokoju. Coś czało się w mroku. Coś trzepoczącego błoniastymi skrzydłami...

Nacisnąłem mego Zippo i uniosłem płomyk wysoko w górę. W tej samej chwili usłyszeliśmy pośpieszny furkot, przypominający odgłos, z jakim nietoperz tłucze się o zastony w łazience. W zdenerwowaniu rozejrzałem się pośpiesznie do długim salonie, lecz choć trzymałem zapalniczkę najwyżej, jak tylko mogłem, nie zdołałem niczego dojrzeć pośród głębokich, ruszających się cieni. Zaraz potem zapalniczka zrobiła się gorąca, więc musiałem ją zgasić. Ponownie zapanowały ciemności, a ja zamarłem z ręką Anny w mojej dłoni czekając na najłżejszy szelest niezwykłych skrzydeł.

— Co to takiego? — wyszeptła Anna napiętym głosem.

— Pssst — syknął Qualt. — Nie mam pojęcia. Potężny džinn może stworzyć każdego potwora, jakiego tylko zapragnie.

— Czy to znaczy, że džinn jest już wolny? — spytałem niespokojnie. — Qualt, czy ona go wypuściła?

— Proszę, nie mówcie tak głośno! Przecież to coś czai się gdzieś w pobliżu! Nie, to jeszcze nie oznacza, że džinn odzyskał wolność. Mogło się tak stać, ale nie bardzo w to wierzę. Jest to zapewne stworzenie przywołane przez pannę Johnson za pomocą nocnego zegara. Właśnie coś takiego miała na myśli, gdy mówiła, że wezwała pomoc. Mamy tu do czynienia z potworem czy też duchem, który pomoże jej bez przeszkód uwolnić džinna Ali Baby. To taki pies strażniczy ze świata duchów. Znowu pochwyciłem mrozący krew w żyłach trzepot.

— Właśnie się piesek odezwał — szepnąłem. Czułem się tak, jakby serce owinięto mi elastycznym bandażem. Po twarzy ściekały mi krople zimnego potu. Anna zacisnęła palce na mojej dłoni z taką siłą, że paznokcie wbiły się głęboko w ciało.

— Tam! Jest koło kominka.

Jeszcze raz pstryknąłem zapalniczką. Teraz coś zauważyłem. Byłem pewien, że coś widziałem, jednak nie na tyle wyraźnie, by móc określić, co to jest. Najbardziej było to podobne do dziwnie zdeformowanego dziecka, przycupniętego pośród cieni przy kominku. Istota poruszyła się z suchym łopotem, a ja, nie mogąc znieść nerwowego napięcia, cisnąłem w nią trzymanym w ręku kawałkiem rozgrzanego metalu. Zapalniczka załomotała na podłodze, a zjawą roztopiła się w mroku.

— Uciekajcie! — krzyknął profesor Qualt. — Musimy się stad wydostać!

Runąłem poprzez ciemności, popychając nas w stronę okien. Wyrznąłem nogą w krzesło, czułem, jak idąca za mną Anna potyka się na wyplatany dywaniku, lecz nie zatrzymałem się, dopóki nie dobrnęliśmy do okna. Łopoczący dźwięk stał się bardziej gorączkowy, niemal czułem, jak coś drapie mi twarz i czepia się ubrania. Uderzyłem pięścią na oślep, nie natrafiając na żaden opór.

— Podeprzyj mnie! rozkazał Qualt.

Stałem tyłem do okna, a on wparł się mocno w moje plecy i uderzył nogą w szybę. Rozległ się brzęk lecących na wszystkie strony odłamków i po chwili rama była pusta. Teraz zaatakował seria potężnych

kopniaków okiennicę. Za czwartym czy piątym razem zamknięcie ustąpiło. Drewniane skrzydła odskoczyły na obie strony, a do pokoju wpadł szerokim strumieniem chłodny powiew od morza.

— Anno! — krzyknąłem ściskając ją za rękę. Wspięliśmy się na zasypany szkłem parapet i zeskoczyliśmy w ciemność. Wylądowaliśmy na miękkim, porośłym kępami trawy piasku, koziołkując kilkakrotnie, zanim wytraciliśmy pęd.

W oknie pojawił się krzyczący wniebogłoso Qualt. Zdawało mi się, że poprzez mrok dostrzegam tkwiący na jego ramionach jakiś blady kształt. Upadł ciężko, poturlał się w dół pochyłości, wreszcie znieruchomiał na wprost okien salonu. Poderwałem się na nogi i pobrnałem przez piasek w jego stronę.

— Qualt! — zawołałem. — Nic się panu nie stało?

— Jeszcze nie wiem — wysapał. Widziałem w świetle księżyca perlący się na jego czole pot. Usiadł z moją pomocą i natychmiast zaczął poruszać stopami, by sprawdzić, czy nie zwichnął sobie kostek.

— Chyba coś widziałam — odezwała się Anna. — Gdy skakał pan z okna, to coś siedziało na pańskim karku.

— Widziała pani — przytaknął Qualt. — Zobaczcie, co mnie uratowało. — Wskazał ręką na niebo. Rozejrzeliśmy się dookoła, lecz nie spostrzegliśmy niczego niezwykłego. Chmury, parę gwiazd, kilka majaczących w oddali drzew.

— Księżyc — wyjaśnił cicho profesor. — Dzisiaj ma kształt doskonałego półksiężyca, a półksiężyc to magiczny symbol odpędzający złe duchy. Atakujący mnie stwór zniknął, gdy tylko padło na niego światło księżyca.

Anna zadrżała.

— Chce pan powiedzieć, że gdyby księżyc miał dzisiaj inny kształt, to pan...

Qualt z trudem podniósł się z ziemi.

— Nie wiem. Nie wiem, co to było i mam nadzieję, że nigdy się nie dowiem. Miało pazury albo małe, ostre palce. Wpijało mi się w szyję tak mocno, że zaczynałem się dusić. Lepiej nie pytajcie. Mam dosyć duchów.

Wlekliśmy się piaskiem ku plaży. Z rozsrebrzonego blaskiem księżyca brzegu mieliśmy doskonały widok na zwróconą ku morzu ścianę Winter Sails i wyrastającą z niej gotycką wieżyczkę. Jej okna rysowały się w półmroku ciemnymi, nieprzejrzystymi kwadratami. Nieco dalej, w jednym z okien na piętrze, płonęło pomarańczowe światło. Prawdopodobnie tam właśnie panna Johnson wciąż jeszcze przygotowywała się do wielkiego aktu okultystycznej zemsty.

— Zapewne błogostawi szablę — powiedział uczony. — Znam staroperski ceremoniał błogostawieństwa. Jest to bardzo długa i skomplikowana operacja. Jeśli się pośpieszymy, zdążymy wrócić do domu, zanim wszystko się zacznie.

— Wrócić? — zapytałem z niesmakiem. — Ledwie zdołaliśmy się stamtąd wyrwać!

Anna ujęła mnie za rękę.



— Harry, musimy tam wejść. Nie możemy dopuścić, aby panna Johnson sama otworzyła dzban. Wydaje jej się, że wie, co robi, choć w rzeczywistości nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Proszę! Potrzebuję twojej pomocy.

Westchnąłem. Była bardzo piękna, a wiatr zalotnie rozwiewał jej czarne włosy. Oddychała głęboko, zmęczona ucieczką, z każdym oddechem jej pełne piersi unosiły się i opadały w wyraźnym rytmie, którego nie sposób było zignorować. Poza tym nie podobało mi się zamykanie nas w domu dziadków przez sfrustrowaną starą pannę o wystających zębach i czułem, jak narasta we mnie pragnienie odwetu. Nad naszymi głowami pojękiwała żałośnie blaszana chorągiewka na dachu wieżyczki, a wiatr wygrywał smętną melodię na potłuczonych dachówkach i pogiętych rynnach Winter Sails.

— W porządku — mruknąłem. — Chodźmy, jeśli musimy.

Przeszliśmy wzdłuż nadmorskiego skrzydła Winter Sails i wspięliśmy się na główny trawnik. Sucha trawa z szelestem ocierała się o nasze nogi, każdy zaś wywołany przez kreta czy mysz szmer jeżył włosy na głowie i przyśpieszał puls.

Na księżyc nasunęła się ławica ciemnych chmur. Okolica nabrała ponurego wyglądu, tylko dom emanował jasnością zbieleńskich kości. Jest to zjawisko typowe dla starych domów wystawionych na długotrwałe działanie słońca i morza. Posuwaliśmy się tak blisko ściany, że początkowo nie widzieliśmy trawnika z zegarem. Kiedy jednak podeszliśmy do stopni biegnących w dół, ku zwirowemu podjazdowi, profesor Qualt raptownie wychylił się do przodu i schwycił mnie za ramię.

— Patrz — wyszeptał. — Nocny zegar.

Obróciłem się w tamtą stronę i omal nie podskoczyłem z wrażenia. W smudze cienia pochylała się w skupieniu nad białą kamienną podstawą zegara wysoka postać w długiej todze z kapturem. Kaptur był tak obszerny, że nie mogłem pod nim dostrzec niczego oprócz ciemności.

— O mój Boże! — wyrwało się Annie. — On naprawdę istnieje. Jest tutaj. O mój Boże!

— Dlaczego on nic nie robi? — zapytałem szeptem Qualta. — Chyba nas nawet nie spostrzegł.

Qualt przez chwilę usiłował przeniknąć wzrokiem ciemności.

— Obsługuje nocny zegar — wyjaśnił. — Kiedy pracujesz z nocnym zegarem, zupełnie odrywasz się od ziemskich spraw. Wiesz, na czym polega zasada jego działania? W tym momencie wchłania energię gwiazd i całego świata pozazmysłowego, by skierować ją następnie ku wieżyczce. Dostarczy w ten sposób mocy niezbędnej do ożywienia dżinna Ali Baby.

— Zatem musimy go powstrzymać — powiedziałem bez namysłu. — Słaby dżinn nie może nam zaszkodzić, nie chciałbym natomiast stanąć twarzą w twarz z duchem w pełni sił.

Nie byłoby prawdą, gdybym powiedział, że się nie bałem. Czasami jednak warto przełamać mniejszy strach, aby w ten sposób zaoszczędzić sobie większego. Ruszyłem biegiem przez trawnik prosto ku zakapturzonej postaci. Sapiąc i prychając z wysiłku, błagałem Boga, żeby to, co zobaczę, nie było zbyt szkaradne, zbyt potężne, no i żeby nie zabiło mnie w trakcie biegu.

Najpierw tamten zdawał się mnie nie zauważać. Kiedy jednak w moje ślady poszedł Qualt, podniósł opatuloną głowę i obejrzał nas z czarnej głębi swego kaptura. Nie wiedzieć dlaczego — przypuszczam, że ze

strachu — zacząłem wrzeszczeć i machać rękami.

Jeszcze przez chwilę postać wahała się, po czym odplynęła w stronę drzew. W momencie, gdy obaj dotarliśmy do zegara, całkowicie wtopiła się w mrok.

Przez dłuższy czas staliśmy w bezruchu, usiłując złapać oddech. Jestem jasnowidzem, a nie mistrzem olimpijskim, toteż ten pięćdziesięciometrowy sprint mocno dał się we znaki moim płucom. Qualt wyglądał niewiele lepiej. Kaszłał, sapał i prawdopodobnie przeklinał dzień, w którym sięgnął po fajkę. Wkrótce dołączyła do nas zaniepokojona Anna. Nawet przyćmione światło księżyca nie mogło ukryć jej nadmiernej bladości.

— Czy widzieliście, co to było? Ciągłe sapiąc pokręciłem głową.

— Było za ciemno, a kaptur zupełnie zakrywał twarz.

— To moja wina — oznajmił profesor. — Gdybyś pobiegł sam, nasz nieznajomy zapewne spostrzegłby ciebie dopiero w ostatniej chwili.

Wykonałem parę głębokich wdechów.

— Niech się pan tym za bardzo nie martwi. Złapanie go było ostatnią rzeczą, o jakiej marzę.

Qualt podszedł do nocnego zegara i obejrzał go uważnie. Przywołał mnie ruchem ręki. Podszedłem. Obaj wpatrywaliśmy się w dziwny arabski zabytek, pokryty okultystycznymi cyframi oraz dziwaczными wizerunkami zwierząt i potworów o ludzkich twarzach. Wyżłobione w metalu linie świeciły fluorescencyjnym blaskiem, a gdy dotknąłem boku kamiennej płyty, wyczułem pod palcami ciepło.

— Przepływająca tędy energia duchowa jest ogromna — powiedział profesor. — Nigdy nie myślałem, że dane mi będzie zobaczyć, jak coś takiego pracuje. Cała moc zodiaku koncentruje się tutaj niczym w duchowym laserze. Można powiedzieć, że obok bomby atomowej jest to dzisiaj najpotężniejszy instrument na świecie.

Popatrzyłem na zegar ze wzmożoną uwagą.

— Czy to w dalszym ciągu działa? To znaczy, nadal pompuje w dżinna energię?

— Nie w tej chwili — odparł Qualt. — Do pracy pełną parą potrzebny jest operator — nasz przyjaciel w kapturze. Obecnie zegar chodzi na biegu jałowym, a nagromadzona energia ulega rozproszeniu.

— Czy potrafimy go wyłączyć? Może jakoś uszkodzić? Qualt popatrzył na Annę.

— Co o tym myślisz? — zapytał. — Z tego, co mi wiadomo o nocnych zegarach, powinniśmy zostawić go w spokoju.

Dziewczyna skinęła głową.

— Nie wolno nam niczego niszczyć, dopóki nie uzyskamy pewności, że nikt aktualnie nie podlega jego wpływom. Z jego energii może korzystać panna Johnson i prawdę powiedziawszy, tak chyba właśnie jest. Postać w kapturze, kimkolwiek by była, również może być z nim powiązana. Jeżeli w tym momencie zniszczymy nocny zegar, skazemy tych ludzi na los, którego nawet nie jesteśmy w stanie sobie wyobrazić.

— Zgadza się — przytaknął Qualt. — Najlepiej będzie, jeśli wejdziemy teraz do domu i powstrzymamy pannę Johnson, zanim otworzy dzban. Myślę, że na jakiś czas spłoszyliśmy tego osobnika w kapturze.

Chrząknąłem.

— Spłoszyliśmy? Pan chyba żartuje.

— Już dobrze — powiedział pojednawczo Qualt. — Nie sądzę, żebyśmy mieli czas na rozstrzygnięcie tej kwestii.

Ruszyliśmy szybkim krokiem w stronę domu. Przeszliśmy podjazd i znaleźliśmy się na werandzie. Przekrzywione drzwi w dalszym ciągu zwiślały z zawiasów, toteż bez przeszkód, aczkolwiek niezmiernie ostrożnie, wkroczyliśmy do wyłożonego czarno-białą terakotą hallu. Zarówno hali, jak i schody tonęły w gęstych ciemnościach, a w powietrzu unosił się dziwny, przypominający kadzidło lub woń palonych kwiatów zapach.

Qualt uniósł głowę i głośno wciągnął powietrze.

— To pachnie kadzidłem z maku — powiedział spokojnie. — Myślę, że panna Johnson wkrótce będzie gotowa do otwarcia dzbana.

— Kadzidło z maku?

— Tak jest — odparła Anna. — W ceremonii błogosławienia szabli ostatni akt usunięcia z ostrza zanieczyszczeń dokonuje się poprzez przesunięcie go nad dymem suszonych płatków maku zmieszanych z pastą z opium.

Popatrzyłem na rysujące się niewyraźnie schody.

— Dopóki panna Johnson nie zdecyduje się oczyścić swego miecza przez wbicie go we mnie, nic mnie to nie obchodzi.

Anna zadrżała.

— Nie mów takich rzeczy. I bez tego jestem dostatecznie wystraszona.

Pod przewodnictwem profesora Qualta przeszliśmy hallem do samych schodów. Bardzo słabo, jakby z oddali, docierała do nas monotonna, wywołująca dreszcze muzyka dżinna. Łagodne, chwilami wręcz pieszczotliwe tony mieszały się w niej z dzikim skomleniem. Ponieważ księżyc w dalszym ciągu przesłaniały chmury, na schodach panowały kompletne ciemności. Nie sposób było cokolwiek dostrzec, musieliśmy więc posuwać się po omacku. Kilkakrotnie potykaliśmy się o stare drewniane stopnie, a wówczas zamieraliśmy ze wstrzymanym oddechem, nasłuchując tupotu kroków lub przerażającego łopotu.

Kiedy wreszcie znaleźliśmy się na górze, przystanęliśmy u szczytu schodów na początku korytarza. Chmury musiały się rozproszyć, gdyż z otwartych po obu stronach drzwi padało na podłogę nieco zbłąkanych promieni księżycowego blasku. Cała nasza uwaga skupiona była na odległym rozgałęzieniu w kształcie litery T, skąd sączyło się rozchwiane pomarańczowe światło lampy naftowej. Panna Johnson stała już pod drzwiami wieżyczki i szykowała się do ich otwarcia.

— Szybko! — rzucił profesor Qualt. Trzymając się blisko siebie, stawiając jak najcichsze kroki, pośpieszyliśmy do końca korytarza i ostrożnie zajrzeliśmy w jego lewą odnogę.

Przy drzwiach więzących dżinna tkwiła panna Johnson w długich, rdzawych szatach, uzupełnionych obecnie podobnym do srebrzystej peruki nakryciem głowy. W jednej ręce ścisnęła długą lśniącą szablę o klindze pokrytej gęsto wygrawerowanymi napisami i motywami roślinnymi. W drugiej miała niewielką, miedzianą kadzielnicę zmatowiałą ze starości. Unosiły się z niej kłęby wonnego, błękitnego dymu.

— Czy to ty? — zapytała bezbarwnym głosem.

Quall zmarszczył brwi i popatrzył na nas z wahaniem, po czym rzekł:

— Tak, to ja.

Panna Johnson nawet nie odwróciła się, by sprawdzić, kto do niej podszedł. Zachowywała się jak osoba pogrążona w transie, w głębokim hipnotycznym transie i brała nas za kogoś innego. Może spodziewała się przybycia swego zakapturzonego przyjaciela. W każdym razie nadal wymachiwała kadzielnicą i kreśliła w powietrzu skomplikowane wzory swym błyszczącym mieczem.

Nachyliłem się do owłosionego ucha profesora.

— Co teraz zrobimy? — wyszeptałem. — Rzucimy się na nią?

— Nie ma takiej potrzeby — nadeszła cicha odpowiedź. — Ona wie, co robi. Powinniśmy się tylko upewnić, czy wszystko przebiega prawidłowo. Gdyby nie udało jej się zniszczyć dżinna, może my zdołamy dokończyć dzieła.

— Nie sądzę, abym miał jakieś szansę. Byłem tylko na trzech lekcjach ju-jitsu.

— Ju-jitsu nie pomoże ci w walce z dżinnem Ali Baby, Harry — odezwała się Anna. — Patrzcie, co ona robi!

Panna Johnson drżała na całym ciele. Zaczęła kiwać się w przód i w tył, rzucając przy tym na wszystkie strony głową. Z kąta, w którym byliśmy stłoczeni, widzieliśmy wywieszony język i połyskujące białka wyrwanych oczu. Jej twarz była niemal niebieska od oparów opium, a po brodzie ściekały strzępki piany. Cięła powietrze szablą tak gwałtownie, że z niepokojem pomyślałem, czy przypadkiem nie zrobi sobie krzywdy. Taką bronią można przecież przeciąć unoszący się w powietrzu pojedynczy włos.

Zaintonowała jakąś kwilącą pieśń, przytupując sobie do taktu bosymi stopami. Kilkakrotnie uchwyciłem imię Nazwaha, choć reszta zaśpiewu była dla mnie zupełnie niezrozumiała. Zaraz potem powiodła palcem po wszystkich odcisniętych w brązowym wosku pieczęciach, strzegących uwięzionego w wieżycze dżinna.

Stało się wówczas coś niezwykłego. Gdy tylko jej palec zetknął się z powierzchnią drzwi, wosk zaczął się topić i spływać w dół długimi brązowymi soplami. Odcisnięte na pieczęciach święte symbole rozpuściły się w bezkształtną masę. Jeden po drugim potężne zaklęcia i magiczne rysunki uniemożliwiające dżinnowi opuszczenie gotyckiej wieżyczki przestawały istnieć. Na ten widok zrobiło mi się nieswojo i coraz częściej oglądałem się za siebie, by sprawdzić, czy korytarz jest pusty. Skoro panna Johnson kogoś oczekiwała, nie chciałbym go mieć za plecami w momencie uwolnienia dżinna ze starożytnego więzienia.

Panna Johnson dygotała teraz niczym miotająca się latem na werandzie komarnica. W korytarzu było niebiesko od dobywającego się z kadzielnicy dymu, a błyskawica szabli kreśliła coraz dziksze wzory. Zniknął cały uszczelniający drzwi wieżyczki wosk i wszystkie pieczęcie. Od dżinna oddzielała ją już tylko gruba metalowa sztaba.

— Jak ona ją otworzy? — szepnąłem. — Jak to zrobi? Stojąca przy mnie Anna przyłożyła palec do ust.

— Pssst!

Panna Johnson recytowała właśnie długie i nudne arabskie zaklęcie. Jej głos przechodził w zduszony, gardłowy pomruk, a ciałem wstrząsały silne dreszcze. Gdy skończyła, dotknęła ostrzem szabli środka sztaby i jeszcze raz wezwała Niepojętego Nazwaha.

Mocna, żelazna belka pękła. Przysięgam, że tak było: widziałem to na własne oczy. Panna Johnson wymówiła imię Nazwaha i sztaba przetamała się w połowie niczym karmelkowa pałeczka. Jej kawałki z ciężkim łoskotem spadły na podłogę, otwierając drogę do wnętrza wieżyczki.

— No tak — powiedział profesor, wypuszczając powietrze — proszę bardzo.

Panna Johnson postąpiła krok do przodu i nacisnęła klamkę. Musiała naprzeć całym ciałem, lecz w końcu solidne drzwi ustąpiły z głośnym piskiem. Usiłowałem zobaczyć, co znajduje się w środku, jednak kłębiący się dym mocno ograniczał widoczność.

Z. wysoko uniesioną głową, miarowym krokiem, panna Johnson weszła do wieżyczki. Przez krótki moment w padającym z trzech stron księżycowym blasku spostrzegłem wysoki, gładki kształt Dzbana Dżinnów z widocznymi po bokach błękitnymi kwiatami i bezokimi końmi. Wydał mi się o wiele większy od tego, który zapamiętałem z lat chłopięcych. Zimny, lśniący kawał porcelany; cichy i złowieszczy. W chwilę później drzwi zamknęły się za panną Johnson i niczego już nie widziałem.

— Co teraz zrobimy? — zapytała Anna przejętym szeptem.

Profesor Qualt ostrożnie podszedł do drzwi i przyłożył do nich ucho.

— Chyba poczekamy — odparł. — Jeśli otworzymy teraz drzwi i wpadniemy do środka, możemy wszystko popsuć. Panna Johnson zdaje się panować nad sytuacją.

Omiotłem wzrokiem korytarz za nimi.

— Mam nadzieję, że nie potrwa to zbyt długo. Nerwy mam napięte do granic wytrzymałości.

Qualt obrzucił mnie poważnym spojrzeniem.

— Słyszysz, już zaczęła śpiewać. Teraz wszystko pójdzie szybko. Najpóźniej w pięć minut džinn będzie wolny.

— O Boże! — westchnęła miękko Anna. Początkowo z miejsca, w którym stałem, nie mogłem niczego usłyszeć. Po chwili spoza zamkniętych drzwi do moich uszu dotarły zawodzące dźwięki arabskiej muzyki i towarzyszący jej piskliwy głos. Najbardziej przypominało to płynące z meczetu, skierowane do wiernych wezwanie muezzina. Słuchając tej przepętnionej bólem, natchnionej inwokacji wyobrażałem sobie tłumy śpieszących ku nam widm, duchów i nocnych demonów. Moja świadomość wychwyciła jeszcze jeden sygnał: miękki, pulsujący rytm, przenikający wibracją stare ściany i podłogę Winter Sails, rytm raczej wyczuwalny, niż dający się usłyszeć.

Muzyka stawała się coraz bardziej gorączkowa, a na jej tle można było wyróżnić dwa, może trzy śpiewające głosy. Rozpoznawałem wzniesiony do najwyższych rejestrów krzyk panny Johnson,

niezmordowanie recytującej coraz to nowe zaklęcia. Po jednym z nich ze szczeliny pod drzwiami zaczęło przeświecać niespokojne światło.

Byłem tak pochłonięty rozgrywającym się w wieżycze dramatem, że zapomniałem zupełnie o sprawdzaniu korytarza. Śpiewne okrzyki zdawały się nie mieć końca, pulsowanie nabierało coraz większej szybkości, a dobywający się spod drzwi niezwykle blask przykuwał moją uwagę z hipnotyczną wręcz siłą. Nie wiedziałem, jak taki dzinn mógł wyglądać ani co mógł zrobić, niemniej jednak paniczny strach i niepokój okazywane przez Annę, profesora Qualta oraz Maxa Greavesa starczały, by wzbudzić we mnie głębokie przekonanie o konieczności zniszczenia tego przejawu sił piekielnych bez względu na okoliczności.

W pewnym momencie muzyka jakby nieco przycichła. Rytmiczna pulsacja trwała nadal, natomiast panna Johnson musiała ukończyć pierwszą część swej długiej pieśni. Z wnętrza wieżyczki dolatywał teraz jedynie gorączkowy, wywołujący gęsią skórkę szept.

Odwróciłem się, by popatrzeć w głąb korytarza i poczułem wszechogarniający chłód. Mniej więcej w połowie jego długości znajdowała się sunąca powoli w moim kierunku zakapturzona postać. Jej kształty rysowały się niewyraźnie w rozmytej księżycowej poświacie, a twarz niknęła w atramentowych ciemnościach.

— Profesorze — rzuciłem cicho. — On tu jest.

Qualt oderwał się od drzwi i obejrzał za siebie. Zwilżył językiem wyschnięte nagle wargi. Słyszałem, jak przełyka ślinę. Istota w kapturze znieruchomiła na środku korytarza, cicha i groźna, ponury fantom zrodzony z nocnych ciemności.

Uczony odezwał się napiętym głosem.

— Kim jesteś? Czego chcesz?

Tajemnicza postać nie odpowiedziała. Trwała bez ruchu w srebrzystej smudze księżycowego blasku, pozbawiona twarzy i spokojna. Można było odnieść wrażenie, że to tylko toga z kapturem żegluj korytarzami Winter Sails pod wpływem czyjejś woli.

Profesor Qualt postąpił krok w jej kierunku, lecz postać nie zareagowała.

— Profesorze — wyszeptała Anna. — Na litość boską, niech pan pamięta o tym, co zdarzyło się w salonie.

Qualt bez słowa zrobił następny krok. Przybysz tkwił w miejscu. Lekkie wypukłości togi znaczyły położenie ukrytych pod nią stóp, kaptur zaś zdawał się lekko drżeć.

Qualt posuwał się do przodu krok po kroku, aż stanął zaledwie o kilka stóp od zjawy.

— Czego chcesz? — zapytał ochryple.

Postać zaczęła zawracać w miejscu, kiedy jednak profesor powiedział: — Wiem, kim jesteś — zawahała się i ponownie znieruchomiła.

— Dzban jest już niemal otwarty — ciągnął uczony. — Nie możesz opuścić tego momentu, prawda?

Postać nie odpowiedziała. Qualt zrobił ostatni krok i z bliska, niemal dotykając szat nieznajomego, spojrzął w zalegający pod kapturem cień.

Dopiero wówczas postać przemówiła chrapliwym, zbolalym, niezmiernie słabym głosem. Głos dobywał się niczym z grobu, a jego ton świadczył o tym, że mówiący przeszedł więcej cierpień i nieszczęść, niż jest w stanie wytrzymać normalny człowiek. Padające słowa były dziwnie zniekształcone, jakby poszarpane przez niewidzialny wiatr.

— Wiesz? — zapytał po prostu. — No cóż, skoro wiesz, to musisz także wiedzieć, co to dla mnie znaczy.

— Chcesz, żebym cię przepuścił? — rzekł profesor Qualt. — Czy o to prosisz?

— Muszę przejść — rozległ się głos spod kaptura. — Jeżeli tam nie wejdę, będę przeklęty na wieki.

— Nie wpuszczę cię — odparł uczoney. — Wiesz równie dobrze jak ja, jak niewłaściwe jest to, co robisz.

Postać w kapturze spuściła głowę.

— Kim jesteś, że chcesz mnie pouczać? Skąd wiesz, co jest dobre, a co złe? Co możesz wiedzieć o pradawnym złu i mocy, jaką roztacza na tych wszystkich, którzy zostali przytłoczeni jego bezdennym smutkiem? Czy ty w ogóle coś wiesz?

Profesor Qualt nawet nie drgnął.

— Może i nie wiem za wiele — powiedział spokojnie — ale wiem, kim jesteś i co chcesz zrobić.

Tajemnicza postać zamilkła. Od strony wieżyczki dobiegały coraz wyraźniejsze odgłosy budzącego się do życia dżinna. Przebijający się przez grube sosnowe drzwi głos panny Johnson, a także inne dziwne dźwięki, powracały echem z głębi korytarza.

— Słyszysz? — zapytał profesor. — Za kilka minut dżinn będzie wolny. Ona nawet nie zdaje sobie sprawy, że ciebie tam nie ma. Nie ma pojęcia, że sprawy przybierają katastrofalny obrót.

— Co mam zrobić? — padło niewyraźne pytanie. Profesor Qualt obrócił się i wskazał na drzwi wieżyczki.

— Chcę, żebyś zrobił to, co należało zrobić już dawno temu. Chcę, żebyś przepędził tego dżinna. Chcę, żebyś zamknął go na całą wieczność i ukrył w miejscu, skąd nie będzie mógł szkodzić swym złem innym ludziom, tak jak uczynił to z tobą.

Jeszcze raz rozległ się zrezygowany szept zakapturzonej istoty.

— Ty głupcze, myślisz, że nie próbowałem? Myślisz, że nie usiłowałem się go pozbyć? Z chwilą gdy dżinn poczuł smak wolności, było za późno na cokolwiek! Nie byłem wystarczająco silny! Nadal nie jestem, tylko ona ma to, czego dżinn potrzebuje naprawdę!

A potem istota uniosła rękę i ściągnęła do tyłu kaptur. W zimnym, rzucanym przez sierp księżyca świetle moim oczom ukazała się odrażająco zniekształcona, zmasakrowana twarz mego dziadka, Maxa Greavesa. Widziałem go tylko przez moment. Niemal natychmiast nasunął kaptur z powrotem i zniknął pod jego mroczną osłoną.

— Max! — zawołałem miękko. — Max, co się tu dzieje? Max nie odpowiedział. Stał tak jak przedtem, nieruchomy i zwiwny.

Pozostawiłem Annę samą, dołączając do profesora. Choć nie mogłem niczego dojrzeć przez zalegające wewnątrz kaptura ciemności, przed oczami wciąż miałem przyprawiający o mdłości obraz tego, co Max zrobił ze swoją twarzą.

— Max, poznajesz mnie, prawda? To ja, Harry! Postać skinęła głową.

— Wiem, że to ty, Harry.

— Max, myśleliśmy, że nie żyjesz. Byliśmy na twoim pogrzebie.

Max westchnął, a był to odgłos tak dziwny, że przywodził na myśl raczej psa niż człowieka.

— Mielicie uważać mnie za zmarłego — odparł miękko. — Wszyscy mieli tak myśleć, oprócz tych, którzy wiedzieli.

— Ale dlaczego? — dociekał profesor Qualt. — Czemu miało to służyć?

W wieżycze zabrzmiał ze wzmożoną siłą śpiew i niezwykły, przypominający szept setek ludzi poszum. Wibracja przybrała na sile, stała się lepiej wyczuwalna. Napętniała drżeniem cały dom, jakby chciała każdą jego cząstkę obudzić do życia. Słyszałem, jak poddaszem uciekają zdjęte paniką szczury.

Rozległo się wołanie Anny.

— Pośpieszcie się, to już nie potrwa długo! Max zrobił niepewny krok w naszą stronę.

— Musicie mnie przepuścić. Nie mogę tego przegapić, cokolwiek by się działo.

Profesor zagroził mu drogę.

— Najpierw — rzucił ochryple — musisz nam powiedzieć, co się stało. Proszę się pośpieszyć, jeśli chcesz zdążyć na randkę z panną Johnson.

Max z rozpaczą pokręcił głową.

— Za dużo trzeba by mówić. Przepuście mnie. Na litość boską, dajcie mi przejść!

— Max — odezwałem się pojednawczo. — Wszystko, co musisz zrobić, to opowiedzieć nam, co tutaj zaszło.

— Jest tego zbyt wiele! Nie mogę! Pozwól mi przejść, Harry! Jestem twoim dziadkiem. Proszę, Harry, wpuść mnie do środka!

Przez moment, słysząc ten zniekształcony, błagalny głos, tak odmienny od znanego mi głosu Masa, a zarazem w jakiś sposób bliski, zacząłem się wahać. Profesor Qualt wyczuł tę niepewność i przytrzymał mnie za ramię.

— Musimy wiedzieć — powiedział mocnym głosem. — Musi nam powiedzieć albo wszyscy będziemy przekłęci.

Szepty w wieżycze niczym szeleszcząca fala przyptywu przybierały na sile, by po chwili opaść poniżej poziomu słyszalności. Przyszło mi na myśl Czterdziestu Rozbójników. Czterdzieści odmian śmierci, każda następna okropniejsza i bardziej przerażająca od poprzedniej. Ponad szepty wzbijało się staccato głosu panny Johnson, wytrwale obrzucającej Dzban Dżinnów arabskimi zaklęciami.



Max pochylił zakapturzoną głowę i powiedział:

— W porządku, skoro to jedyny sposób. Sądząc z odgłosów, mamy jeszcze kilka minut. Ale jeśli wszystko wam opowiem, będziecie musieli mnie tam wpuścić. Musicie to zrobić.

— Proszę wejść i usiąść.

Qualt z dobrotliwą uprzejmością wprowadził człowieka w kapturze do gabinetu będącego ośrodkiem życia i pracy Maxa Greavesa. Max zaszył się w najciemniejszym kącie, podczas gdy Qualt usadowił się w dużym, drewnianym krześle za biurkiem. Przysiadłem obok niego na blacie, Anna zaś stanęła w drzwiach, chcąc słyszeć naszą rozmowę i równocześnie obserwować załamanie korytarza.

— Uważam, że najlepiej będzie, jeśli opowiesz nam wszystko od samego początku — zaczął profesor Qualt. — Już w momencie kupna wiedziałeś, czym jest ten dzban, nieprawdaż?

— Tak — wyszeptał Max. — Wiedziałem. Dowiedziałem się o jego istnieniu od handlującego na czarnym rynku Persa w czasach, kiedy opracowywałem projekty wierceń. Z początku niewiele mnie to obchodziło. Podróżującym za granicą bogatym białym zawsze oferuje się bezcenne zabytki. Zadałem sobie jednak trud i będąc w Bagdadzie odwiedziłem tamtejszą bibliotekę, gdzie natknąłem się na książkę zawierającą opowieść o Ali Babie i Czterdziestu Rozbójnikach. Przedstawiona w niej idea zawładnęła mną bez reszty. Wróciłem do tamtego handlarza i kupiłem dzban. Był to, i nadal jest, jeden z najcenniejszych posiadanych przeze mnie antyków. Profesor lekko zakaszał.

— Ale raczej chodziło ci o dzinna niż o sam dzban, prawda?

Max przez dłuższą chwilę trwał w milczeniu.

— Legenda mówi, że Czterdziestu Rozbójników, odpowiednio potraktowany, jest nie tylko jednym z najpotężniejszych, ale również najbardziej lojalnym spośród starożytnych dzinnów — rzekł wreszcie. — Może obdarzyć człowieka nieprzebranymi bogactwami, zapewnić mu sukcesy w każdej działalności, dać ogładę, wykształcenie i powodzenie u kobiet.

Z najwyższym trudem mogłem uwierzyć w to, co usłyszałem.

— Max, i ty tego wszystkiego pragnąłeś? Chciałeś być bogaty, atrakcyjny i tak dalej? Dzięki pomocy złego ducha?

Kaptur zwrócił się w moją stronę.

— Trudno ci mnie osądzać, Harry. Nigdy nie przedstawiono ci podobnej oferty. Nie miałeś w zasięgu ręki nieograniczonych możliwości. Kiedy jednak uświadomisz sobie, że bogactwo jest tuż, tuż... niewysłowione bogactwo, bajeczne bogactwo, bogactwo przekraczające ludzkie pojęcie... wtedy zaczniesz myśleć inaczej. Może nawet dostajesz lekiego bzika, nie wiem. Pragnąłem bogactwa i sukcesu. Pragnienie to nasiliło się jeszcze bardziej, gdy moje interesy zaczęły podupadać. Myślałem, że dzinn wybawi mnie z kłopotów.

Nim wypowiedział ostatnie słowa, pokój zaczął pulsować w powolnym, złowróżbnym rytmie, towarzyszącym narodzinom dzinna. W nieustającym ani na moment szepcie pobrzmiwały coraz groźniejsze tony.

— Musimy się śpieszyć — ponaglił Qualt. — Powiedz, kiedy postanowiłeś go uwolnić.

— Próbowałem wielokrotnie w ciągu ostatnich kilkunastu lat. Wszystko robiłem jak należy, odnalazłem stosowne pieśni i zaklęcia, ale z jakiś przyczyn nie dawało to żadnych rezultatów. Dżban pozostawał wciąż uśpiony. Milczał. W końcu zrezygnowałem i wykorzystałem go jako dekorację. Harry powinien pamiętać, że stał wówczas w hallu.

Skinąłem głową.

— Pamiętam. Zawsze podobały mi się wymalowane na nim konie.

— W jakiś czas później — podjął Max — przeczytałem o nocnych zegarach. Pojąłem, że właśnie w nich trzeba szukać klucza do mego problemu. Dżinn Ali Baby skazany został na milionletni sen wewnątrz dzbana i tylko astrologiczna moc nocnego zegara była w stanie go obudzić. Szukałem tego instrumentu kilka lat, aż wreszcie udało mi się go kupić za siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów na czarnym rynku w Związku Radzieckim. Miałem nieprawdopodobne kłopoty z wywiezieniem go za granicę, wizja bogactwa pomogła mi jednak pokonać wszelkie trudności.

— Proszę mówić dalej — ponaglił profesor, nasłuchując równocześnie szeleszczących szeptów Czterdziestu Rozbójników.

— Obudziłem dżinna. Ustawiłem nocny zegar na cokole zegara słonecznego, wycelowałem i po kilku próbach obudziłem go. Pewnego wieczoru czytałem coś w gabinecie, gdy nagle usłyszałem dziwny chrobot. Wyszedłem na korytarz, chcąc sprawdzić, czy nie ma tam szczura. Myślałem też, że może ktoś próbuje się włamać. Dopiero kiedy wróciłem do gabinetu, gdzie w owym czasie przechowywałem dżban, zrozumiałem, co to za dźwięk. Moje zaklęcia, wzmocnione działaniem nocnego zegara, wyrwały dżinna z wiecznego letargu. Słuchałem tego drapania przez całą noc i byłem bardzo podniecony.

— I co dalej? Co się nie udało? — zapytałem. — Marjorie opowiadała, że chorowałaś i miałaś migreny.

— To przez dżinna. Był znacznie potężniejszy niż początkowo myślałem. Wkrótce po jego przebudzeniu zaczęły mnie po nocach dręczyć straszliwe koszmary, w których umierałem na wiele dziwacznych, okropnych sposobów. Straciłem apetyt, prześladowały mnie uporczywe bóle głowy. Podczas bezsennych nocy słyszałem śpiewającego w dzbanie dżinna. Wiedziałem, o czym były te pieśni. Cieszył się z bliskiej wolności!

— Czy mogłeś go wtedy zniszczyć? Albo pozbyć się go? Dopóki był jeszcze w dzbanie?

— Nie chciałem. W dalszym ciągu wierzyłem, że zdołam nad nim zapanować i uczynić zeń swego niewolnika. W miarę jednak, jak senne koszmary stawały się coraz częstsze, a stan mego zdrowia stałe się pogarszał, zrozumiałem, że będę musiał trzymać go w zamknięciu, dopóki nie dowiem się o nim więcej i nie uzyskam pewności, że mnie nie zniszczy. Dlatego właśnie opieczętowałem wieżyczkę i usunąłem z całego domu wszystkie twarze.

— Wszystkie, z wyjątkiem swojej własnej — powiedziałem cicho.

Znowu zapadło milczenie. Max pozostawił naszej wyobraźni odtworzenie owej nocy, kiedy wpływ złowrogiego dżinna stał się silny na tyle, że był w stanie domagać się od człowieka oddania własnej twarzy. A ponieważ na własne oczy widzieliśmy pokiereszowane policzki i przerażającą dziurę ziejącą w miejscu nosa, pojmowaliśmy ogrom poświęcenia, jakiego dokonał, aby uniemożliwić dżinnowi przybranie formy nadrzędnej.

— Po tym zajściu — podjął Max — dla dobra rodziny i siebie samego, udałem, że nie żyję. Pomagał mi doktor Jarvis, dzięki czemu udało nam się ukryć prawdę przed Marjorie. Kiedy jednak pozwoliła wam włamać się do wieżyczki i usunąć dzban... musieliśmy jej wszystko opowiedzieć. To dlatego tak gwałtownie wypędziła cię z domu, Harry. Chwilę wcześniej dowiedziała się, że żyję, i że potrzebuję dzinna, aby odzyskać twarz.

— No, a panna Johnson? — zapytał profesor Qualt. — Zakładam, że wiedziała, co się tutaj dzieje?

Max spuścił głowę.

— Panna Johnson opowiedziała mi o sobie w dniu przybycia. Marjorie nigdy się nie domyśliła, że jest kimś więcej niż damą do towarzystwa. Po tamtej nocy, kiedy okaleczyłem sobie twarz, powiedziała, że może mi pomóc w poskromieniu dzinna. Powiedziała też, że jeśli nie będę prosić o nic więcej, tylko o odzyskanie całej twarzy, jeżeli nie będę domagać się bogactw, zdrowia ani sukcesów, nakłoni dzinna, aby to dla mnie zrobił. Z radością przystałem na jej warunki. Nie macie pojęcia, jak wielkich cierpień przysparzają mi rany.

— Max — oznajmiłem ze smutkiem. — Panna Johnson chce tego dzinna zniszczyć. Nie wiedziałeś o tym?

Max spojrzał w moją stronę. W przelotnym błysku mignęły mi jego przepętnione bólem oczy.

— Och, nie! — wychrypiał. — To niemożliwe. Ona mówiła, że chce użyć dzinna do własnych celów. O zniszczeniu nie może być mowy.

— Co takiego? — odezwał się zaskoczony profesor. — Jak to do własnych celów?

— Nie wiem. Umówiliśmy się, że odzyskam twarz, w zamian za co ona może korzystać z moich arabskich ksiąg magicznych, starych szat i broni. Ma ze sobą moją fotografię i poleci dzinnowi, żeby przywrócił mi dawny wygląd. Właśnie taką zawarliśmy umowę.

Profesor poderwał się z miejsca ze zbielełą twarzą.

— Więc ona zachowa dzinna przy życiu?

— Oczywiście — odparł Max. — Taka była umowa. Qualt uniósł głowę i zaczął nadstuchiwać. Z wieżyczki dolatywały zmieszane głosy, ponad którymi górowało wycie panny Johnson, docierającej do finału jakiegoś długiego i skomplikowanego zaklęcia. Wstrząsające domem drżenia przybierały nieustannie na sile, a w powietrzu zdawała się coraz bardziej gęstnieć atmosfera zła.

— Oszukała nas wszystkich — wyszeptał Qualt. — Nie ma najmniejszego zamiaru zajmować się twoją twarzą, Greaves. Chciała tylko wykorzystać twoją wiedzę, księgi i magiczne przedmioty. Potrzebna jej była fotografia, aby nadać dzinnowi formę nadrzędną. Pragnie go uwolnić i posłużyć się do... No tak, Bóg jeden wie, co ona chce z nim zrobić.

Nagle z korytarza rozległ się głos Anny.

— Szybko! Szybko, profesorze! Coś się tam dzieje!

We wnętrzu gotyckiej wieżyczki rozległy się grzmiące głosy. Ochryple, gardłowe i przesycone okrucieństwem, były tak mocne, iż sprawiały wrażenie, jakby płynęły z dużego głośnika. Mówiły tym samym dziwnym językiem, którym posługiwała się przed swoją śmiercią Marjorie Greaves. Brzmiało to jak groźny, groteskowy chór jęczących demonów. Po raz pierwszy zawładnął mną strach tak wielki, że nie mogłem ruszyć ręką czy nogą, ani nawet czegokolwiek powiedzieć.

— Otwórzcie drzwi — polecił Max Greaves, stojący tuż za naszymi plecami. — Bez względu na wszystko musicie otworzyć te drzwi.

— Otworzyć je? — zaproponował Qualt. — A co się stanie, jeśli dzinn wydobył się już z dzbana?

— Otwórzcie — powtórzył głucho Max. — To jedyny sposób.

Profesor popatrzył na mnie, przygryzając nerwowo wargi. Następnie podszedł do drzwi z wyciągniętymi przed siebie rękami, jakby , zamierzał wejść do pogrążonego w ciemnościach, nieznanego pokoju. Przewyciężając obezwładniający strach, dołączyłem do niego i teraz obaj staliśmy tuż przed ścianą wieżyczki, próbując przekonać samych siebie, że starczy nam odwagi, by stawić czoło temu, co zastaniemy wewnątrz. Anna nie pozostawała w tyle. Choć blada, wyglądała na zdecydowaną.

Kolejny raz zabrzmiała ze wzmożoną siłą głośna, gardłowa mowa, której wtórował piskliwy głos panny Johnson.

— Jedziemy — mruknął profesor Qualt i wzniósł nogę, szykując się do wyważenia drzwi.

Nim zdążył wyprowadzić cios, rozległ się upiorny dźwięk tysiąca par szczękających nożyc, a w powietrzu zafurkotało od mknących we wszystkie strony, ostrych niczym brzytwa noży. Zastaniając twarze dłońmi odskoczyliśmy z Qualtem w przeciwne strony. Stalowa zawierucha minęła nas i zniknęła w mroku. Max rzucił się na podłogę, pociągając za sobą Annę.

— Co to było, u diabła? — — wściekał się Qualt. Max uniósł zakapturzoną głowę.

— W Sudanie nazywają to burzą noży. Mała magiczna pułapka na nie znających się na rzeczy, to wszystko. Bądźcie ostrożni, niespodzianek może być więcej.

Pozbieraliśmy się wszyscy z podłogi i ponownie przyczailiśmy pod drzwiami.

— Gotowy? — zapytał profesor, zaglądając mi w oczy. Nie sądzę, aby ujrzał w nich coś więcej oprócz strachu. W odpowiedzi wyszczerzyłem zęby w mającym mu dodać otuchy grymasie. Qualt położył dłoń na klamce.

Gwałtownym ruchem otworzył drzwi. Ustąpiły bez oporu, zapraszająco odsłaniając wejście.

Przede wszystkim uderzyło w nas niesamowite gorąco. Wylewało się rozedrganymi falami przez otwarte drzwi, suche i piekące, jakby żywcem przeniesione z serca pustyni. Tylko raz doświadczyłem wcześniej czegoś podobnego, w Newadzie, gdzie w południe cień szuka schronienia pod twoimi stopami.

A jednak to nie żar napełnił nas przerażeniem. Osłaniając przed nim oczy, ujrzeliśmy pannę Johnson w srebrnej peruce i rdzawych szatach, stojącą pośrodku pokoju na szeroko rozstawionych nogach, ze

wzniesionymi w górę ramionami. W dalszym ciągu wymachiwała szablą i dymiącą kadzielnicą, tak że w pomieszczeniu było gęsto od dymu. Dziwnie zniekształcone rysy twarzy, jakby podrywane ku górze przez silny podmuch cyklonu, nadawały jej wilczy wygląd.

Na wprost niej znajdował się opieczętowany Dzban Dżinnów. Było to wysokie, sięgające mojej piersi naczynie o ściankach utrzymanych w tonacji błękitu, bladej zieleni i delikatnego różu. Z jego szyjki, na nieprawdopodobnie cienkiej łodydze, wyrastała głowa Maxa Greavesa, o twarzy zwróconej w kierunku panny Johnson. To właśnie ta głowa przemawiała do niej głębokimi, dudniącymi głosami — jej wargami wypowiadało się równocześnie ze dwadzieścia różnych istot.

— O Chryste — jęknął profesor.

Tym razem, choć nadal pogrążona w głębokim, hipnotycznym transie, panna Johnson spostrzegła naszą obecność. Jej niewidzące, szkliste oczy nie mogły nas zauważyć, a jednak wyciągnęła w naszą stronę szablę i wrzasnęła:

— Intruzi! Niewierni! Intruzi!

Czułem, jak serce zamiera mi w piersi, kiedy chwiejąca się na wiotkiej, węzowej łodydze głowa Maxa Greavesa powoli obróciła się twarzą do nas. Miała jasne, błyszczące oczy i lekko się do mnie uśmiechała. Uśmiech ten był tak znajomy, a równocześnie tak odpychająco obcy, że poczułem, jak opuszczają mnie wszystkie siły, a ciało bierze we władanie przemożny strach.

Głowa przemówiła grubymi, donośnymi głosami, posługując się owym tajemniczym, groźnie brzmiącym dialektem. Skończywszy, odwróciła się od nas z pogardą.

— Co on powiedział? — wykrzychałem pytanie w stronę profesora Qualta. — Co teraz zrobimy?

Qualt stał bez ruchu, czujny i napięty.

— Chodzi mniej więcej o to, że jesteśmy za słabi, żeby zrobić mu krzywdę — odparł, nie oglądając się na mnie. — Wita nas jako świadków swego zmartwychwstania i rozprawi się z nami, gdy nadejdzie właściwa pora. Reszty nie rozumiałem.

— Czy to już cały dżinn? Tylko długa szyja i głowa? Profesor zaprzeczył ruchem głowy.

— W dzbanie kryje się jeszcze znacznie więcej, ale wszystko jest nie mniej odrażające. Anno?

— Słucham, profesorze.

— Czy masz jakieś pomysły?

— Nic nie możemy zrobić — powiedziała pobladła dziewczyna, drżąc na całym ciele. — W tej chwili ochrania go nocny zegar. Dopóki nie odzyska wszystkich sił, dopóki nie opuści dzbana, nic nie zdoła złamać czaru nocnego zegara.

— Ona ma rację — wtrącił Max Greaves. — Dopiero gdy dokona się pełen cykl, zniknie osłona mocy astralnych. Ale wówczas...

— Co wówczas? — wpadłem mu w słowo.

— Wówczas będziemy musieli zmierzyć się z najsilniejszym, najdzikszym dzinnem, jaki kiedykolwiek istniał w starożytnym świecie arabskim.

— Wchodzę — oznajmił profesor Qualt. — Chcę mu się bliżej przyjrzeć.

— W takim razie — odezwałem się, pokonując suchość w ustach — idę z panem.

— Nie musi pan tego robić, Harry.

— A pan myśli, że co będę robić? Stać w drzwiach i patrzeć, jak pan daje się zabić?

Profesor zwrócił się do Anny.

— Czekał tutaj. Jeśli wpadniemy w jakieś tarapaty, zamknij drzwi i zmiataj, gdzie pieprz rośnie.

Broniąc się przed gorącym przesłoniliśmy dłońmi oczy i przekroczyliśmy, próg wieżyczki, cały czas trzymając się jak najbliżej ściany. Panujący wewnątrz upał był wprost nie do zniesienia. Błyskawicznie poczułem suchość pod powiekami, a gardło odezwało się bólem zeschniętej na wiór skóry. Coś zdumiewającego działo się także z wypełniającym pomieszczenie powietrzem. Wydawało mi się, że spoglądam na wszystko poprzez załamujący światło pustynny miraż. Przedmioty nabrały dziwnie rozdętych kształtów, a gdy spojrzałem na swoje nogi, stwierdziłem, że uległy skróceniu, odchylając się równocześnie na zewnątrz pod nieprawdopodobnym kątem. Podobne załamanie można zaobserwować na wetkniętym w wodę patyku.

Po przeciwległej stronie dzbana panna Johnson kontynuowała swój magiczny obrządek. Głowa Maxa Greavesa chwiała się i podrygiwała, rzucając ku nam od czasu do czasu budzące grozę spojrzenie nie ludzkich oczu. Profesor pochylił się ku mnie, przekrzykując zgiełk:

— Cały ceremoniał wymaga odśpiewania czterdziestu pieśni, z których każda ożywi inną postać dzinna. To co słyszysz w tej chwili, to Pieśń Piekielnego Termita.

— O Jezu — rzuciłem przerażony.

— Mam pewien pomysł — podjął uczony. — Może w ten sposób zyskamy nieco na czasie, choć nie pozbędziemy się dzinna.

— Sądzi pan, że powinniśmy zaatakować? Stłuc dzban albo coś w tym rodzaju?

— To by nam nic nie dało. Ale gdyby tak obezwładnić pannę Johnson? Gdyby nie mogła dokończyć obrzędu, dzinn pozostałby przykuty do dzbana.

Potarłem podrażnione oczy, próbując dostarczyć im w ten sposób nieco wilgoci. Upał narastał z każdą chwilą. Rozpiąłem szerzej kołnierzyk koszuli i otarłem spocone czoło wierzchem dłoni.

— A co z nocnym zegarem? Przecież będzie on w dalszym ciągu ochraniać dzinna, nawet jeśli powstrzymamy proces jego odrodzenia. Myślę, że prędzej czy później duch poradzi sobie z opuszczeniem dzbana i jeśli do tego czasu nie wymyślimy sposobu na jego zniszczenie, będzie nieporównanie wścieklejszy niż obecnie.

— Ale przynajmniej będziemy mieli trochę czasu! Zakaszlałem.

— No cóż, i tak nie przychodzi mi nic lepszego do głowy. Może jeśli obaj podejmiemy z różnych stron, zdołamy ją pochwycić, zanim poszatkuje nas swoją szablą.

— Okay! — krzyknął profesor. — Ruszymy, gdy będzie pan gotów.

Pewnie by się tak stało, gdyby pierwszy nie ruszył Max Greaves, który niepostrzeżenie wszedł do wieżyczki. Zsunęty do tyłu kaptur odsłaniał wystraszoną, zmasakrowaną twarz. Widać było oczy połyskujące spomiędzy zwałów czerwonego, posiekanego ciała. Nos zniknął zupełnie, a na jego miejscu rozwierała się paskudna, czarna dziura.

Wzniósł w górę ramiona i krzyczał coś swoim dziwnym, sepleniącym głosem, głosem, który w tym ponurym wnętrzu rozbrzmiewał niczym nawoływanie potępionej duszy z bagien.

— Max! — wrzasnąłem. — Nie podchodź bliżej! Max! Max albo mnie nie słyszał, albo zignorował ostrzeżenie.

Szedł do przodu, dopóki nie znalazł się o kilka stóp od dzbana. Przez pełen grozy moment wpatrywał się we wzniesioną ponad dzbanem na wężowej szyi swoją własną, uśmiechniętą twarz, a z jego okaleczonych rysów przebijało coś na kształt strachu, choć bardziej chyba przypominało to smutek.

— Moja twarz — powtarzał w kółko. — Moja twarz. A potem ponownie wzniósł ramiona i krzyknął przerażającym głosem:

— Moja twarz! Obiecałaś mi twarz! Obiecałaś!

Nic nie mogliśmy zrobić. Panna Johnson błyskając białkami wywróconych oczu zbliżyła się do Maxa wolnym, posuwistym krokiem tancerki. Próbowałem wykonać jakiś ruch, lecz mięśnie odmówiły mi posłuszeństwa. Niczym na zwolnionym filmie obserwowałem, jak błyszcząca szablą zatacza, niewielki łuk w zadymionym powietrzu i pogrąża się głęboko w szyi Maxa. Z rany trysnęła fontanna krwi. Nie wydając najmniejszego dźwięku, Max Greaves skręcił się w miejscu i padł na podłogę w śmiertelnych drgawkach.

Razem z profesorem ruszyliśmy w stronę morderczyni, ta jednak wymierzyła w nas szablą. Stało się oczywiste, że niczego w ten sposób nie osiągniemy. Profesor chwycił mnie za ramię i na powrót przyciągnął pod ścianę wieżyczki.

— Czekaj, Harry. Straciliśmy naszą przewagę. Musimy zaczekać.

Widząc nasz odwrót, panna Johnson odrzuciła do tyłu głowę i wybuchła głośnym śmiechem. Długi, niebieski język zwisał jej aż na brodę. Zbliżyła do warg szablą i zaczęła z niej zlizywać mieniącą się jasną czerwienią krew Maxa. Na ten widok zrobiło mi się niedobrze. Odwróciłem wzrok.

Bezradni jak dzieci, przyglądaliśmy się wymachującej kadzielnicą pannie Johnson. Płynęły kolejne pieśni, aż wreszcie zabrzmiała czterdziesta, ostatnia i najważniejsza, Pieśń Bezimiennego Wiatru. Był to obrzęd tak stary, że perski dialekt, w którym ułożono jej słowa, musiał ulec zapomnieniu na wiele stuleci przed narodzeniem Chrystusa. Świszczące, wymawiane z przydechem dźwięki budziły grozę i każdy z nich przejmował mnie chłodem, pomimo panującego wokół zabójczego gorąca.

— Hatthoka hathka, fethmana sespherel. Jinhatha lespoday nen hatthoka, jinhatha fethmana!

Zwieńczony odrażającą głową dzban poruszył się, jęknął. Pokój wypełnił się szeptami i różnymi dziwnymi odgłosami. Nawet belki sufitu zdawały się potrzaskiwać oraz skrzypieć. Pod wpływem gorąca

powietrze wokół panny Johnson zafalowało. Jej odrzucona w tył głowa i białe gardło, szarpane niemal epileptycznymi konwulsjami, zdawały się rozpylać i co chwila niknęły z pola widzenia. W pewnym momencie krzyknęła przenikliwie i gardłowym głosem, starając się zapanować nad wymykającym się co chwila pomiędzy zębów językiem, zaczęła przyzywać dżinna Ali Baby, dżinna N'zwaa, wielkiego i ohydneho Czterdziestu Grabieżców Życia, rozszarpującego ciała, najokropniejszego spośród wszystkich starożytnych duchów.

Musiałem użyć całej siły woli, aby zmusić się do patrzenia. Dżinn wyłaniał się powoli z szyjki dzbana. Doprawdy, trudno było sobie wyobrazić coś mniej przypominającego przyjaznego ducha w turbanie z bajek dla dzieci. Z dzbana wydobywało się ku górze bezkształtne kłębowisko jakiś rurek i tworów podobnych do jelit. Wznosiło się coraz wyżej, zwijając w powietrzu coraz to nowe jardy przyprawiającej o mdłości, bladej materii. Towarzyszył temu okropny smród rozkładu, który w połączeniu z gorącym czynił oddychanie niemal niemożliwe.

— O Boże — stęknął profesor Qualt. — Miej nas w swojej opiece.

Panna Johnson machnęła szablą w naszym kierunku. Chwiejąc się niczym wodorost gnijący w ciepłym oceanie, dżinn ruszył w naszą stronę. Wiedziałem, że szykuje dla nas najokropniejszy rodzaj śmierci ze wszystkich, jakie miał do zaoferowania. Ogarnął mnie kompletny paraliż. Czułem się kompletnie wyzuty z sił, mogłem jedynie patrzeć, jak ohydna istota pod pływa coraz bliżej. Makabryczne zapętlenia i zwisające luźno strzępy składały się na wyzbytą wszelkiego kamuflażu nadrzędną formę dżinna, odrażające skupisko ektoplazmy, z którego mogła się wykształcić każda postać Czterdziestu Rozbójników, by sprowadzić na nas przerażający, bolesny kres.

Panna Johnson zaczęła mówić, lecz wówczas zdarzyło się coś dziwnego. Dżinn cofnął się od nas, jakbyśmy byli dla niego czymś odpychającym. Pokonując rozdzierający ból szyi, obróciłem głowę i ujrzałem stojącą w drzwiach Annę. We wzniesionej w górę ręce trzymała srebrny półksiężyc, czysty i święty symbol Islamu.

Panna Johnson opuściła głowę, z której zwieszały się pozlepiane potem kosmyki włosów. Jej oczy powoli wracały na swoje miejsce. Nadal wywijała szablą i podobnie jak dżinn sprawiała wrażenie poirytowanej oraz zmieszanej widokiem lśniącego półksiężyca.

Anna zrobiła dwa lub trzy kroki w głąb pokoju, po czym odezwała się wysokim, ale stanowczym głosem:

— Profesorze, Harry! Uciekajcie stąd i stańcie za moimi plecami.

Nie spuszczając z oczu wijącego się dżinna, wycofaliśmy się do drzwi. Anna stała pewnie pomiędzy nami a Czterdziestoma Rozbójnikami, wznosząc w górę półksiężyc i śpiewając miękko — przynajmniej ja słyszałem jej śpiew — jakąś arabską pieśń.

— Anno — odezwał się ochryple profesor. — Musisz uciekać z nami. Sama nie dasz sobie rady!

Dziewczyna nawet nie drgnęła.

— Znam tego dżinna, profesorze — odparła spokojnie. — Znam go od dawna.

W pokoju nabierało się tyle dymu z kadzidła, że musiałem wyteńczyć wzrok, aby dostrzec pannę Johnson czy drgającego dżinna. Równie dobrze jak profesor zdawałem sobie sprawę, iż półksiężyc powstrzyma



przeciwnika tylko na krótko. Amulety i zaklęcia, o czym miałem okazję już się kiedyś przekonać, nigdy nie zapewniają trwałej ochrony przeciwko złym duchom.

Nieoczekiwanie džinn przystąpił do przeobrażenia. Jego ruchy nabrały szybkości, a on sam zdawał się rozpylić. Po chwili z mgły kadzideł wyłonił się czarny, przysadzisty kształt monstrualnej pijawki o ślepych oczach i odrażającym, bladym brzuchu. Anna jeszcze raz uniosła półksiężyc i powiedziała po arabsku kilka krótkich, dźwięcznych słów. Gdy tylko transformacja dobiegała końca, džinn zmienił się w obłok dymu i przystąpił do przeobrażenia w następną groteskową i złowrogą zarazem postać.

— Próbuje znaleźć formę, której Anna nie zdoła zwalczyć — powiedział Qualt. — Zmieniając nieustannie kształt, chce osłabić jej odporność.

— Anno — wyciągnąłem ku niej rękę, lecz profesor powstrzymał mnie.

— Nie teraz. Nie wolno jej rozpraszać. Jedna chwila nieuwagi i wszyscy umrzemy.

Pojawiło się stworzenie przypominające dużego szczura, lecz także i tym razem, gdy Anna przemówiła, džinn musiał ustąpić. Przeobrażenia następowały coraz szybciej. Wkrótce Anna musiała śpiewać bez przerwy, a przed naszymi oczami, w mrocznej, przesyconej dymem poświacie przewinęła się cała galeria przerażających, budzących odrazę Rozbójników, uwięzionych w dzbanie przez Ali Babę. Były tam istoty powłóczące nogami i takie, które pełzały. Stwory o paszczach pełnych ostrych zębów oraz poskręcane dziwadła, biegające na setkach owłosionych nóg.

Widziałem pół człowieka, pół jaszczurkę. Widziałem demoniczną zjawę nubijskiego niewolnika i garbusa o ciele pokrytym roześmianymi twarzami, których chichot napełnił wieżyczkę głośnym brzęczeniem. Widziałem kobietę, po skórze której wędrowały niczym gąsienice motyla rozwarte pochwy i wspartego na kulach trędownatego żebraka.

Jak w przerażającej malignie budziły się do życia na naszych oczach lęki czasów zapomnianych przeszło tysiąc lat temu.

To właśnie przed nimi po dziś dzień arabskie matki ostrzegają w nocy swoje dzieci, a starzy mężczyźni miotają przeciw nim przekleństwa. To o nich nawet najsurowiej zabronione masochistyczne kultury ośmielają się zaledwie szeptać. Tak właśnie wygląda Czterdziestu Grabieżców Życia, zjawisko na tyle przerażające, że choć— arabskie legendy zatarty prawdziwą o nim pamięć, to nie zdołały wymazać jego nazwy, wplatając ją w opowieść o bandytach i rabusiach.

Obserwującej tę scenę pannie Johnson wystąpiła piana na usta. Kobieta popadła w histerię, zaczęła kroić szablą własne ramiona, a gdy na podłogę spłynęły pierwsze krople krwi, zacisnęła lewą dłoń na ostrej jak brzytwa klindze, tuż poniżej rękonożki i nie zwalniając chwytu przeciągnęła nią w dół, raniąc się głęboko i odcinając zupełnie dwa lub trzy palce. W geście triumfu uniosła w górę okaleczone ramię, a jej samopoświęcenie zdawało się wlewać w džinna nowe siły. Przybrawszy postać błyszczącej, spotworniałej modliszki o potężnych szczypcach i szczękach, energicznie ruszył ku nam przez dym.

Anna chwiała się z wyczerpania, ale nie śmieliśmy do niej podejść, by džinn nie skorzystał z momentu zamieszania, jakie mogłoby się wtedy wytworzyć. Kolejny raz półksiężyc powędrował w górę i rozległa się arabska mowa. Owadzi kształt przystanął z wahaniem.

Panna Johnson cięła swe szaty zapamiętałe, aż opadły w strzępach, odsłaniając pokaleczone ramiona. Schwyciła się wówczas kciukiem i jedynym ocalałym palcem lewej dłoni za blady sutek prawej piersi i

odcięła go szybkim ruchem szabli. Był to przerażający, budzący mdłości widok — lecz owo masochistyczne samookaleczenie zdawało się ją tylko bardziej podniecać. Rozmazywała własną krew po całym ciele, jakby dostarczało to jej zmysłowej rozkoszy.

— Hathoka! — krzyczała. — Hathoka jinhatha!

W tym momencie Anna zemdląca. Profesor Qualt błyskawicznie klęknął przy niej, chcąc podnieść srebrny półksiężyc, ledwie go jednak dotknął, odskoczył jak oparzony.

— Jezu, to jest rozgrzane do czerwoności! Nie mogę tego podnieść!

— Wynośmy się stąd! — krzyknąłem. — Zobaczą, czy dam radę...

Dżinn w swej pierwotnej formie nadrzędnej znajdował się bliżej, niż oceniałem to poprzez dym. Gdy usiłowałem dopomóc profesorowi w wyciągnięciu Anny na korytarz, biaława macka uderzyła mnie z boku w twarz, napełniając policzek piekącym kluciem, przypominającym zetknięcie z parzącą meduzą. Moja twarz!

Odepchnąłem mackę ramieniem i uniosłem głowę. Dżinn włókł się ociężale przez pokój, oleisty i złowieszczy. Błada kałamarnica, która tej nocy wzbudziła moje największe przerażenie. Pośród jej splotów zaczęła się nagle materializować twarz Maxa Greavesa, wpatrzona we mnie z pozbawionym humoru uśmiechem, jakby mój strach napełniał ją rozkoszą.

— Max — szepnąłem. — Max, proszę.

Twarz nie przestawała się uśmiechać, lecz nie można było w niej dostrzec żadnej ludzkiej reakcji. Nieoczekiwanie odpadła część podbródka, potem cała broda zmieniła kształt.

— Max, na litość boską, pozwól nam odejść, Max! Trząśłem się zlany potem w obezwładniającym upale.

Nie przestawałem mówić, a profesor Qualt stopniowo wyciągał dziewczynę z pokoju.

Dżinn przysunął się bliżej. Twarz Maxa Greavesa powoli zapadła w głąb poskręcanej gałęzi ektoplazmy, na której przedtem się pojawiła, by po chwili zmaterializować się w innym miejscu jako głowa człowieka powieszzonego na straszliwym, ociekającym wilgocią drzewie.

— Proszę, Max — błagałem.

Byłem pewien, że rozedrgane sploty dżinna owiną się wokół mnie, a rozsiane na nich jadowite żądła zadadzą mi okropną śmierć. Tymczasem, po zdającej się nie mieć końca chwili wahania, rysy twarzy zaczęły mięknąć i zanikać. Czterdziestu Rozbójników stracił zainteresowanie moją osobą. Prężąc długie, białe ciało pomknął zygzakami przez pokój i gwałtownie zapętlił się dookoła panny Johnson, która klęczała na podłodze w kałuży własnej krwi, pogrążona w obłąkańczym, historycznym transie.

Profesor Qualt złapał mnie od tyłu za ramię i pociągnął w stronę drzwi. Cofaliśmy się powoli, ale żaden z nas nie mógł oderwać oczu od dżinna oplatającego skomplikowanymi węzłami ciało panny Johnson. Zaatakowana wyciągnęła rękę i zaczęła gładzić piętrzące się wokół niej sploty, a następnie przytuliła do nich twarz, tak jak kobieta tuli się do swego kochanka. Powoli jej biodra zaczęły się poruszać. Sięgnęła ku nim ręką i darła ostatnie strzępy zakrwawionej togi.

Patrzyliśmy w niewymownym przerażeniu, jak dzinn wzmocnił uścisk i zaczął przesuwać się pomiędzy jej rozrzuconymi szeroko udarni. Sapała i jęczała, a oleiste, muskularne ramiona z ektoplazmy oplatały ją coraz silniej. Nie okaleczoną dłońią sięgnęła ku sromowi i rozwarła go tak, aby obrzydliwa blada macka zdołała wcisnąć się do jej wnętrza. Widzieliśmy, jak całe jarzy drgającej substancji nika w tłaćzane w głąb ciała dziewczyny, aż w końcu z jej ust wydobył się przepelniony bólem przerażający krzyk. Popatrzyliśmy po sobie bezradnie.

— Aaarrggghhhhhhhh! Ugghhh! Uggghhhhh! — jęczała. — Oty, nie wytrzymam! Tyle bólu! Tak bardzo boli! Aaaggghh!

— Na litość boską! — krzyknął profesor. — Co mamy zrobić?

Przyklęknałem obok Anny. Była blada i pogrążona w głębokiej śpiączce. Bóg jeden wiedział, czy wyjdzie z tego cało.

— Anno! — zawołałem. — Anno! Co możemy zrobić? Przez chwilę myślałem, że nie doczekam się odpowiedzi, ale w końcu uniosła senne powieki i szepnęła:

— Harry...

Spróbowałem pobudzić ją lekkim klepaniem po policzkach.

— Anno, dzinn wpadł w sza! Anno, posłuchaj! Co możemy zrobić?

Z wnętrza wieżyczki dolatywały nas potworne ryki i jęki dzinna oraz błagalne piski panny Johnson. Jej głos niemal zatracił ludzkie brzmienie, przypominał wycie torturowanego zwierzęcia, a jednak oprócz rozpacz i śmiertelnego strachu, wyraźnie dźwięczała w nim nuta ekstazy.

Anna powiedziała coś szeptem, lecz nie zdołałem tego usłyszeć. Pochyliłem się niżej.

— Nocny zegar — wyszeptała po chwili. Profesor Qualt popatrzył na mnie z nadzieją.

— To jest to! Teraz, gdy dzinn odzyskał swą formę nadrzędną, zegar jest wolny od blokującego go czaru. A to oznacza, że możemy go użyć przeciwko Czterdziestu Rozbójnikom i może nawet go zniszczyć!

Wstałem z klęczek.

— Przede wszystkim wynośmy się stąd! Nie mam pojęcia, w jaki sposób posługiwać się tym przeklętym zegarem, a pan?

Profesor pomógł mi unieść Annę z podłogi. Wspólnymi siłami pociągnęliśmy ją długim korytarzem w stronę schodów.

— Może to nie ma znaczenia — wysapał. — Kto wie, czy nie zdoła go pan uruchomić nawet bez żadnej praktyki.

Wchodząc na pogrążone w ciemnościach schody złapałem Annę za nogi.

— Wolałbym się o to nie zakładać — rzuciłem, z trudem wymacując kolejne stopnie.

Za naszymi plecami wciąż rozlegały się krzyki rozgorączkowanej panny Johnson i upiorne poszeptywania dzinna, które zwielokrotnionym echem tłukły się po korytarzach, wprawiając w drżenie okienne szyby.

W końcu znaleźliśmy się na dworze. Owionęło nas ciepłe, świeże powietrze. Na niebie błyszczał sierp księżycy, przesłaniany co chwila przez szybko przemykające chmury. Wiatr od morza niósł ostry zapach soli, omiatając rozległe, dziko wyglądające trawniki. Przenieśliśmy Annę na drugą stronę podjazdu, a następnie, schwyciwszy ją pod ramiona, pociągnęliśmy po trawie w kierunku nocnego zegara.

Ułożyliśmy dziewczynę na ziemi. Profesor zbadał jej puls, podczas gdy ja podszedłem do nocnego zegara i w głębokim zwątpieniu wpatrzyłem się w niezwykle arabskie napisy oraz rysunki.

Z domu nadpłynął straszny, przepelniony bólem wrzask, który po paru sekundach utonął w ryku dzinna. Okna wieżyczki rozświetlało migotliwe, przyćmione światło. W jego blasku przemknęła na krótko rozmazana sylwetka, na widok której dostałem gęsiej skórki.

— To jeszcze jeden z Czterdziestu Rozbójników! — powiedział profesor Qualt zmienionym głosem. — Gwałci ją kolejno pod każdą postacią!

— Więc myśli pan, że wszystkie te stworzenia... wszystko, co tam widzieliśmy, że każde z nich...

Qualt podniósł się z trawy.

— Wszystkie z wyjątkiem jednego — odparł cicho. — Czterdziesta forma to postać pustynnego wiatru. Arabowie zamieszkujący Saharę takie magiczne cyklony określają słowem dzinn. Kiedy dzinn zamienia się w pustynny wiatr, oznacza to, że rzuca się w wir szalonej zemsty. Jest to końcowy akt zniszczenia, zamykający proces ożywienia po długotrwałym zamknięciu. Z tego, co mówią legendy, zjawisko to niesie ze sobą skrajne niebezpieczeństwo.

— Czyli za tamta istota na górze może ostatecznie przekształcić się w cyklon?

Skinął głową.

— Nastąpi to, gdy tylko Czterdziestu Rozbójników skończy z panną Johnson.

Z trudem przetknąłem ślinę i ponownie zmierzyłem wzrokiem nocny zegar.

— W takim razie myślę, że lepiej będzie, jeśli spróbuję to uruchomić.

Profesor Qualt stanął u mego boku.

— Musi pan go przytrzymywać — zaczął mnie instruować. — Właśnie tak, obie ręce rozmieszczone po bokach podstawy. A teraz proszę się pochylić i patrzeć w wyżłobienia. Zaraz zobaczymy, czy zdoła się pan dostatecznie skoncentrować.

Postąpiłem ściśle według jego wskazówek.

— Czy nie sądzi pan, że byłby w tym lepszy ode mnie? — zapytałem.

— Nie. Za dużo wiem o magii i dzinnach. Byłbym zbyt podatny na jakiegokolwiek zaburzenia. Nocny zegar przypomina stereofoniczny wzmacniacz. Jeżeli ktoś doprowadzi do jego przeciążenia, może wywołać ogłuszające sprzężenie, tyle tylko, że w przypadku zegara sprzężenie takie równałoby się zapewne natychmiastowej śmierci.

Chrząknąłem.

— To miłe, że mnie pan uprzedził.

Dobiegające z wieżyczki krzyki przybierały na sile, stawały się coraz dziksze. Ponownie skupiłem się na wyrytych w płycie zegara wizerunkach dziwacznych ptaków i zwierząt. Całą swoją energię usiłowałem skoncentrować na myśli o dżinnie, o tym, jak bardzo pragniemy go zniszczyć.

Stopniowo, bez najmniejszego dźwięku, kontury rysunków rozjarzyły się nikłą fluorescencyjną poświatą, a sam zegar wpadł w lekką wibrację.

— Proszę teraz uklęknąć — polecił Qualt. — Niech pan uklęknie i popatrz przez otwory we wskazówce na wieżyczkę.

Przyklęknąłem w suchej trawie, przytykając policzek do płaskiej wskazówki. Rozrzucone na niej dziury powoli zaczęły zlewać się w jeden otwór, przez który dostrzegłem okno gotyckiej wieżyczki. Jej wnętrze, rozświetlone drgającym spazmatycznie blaskiem, zapełniały cienie oraz kształty, jakich niezdolna była stworzyć ludzka wyobraźnia. Nie wiedziałem, co to jest, i nic mnie to nie obchodziło. Całym jestestwem pragnąłem zniszczyć dżinna. Przez moment mignęły mi przed oczami potężne szczypce jakiegoś monstrualnego skorupiaka. Odeгнаłem tę wizję, starając się myśleć tylko i wyłącznie o zabiciu dżinna.

Linie zegara nabrały blasku, a wibracja przeszła w słyszalne buczenie, lecz czułem, że nie ma w nim potrzebnej mocy.

Zwróciłem się do profesora i zawołałem:

— Nie działa! Jest za słaby!

Qualt podszedł bliżej i klęknął po drugiej stronie zegara.

— Będzie pan musiał wezwać kogoś do pomocy! — odkrzyknął. — Ali Babę albo innego wielkiego czarnoksiężnika!

— Chyba pan żartuje? Ali Babę?

— Kogokolwiek!

— Nie znam żadnych czarnoksiężników!

Profesor wzruszył ramionami. Ponad trawnikiem, w nocnej ciszy, niosło się groteskowe wycie panny Johnson, przechodzące momentami w przeszywający pisk.

— W takim razie próbuj pan Ali Baby! To nie zaszkodzi!

Skinąłem głową i przykleiłem się do zegara. Gdy w polu widzenia miałem już wieżyczkę, zacząłem szeptem powtarzać imię Ali Baby.

— Głośniej! — powiedział uczoney.

— Ali Babo!

— Nie tak! — wrzasnął Qualt. — Głośniej!

— Ali Babo! — ryknąłem. — Ali Babo, dopomóż mi! W imię wszystkiego, co żyje, pomóż mi, Ali Babo!

W tym momencie wszystkie okna wieżyczki rozleciały się z hukiem, a sama wieżyczka implodowała w kaskadach szkła i połamanego drewna. Wściekły podmuch zmiótł z dachu Winter Sails wszystkie dachówki,

które następnie z głośnym brzękiem zaścieliły ziemię wokół domu. Z wnętrza rozbitej wieżyczki wzniosła się w górę wirująca kolumna pyłu i dymu, po czym kilkakrotnie przemknęła pomiędzy szczytami, z przerażającą siłą zasypując nocne niebo latającymi szczątkami.

— To jest właśnie pustylny wiatr — powiedział profesor. Nigdy dotychczas nie był tak przybity.

— Ali Babo! — zawołałem ze zdwojoną energią. — Ali Babo, pomóż mi!

Z okropnym rykiem nadciągającego tornada dżinn okrążył dom potwornym wirym pyłu, żwiru i tłuczonego szkła. Wir powiększał się z każdą chwilą, aż wzbił się w niebo na jakieś sto stóp. Ciemny, demoniczny tajfun, który wyrwał krzewy z korzeniami, a drzwi garażu Winter Sails przemienił w stertę drzazg.

Wiedziałem już, że Ali Baba, gdziekolwiek by przebywał jego duch, nie potrafi mi pomóc. Poczułem się bezbronny, zagubiony i bardzo samotny. Oparłem czoło o płytę zegara. Profesor Qualt także zrozumiał, że przegrywamy tę walkę i nie jesteśmy w stanie zrobić niczego, by powstrzymać rozszalałego demona.

Przyszła mi do głowy pewna myśl. Tam, w wieżycze, gdy dżinn lada moment miał opleść mnie swym cielskiem, ujrzałem twarz Maxa Greavesa i błagałem go o ratunek. Może, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, pomoc nadejdzie i tym razem. Uniósłem głowę. Dżinn znajdował się już na podjeździe i szybko sunął w naszym kierunku, rozsypując po drodze mniejsze i większe okruchy żwiru.

— Harry — wykrzyknął profesor. — Już za późno! Usiłowałem go nie słuchać. Skoncentrowałem się na zegarze i wyszeptałem:

— Max, pomóż mi. — Powtarzałem te słowa w zapamiętaniu. — Max, na litość boską, pomóż mi, pomóż!

Z niedowierzaniem zauważyłem, że brzęczenie przybrało na sile. Zawładnęło mną dziwne uczucie pustki. Zupełnie nie wiedziałem, czy nadal klęczę w trawie, czy stoję w domu. Nie miałem pojęcia, gdzie się znajduję.

Uświadomiłem sobie, że staję na nogi. Wstaję i wychodzę z cichego pokoju. Chodzę po pustym domu, mijając plamy światła i cienia. Czułem się tak, jakbym poruszał się przyciągany okultystycznym magnetyzmem, niczym łyżwiarz płynąc długim, dusznym korytarzem. Korytarz zdawał się nie mieć końca, a jednak pozostałem spokojny.

Otworzyłem oczy. Przeszywający świst wichru zupełnie mnie ogłuszył. Patrzyłem spod przymrużonych powiek na stustopową trąbę powietrzną, z zajadłością tartacznej piły drącą darń z trawnika przed nami. Chcąc zachować równowagę, musiałem przytrzymać się kolumny zegara. Z rozpaczą rozejrzałem się dokoła w poszukiwaniu profesora Qualta i Anny.

— Anno! Profesorze!

— Ona odzyskała przytomność! — rozległ się głos uczonego. Nie widziałem go wcześniej, ponieważ znajdował się po drugiej stronie podstawy, pochylony nad Anną. Choć nadal bardzo blada, dziewczyna doszła do siebie na tyle, że usiłowała wstać.

— Musimy uciekać! — ryknął profesor Qualt. — Do tamtych drzew! Gotowy?

— Nic nie słyszę! Niech pan ucieka i zabierze ze sobą Annę!

Tymczasem Anna nie zamierzała nigdzie iść. Chwiejnym krokiem podeszła do mnie i kucnęła przy samej podstawie zegara. Dygotała na całym ciele, a jej oczy nabrały dzikiego wyrazu.

— Anno!

Schwyciła mnie za rękaw.

— Musisz to uruchomić! Musisz zabić dzinna! Musisz, Harry, musisz!

— Anno, ja nie...

— Musisz, Harry! Tu chodzi o mnie! Czy tego nie rozumiesz? Dżinnowi zależy na mnie! Panna Johnson była potomkiem brzydkiej siostry, ja zaś wywodzę się od tej ładniejszej! On chce mnie dostać, Harry! Czekał przez cały czas, a teraz chce mnie!

Patrzyłem na nią bezradnie. Zawodzący wichur stał się zbyt silny, by próbować ucieczki. Zupełnie nie wiedziałem, do czego jeszcze mógłby się przydać nocny zegar. Z trudem mogłem cokolwiek dojrzeć poprzez unoszący się wokół piasek i kurz. Najwyraźniej ze wszystkiego docierało do mnie przerażone spojrzenie Anny.

— Anno! — krzyknąłem, chcąc jej powiedzieć, że nic więcej nie mogę już zrobić. Nim jednak zdążyłem otworzyć usta, cyklon uniósł w górę zegar wraz z podstawą i cisnął nim o ziemię, zasypując nas gradem ostrych, kamiennych odłamków. Ogłuszony, pokrwawiony padłem na wznak w wysoką trawę i tak już pozostałem, przyszpilony do gruntu huraganowymi podmuchami.

Zaświtała mi krótka, oderwana myśl, że idę w dół schodów i przepływam ponad żwirowym podjazdem, kiedy jednak z najwyższym wysiłkiem dźwignąłem nieco głowę, znowu byłem na trawniku i widziałem biegnącą Annę.

Profesor Qualt starał się ją doścignąć, lecz wyjąty potępieńczo dzinn ciągle zwał go z nóg. Przy którymś z kolei upadku rozległ się trzask pękających kości.

Przez ułamek sekundy Anna biegła tuż przed dżinnem, który wznosił się nad nią nieubłaganą spiralą wyrwanej trawy i ziemi. W chwilę później dopadł jej i w mgnieniu oka odarł z ubrania, którego strzępki rzucił wysoko w jęczące nocne niebo.

Z góry zwałił się na jej nagie ciało bezlitosny gejzer piachu, kamieni i poszarpanej darni. Gwałtownie wzniosła ramiona w geście beznadziejnej rozpacz, a wiatr, kawałek po kawałku, wyrwał z jej głowy zakrwawione strzępki skóry wraz z włosami, ciskając je następnie w mrok. Kolejne podmuchy poszarpały skórę na całym ciele, drąc ją na wąskie, trzepoczące pasma i odstaniając znajdujące się pod spodem mięśnie. Szalejący żywioł poradził sobie także i z nimi, odrywając potężne kęsy. Widziałem, jak przez mgnienie oka naderwane mięśnie grzbietu trzepotały niczym skrzydła ponad nagą czaszką. A zaraz potem, zanim zdążyłem wtulić twarz w trawę, ujrzałem mknący w górę lepki strumień wnętrzości oraz lecące na wszystkie strony kości.

Dżinn zawył jeszcze głośniej i ruszył w moim kierunku. Próbowałem odturlać się w bok, z zamiarem ucieczki ku plaży, zdawałem sobie jednak sprawę, że jeśli mnie dopadnie, nie będę miał najmniejszych szans.

I właśnie wtedy, gdzieś wewnątrz mnie dziwny, głuchy głos powiedział: stój! Rozwarłem oczy, lecz czułem się tak, jakby nadal pozostały zamknięte. Unosiłem się ponad trawnikiem, a nade mną górowała

rozszała kolumna dżinna. Czarna, złowroga chmura, z mrocznej głębi której spoglądały groźnie zaczerwienione oczy. Miałem świadomość, że w ogóle nie boję się dżinna, że znaczy on dla mnie tyle, co nieposłuszny kundel, którego trzeba zapędzić do budy. Uniosłem ramiona i jeszcze raz powiedziałem: „stój!”, a gdy powtórzyłem to po raz trzeci, wiatr złagodniał, zawodząc ponurym, nadąsanym tonem.

Zacząłem się cofać, nie w przestrzeni jednak, lecz w głębi mej duszy. Widziałem światy i słońca, ciemność i oślepiające światła. Słyszałem powracające echem głosy. Mijałem różne krajobrazy, oglądałem ruch i barwy oraz dziwne góry. Czułem, że coś dotyka mojej twarzy — mojej twarzy! — i wówczas wiatr ucichł zupełnie, i nic już nie było widać ani słychać.

Kaszlący i posiniaczony podniosłem się z przeoranego trawnika. Wokół panowała kompletna cisza, mącona jedynie odległym, miękkim poszumem przyboju. Zataczając się, podszedłem do leżącego profesora Qualta.

— Profesorze! — zawołałem ochryple.

Był blady, spocony i ścisnął rękami nogę, zdobył się jednak na słaby uśmiech.

— Moja noga. Ten przeklęty drań ją złamał. Rozejrzałem się dookoła. Nigdzie nie było śladu Anny.

Nie zostało z niej nic, choćby drobny strzępek. Natomiast w odległości jakichś pięćdziesięciu jardów spostrzegłem leżącego twarzą do ziemi człowieka. Nie ulegało wątpliwości, że doznał poważnych obrażeń.

Pokuśtykałem ku niemu najszybciej, jak tylko mogłem. Rozpoznałem ubiór, zanim jeszcze dotarłem na miejsce. Klęknąłem przy nieruchomym ciele i resztkami sił przewróciłem je na plecy.

Ten człowiek był więcej niż ranny. Nie żył. Był martwy, lecz to nie dżinn go zabił.

— Max — powiedziałem cicho. — Chryste, Max, dziękuję ci.

Zginął powalony ciosem panny Johnson, a jednak znalazł się tutaj, na trawniku. Musiał — musiał — przebyć tę drogę samodzielnie. Wezwał go nocny zegar, wlewając jakoś w martwe ciało moje siły i determinację, nakazując ruch sztywniejącym włóknom, zmuszając do marszu porażone śmiercią nogi. Nocny zegar przywołał mi do pomocy czarnoksiężnika, a był nim Max Greaves.

I jeszcze coś. To nie był zwykły Max Greaves, tylko Max, którego znałem kiedyś, zanim jeszcze nadeszły czasy dzbanów, dżinnów i czarnej magii. Odzyskał swoją twarz i choć się nie uśmiechał, w bladym świetle księżycy widać było malujący się na niej spokój.

Za życia Max Greaves był bezsilny wobec potęgi dżinna. Po śmierci, wyzwolony z przerażającej wizji fizycznej agonii, zdołał nakazać mu powrót do pradawnego piekła, z którego kiedyś się wyłonił. A przed zniknięciem dżinn musiał jeszcze zwrócić Maxowi jedyną rzecz umożliwiającą mu egzystencję w świecie ludzi — jego twarz. Dżinny to potężne i groźne moce panujące nad wszystkimi demonami arabskiego okultyzmu. A jednak nawet one muszą się ugiąć wobec woli ludzkiego ducha.

Z trudem wyprostowałem grzbiet i spojrzałem na zegarek. Miał stłuczone szkiełko, ale nadal tykał. Wróciłem do profesora.

— Wytrzyma pan jeszcze trochę? Pójdę zadzwonić po karetkę.

Qualt zacisnął zęby.



— Nie, proszę tego nie robić. Zobaczą dom, trawniki i całą resztę. Lepiej będzie zachować to w tajemnicy.

— Ciekawe, co się stało z panną Johnson. I niech się pan przygotuje na szok. Tam niedaleko leżą zwłoki Maxa Greavesa. Ma nietkniętą twarz i ranę na szyi, głęboką jak Wielki Kanion.

Profesor Qualt z trudem potrząsnął głową.

— Tamten lekarz, jak mu tam, Jarvis, pomoże nam we wszystkim. Na pewno nie chce, aby ktokolwiek się dowiedział, że na pierwszym pogrzebie twego dziadka pochowano pustą trumnę...

Zemdlał bez najmniejszego ostrzeżenia. Wróciłem na podjazd po samochód. Cały lakier był mocno podrapany, a na przedniej szybie pojawiło się pęknięcie, poza tym jednak wszystko wydawało się w porządku. Uruchomiłem silnik i wjechałem na trawnik, dzięki czemu zdołałem wpakować do wozu nieprzytomnego Qualta.

Pożegnałem się z Winter Sails już z samochodu, przez tylną szybę. Dojeżdżając do pochylonych drzew z wolniłem mocno przed końcem podjazdu i szybko spojrzałem za siebie. Jak zawsze biały i nieco upiorny, dom stał nad brzegiem morza, strasząc pustymi oczodołami okien i powywracanymi płotami, a dookoła chwiała się w podmuchach wiatru wysoka trawa.

Dopiero gdy dostarczyłem profesora do szpitala i zasiadłem po drugiej stronie ulicy z poranną Krwawą Mary oraz papierosem, pozwoliłem sobie na płacz. Przypatrywałem się swemu odbiciu w zaparowanym lustrze w głębi baru, a po policzkach ściekały mi łzy. Barman obserwował mnie ze ściągniętymi brwiami, jakby myślał, że przybyłem do Massachusetts z innego świata.

## EPILOG

Program Kultury Irańskiej

Nowy Jork

Drogi Profesorze Qualt!

W imieniu własnym i swoich kolegów dziękuję Panu za przesłane kondolencje. Panna Modena nie pracowała u nas zbyt długo, bardzo nam jednak brakuje jej entuzjazmu i ożywienia.

Odpowiadając na pańskie pytania odnośnie jej przeszłości i legend dotyczących Nazwah bądź też N'zwaa, mogę jedynie stwierdzić, że istotnie istnieje opowieść o tym, jak to wiele stuleci temu pewna brzydka dziewczyna oddała swe ciało przerażającemu dżinnowi, aby w ten sposób ocalić piękną siostrę. Panna Modena kilkakrotnie rozmawiała ze mną na ten temat, ponieważ sądziła, że historia ta pozostaje w związku z wyjątkowym okazem perskiej ceramiki, który próbowała dla nas odnaleźć.

Żałuję, że nie mogę przypomnieć sobie więcej szczegółów z toczonych wówczas dyskusji, pamiętam jednak, iż panna Modena była zafascynowana występującymi w legendzie nieścistościami i spędziła wiele godzin w naszej bibliotece, poszukując dalszych informacji. Intrygował ją zwłaszcza fakt, że pomimo spełnionego poświęcenia brzydkiej siostry, piękna dziewczyna również umarła, choć dżinn obiecał nie robić jej krzywdy. Ponieważ dżinny zawsze dotrzymywały słowa, panna Modena przypuszczała, że brzydka siostra w jakiś sposób nie wywiązała się ze swojej części umowy.

Pewnego dnia natknęła się na interesujący fragment historii z czasów Hassana i Saby, gdzie mówi się o rodzinie brzydkich kobiet, które z pokolenia na pokolenie przekazywały sobie zadanie poszukiwania magicznego naczynia zamieszkanego jakoby przez dżinna. Kilkaset lat wcześniej ów dżinn miał podobno utrzymywać kontakty cielesne z protoplastką całego rodu i dostarczyć jej — według słów panny Modena — „ekstazy przekraczającej ludzkie pojęcie”.

Chociaż powyższa opowieść została spisana kilka wieków po tym, gdy przedstawione w niej wydarzenia mogły rzeczywiście się rozegrać, panna Modena wierzyła, iż tekst ten można traktować jako sugestię, że brzydka siostra złamała swój układ z dżinnem, czerpiąc przyjemność z zadawanych jej cierpień. Choć dżinn przybierał wiele odrażających postaci, a jego poczynania doprowadziły ostatecznie do śmierci dziewczyny, doznawane tortury budziły w niej tak wielką fizyczną rozkosz, że gotowa była zrobić wszystko, aby zaznać ich ponownie. Zapewne wówczas pozwoliła dżinnowi zniszczyć swą siostrę, byle tylko ponownie pogrążyć się w ekstazie.

Istnieją późniejsze przekazy potwierdzające, że obie siostry w momencie śmierci były brzemiennie. Brzydsza z nich zaszła zapewne w ciążę z dżinnem, choć nie ma co do tego pewności i równie dobrze możemy podejrzewać któregoś z czarowników N'zwaa lub nawet (jak trafnie zauważyła to panna Modena) przypadkowego pasterza kóz. Piękna siostra została zapłodniona przez swego narzeczonego.

Dzieci wydobyto z ciał martwych matek i przekazano do wychowania kobietom z okolicznych wiosek. Niewykluczone, że zainteresowali się nimi N'zwaa (dzieci te stanowiły w końcu sporą osobliwość), upatrując w nich przyszłe ofiary dla swego demonicznego kultu. Tak czy inaczej, dzieci przeżyły i w późniejszych latach opuściły ten rejon, co każe nam przypuszczać, że żyły w czasach K'orisa łowcy Czarownic, miejscowego władcy zwalczającego nielegalne praktyki religijne, jak choćby właśnie N'zwaa.

Panna Modena była przekonana, że przez wszystkie te lata prawnuczki brzydkiej siostry poszukiwały dżinna po całym świecie w nadziei, że uda im się przeżyć ponownie straszliwą ekstazę, która stworzyła ich ród. Z kolei rodzina drugiej z sióstr ściagała potomków tej brzydkiej, chcąc pomścić zdradę, jakiej dopuścił się ich daleki przodek. Nie wiedziałem, czy mam jej wierzyć, czy też nie, choć muszę przyznać, że w mojej pracy ze starożytnymi zabytkami zdarzało mi się spotykać ze sprawami jeszcze dziwniejszymi. Na przykład w Akabie, podczas wojny, pokazano mi kawałek latającego dywanu, który krążył ponad moim namiotem niczym wystraszony motyl.

Przypomniało mi się jeszcze coś. Panna Modena twierdziła, że jeśli kiedykolwiek potomek pięknej siostry odnajdzie Dżban Dżinnów, to może być pewien bliskiej obecności spadkobierczyni siostry brzydkiej. Kobietom wywodzącym się z linii urodziwszej cały czas zagraża śmiertelne niebezpieczeństwo, gdyż to je przede wszystkim dżinn zapragnie pojąć, a wtedy nic na niebie i ziemi nie zdoła ich uchronić.

Mam nadzieję, że te drobne urywki wspomnień okażą się panu przydatne. Liczę również, że któregoś dnia odwiedzi pan moje biuro, aby podyskutować o tej, a może i o innych kwestiach dotyczących starożytnego Iranu.

Łączę wyrazy szacunku K.L.

Asrah

Bedford Street

Cape Cod

Drogi Panie Erskine!

Po naszym ostatnim spotkaniu sfinalizowałem wszystkie sprawy związane z pogrzebem panny Johnson, panny Modena i tamtego dżentelmena. Jak sam pan wówczas powiedział, był to wyjątkowo nieszczęśliwy zbieg okoliczności, że cała trójka odznaczała się nieprawdopodobną podatnością na grypę, co znalazło potwierdzenie w wystawionych przeze mnie świadectwach zgonu.

Przeszukałem całe Winter Sails, lecz po dzbanie nie ostał się nawet najmniejszy ślad. Musiał zapewne ulec zniszczeniu podczas burzy. Nie potrafię nic więcej powiedzieć. W każdym bądź razie dom jest przygotowany do aukcji i wątpię, abyśmy kiedykolwiek jeszcze o nim usłyszeli.

Gdyby zechciał pan kiedyś odwiedzić Cape, bez wahania proszę wpaść do mnie na herbatę.

Najlepsze życzenia

M. Jarvis

West Good Hope Road

Milwaukee

Drogi Harry!

Kreślę kilka słów, by Ci za wszystko podziękować. Przebywam teraz czasowo na Uniwersytecie Wisconsin, badając mniej przerażające oblicze ceramiki etnicznej.

Może masz rację, mówiąc, że Dzban Dżinnów to czysta fantazja, choć wpadł mi ostatnio w ręce stary egzemplarz „Perskiej Encyklopedii Okultystycznej”, która utrzymuje, jakoby wszystkie dzbany były wykorzystywane przez demony i dżinny jako kryjówki. Dlatego warto pozamykać na noc puste naczynia, aby uniemożliwić złym duchom zagnieżdzenie się w nich na dłużej, zwłaszcza że gdy już znajdą się w środku, ze wszystkich sił zaczną rwać się na wolność.

Mniejsza z tym. Nie możemy dać się zwariować, prawda? Jeszcze raz dziękuję za wszystko.

Twój Gordon Qualt

Tych kilka listów to wszystko, co mam na pamiątkę po Annie i dzinnie. Trzymam je w lewej górnej szufladzie mego starego biurka z żaluzjowym zamknięciem. Co jakiś czas wyciągam je stamtąd, czytam powoli i uważnie, po czym odkładam na miejsce.

Szczerze mówiąc, nabrałem jeszcze jednego zwyczaju. Gdy zapadną ciemności, a za oknem mojego pokoju wiatr pogwizduje miękko na stopniach schodów przeciwpożarowych lub też porusza od czasu do czasu prowadzące na korytarz drzwi, nie mogę się powstrzymać i spoglądam na dwa wysokie dzbany stojące na kominku. Pamiętają czasy wiktoriańskie, są powleczone zieloną glazurą i wyglądają paskudnie. Przyłapuję się wtedy na myśli, że może przyczaił się w nich jakiś dziewiętnastowieczny goblin? Że pewnej nocy, gdy będę spał, ocknie się oraz da znać o swoim istnieniu w ciszy i ciemności mego pokoju?

Widzicie państwo, zawsze łatwo jest przestraszyć samego siebie. Ale prawda o zawartości wielu dzbanów i butelek bywa znacznie gorsza.